

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 9 (1561)

ROK XXXI

27 LUTEGO 1988 ROKU

CENA 25 ZŁ

■ **Dramat matki, która straciła syna** — str. 6

■ **Okoliczności aresztowania Pawła Findera i Małgorzaty Fornalskiej** — str. 3

■ **Rozmowa z Krystyną Gizowską** — str. 7

Nieustannie pogarsza się sytuacja książki w Polsce. Rosną ceny książek, zmniejszają się ich nakłady. Co o tym sądzą drukarze, wydawcy, księgarze i pisarze — oto temat redakcyjnej dyskusji.

Przetrwać zły czas

Niezwykle złożoną sytuację książki w Polsce determinują pewne, zaistniałe już niepokojące fakty: zakup książek za średnią pensję spadł ze 178 statystycznych egzemplarzy w 1980 roku do 95 egz. na koniec 1987 r. W ciągu trzech kwartałów 1987 r. ceny książek (z wyjątkiem podręczników) wzrosły o 54 proc. Wraz ze wzrostem cen i kosztów utrzymania maleją wydatki społeczeństwa na kulturę. Jak wynika z badań już w kwietniu 1987 r. 55,3 proc. ankietowanych respondentów twierdziło, że zmuszeni są ograniczyć wydatki na książki, teatr, kino, prasę itd. Niepomiarowany wzrost cen książki już doprowadził do bułwersujących faktów społecznych: mniej niż 40 proc. obywateli nie kupuje książek; blisko połowa Polaków w ogóle nie czyta książek, zaś na statystycznego Polaka przypada 7 książek (jedno z ostatnich miejsc w Europie).

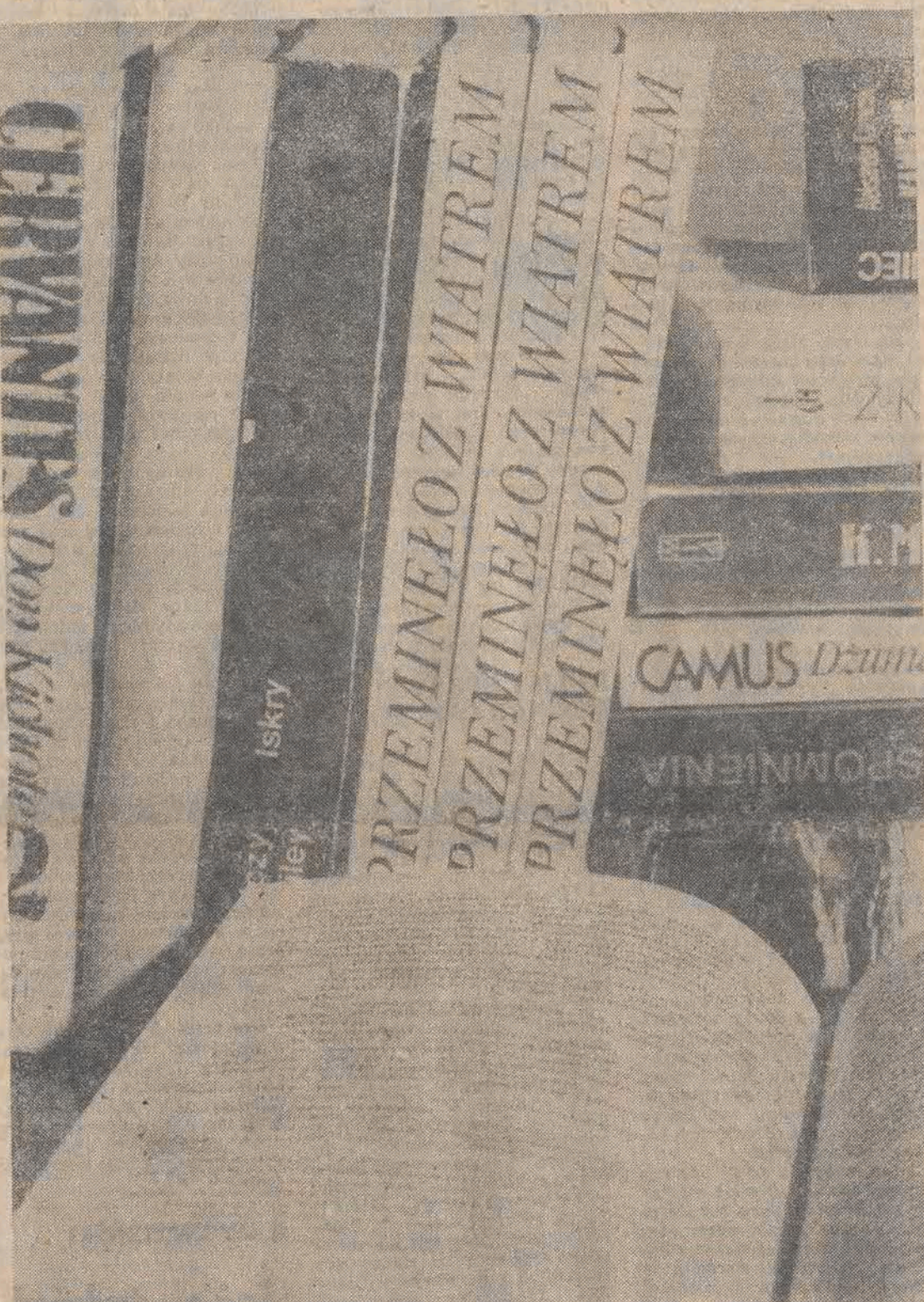
Czy sieć bibliotek, ich zasoby są w stanie skompensować dostęp do książki? Niestety, także i tu odczuwalny jest wpływ cen na biblioteczne zasoby. Wskaźnik zakupów bibliotecznych na 100 mieszkańców spadł z 20,1 woluminów w 1985 r. do 17,7 w roku 1986.

Takie są fakty, z drugiej strony mamy do czynienia z innymi — wzrostem kosztów papieru i usług poligraficznych. W 1986 r. stanowiły 82,6 proc. ceny, jaką żądał wydawca. W latach 1982/86 ceny papieru wzrosły o... 360 proc., usługi poligraficzne zaś o 343 proc., a wraz z honorariami koszt wytworzenia książki wzrósł o 33,5 proc. do 91,3 proc. Przy czym książka stała się źródłem finansowania deficytowych branż.

Do rozmowy o losach książki, jej obiegu, czytelnictwa zaprosiliśmy: **STEFANA CZARNECKIEGO** — dyrektora Domu Książki w Łodzi; **EDWARDA KOLBUSA** — pisarza, wiceprezesa Stowarzyszenia Autorów Polskich Oddział w Łodzi, kierownika redakcji „Literatury Pęknej” Wydawnictwa Łódzkiego; **WIESŁAWA KOZANOWSKIEGO** — kierownika księgarni DK; **MIROSLAWA KUZIŃSKIEGO** — pisarza, zastępcę naczelnego redaktora Rozgłośni Polskiego Radia; **JANUSZA MARCHEWE** — sekretarza Oddziału Łódzkiego Krajowej Agencji Wydawniczej; **STANISŁAWA NIEDZIELSKIEGO** — dyrektora Łódzkiej Drukarni Dzielowej; **WIESŁAWA PIOTROWSKIEGO** — dyrektora Łódzkich Zakładów Graficznych.

Z redakcji „Odgłosów” udział wzięli: **JANUSZ KOZŁOWSKI** i **MARIAN ZDROJEWSKI**.

Oto wypowiedzi osób zainteresowanych przyszłością polskiej książki i jej obiegiem.



S. NIEDZIELSKI: — Nie mamy żadnej polityki wydawniczej, która byłaby poparta potrzebami rynku czytelniczego. Obok wspaniałych pozycji ukazują się książki nie trafione. Jeszcze niedawno mówiliśmy, że trzeba zwiększyć ilość tytułów, bo takie są potrzeby. Wzrost zwiększyliśmy z 260 do 404 w 1987 roku. Teraz okazuje się, że na wiele tytułów niektórym wydawcom zabraknie papieru. Na kondycję polskiej książki składają się nie tylko możliwości twórcze pisarzy, lecz również możliwości i potrzeby papierników, poligrafów, księgarzy. Nie bez powodu opracowano rządowe programy modernizacji przemysłu papierniczego i poligraficznego. Skoro się jednak powiedziało „A” to trzeba powiedzieć „B”. Niestety w życiu tak nie jest. Przedsiębiorstwo, którym kieruję — liczące trzy zakłady w Łodzi. Pabianicach, Tomaszowie, zatrudniające 1000 osób — ledwo może wyskubać, że się tak wyrażę, 45 mln zł na fundusz rozwoju rocznie. Choć mamy duży zysk, lecz z tego zysku 65 proc. zabiera nam minister finansów. Tymczasem jedna maszyna chińska kosztuje 50 mln. A takich maszyn potrzebujemy dwie i trzy dalsze, choć tańsze, z NRD. W sumie potrzebujemy 180 mln. Ponieważ tyle pieniędzy nie ma, więc musimy pożyczać. Z ugi nie może korzystać bo, jak twierdzi tenże minister, nasza

drukarnia jest rentowna i posiada zdolności kredytowe. A przecież my tych ugi nie potrzebujemy dla siebie, chcemy zwiększyć odpis na fundusz rozwoju, żeby można było modernizować zakład. Niektórzy wydawcy, jakkolwiek mają spore pieniądze, to i tak nie mogą ich „ugryźć”, bo mają również te 65 proc. podatku do oddania. Jedynie ci, którzy mają trochę więcej wspierają nas i udzielając pożyczek nie liczą na procent, jaki nalicza NBP. Tak więc to, co dzieje się aktualnie na rynku księgarskim jest odbiciem sytuacji panującej w poligrafii i papiernictwie. System naczyń połączonych. Produkcujemy dużo, tylko czego? Czy to, co wydajemy jest potrzebne z punktu widzenia potrzeb społecznych? Nie do mnie należy ocena, ja mam produkować. Nie mogę jednak zamykać oczu i nie widzieć, jak słowniki, encyklopedie, choć bardzo drogie, lecz niezbędne dla rozwoju intelektualnego, są przedmiotem spekulacji, lokaty kapitału. Wydajemy je za kilka tys. zł, a w parę dni później znajdujemy w antykwariacie za 22 czy za 45 tys. (np. 4 tomowa encyklopedia). Tego zjawiska nie wolno nie dostrzegać.

W ciągu kilkudziesięciu lat z ŁDD wyszło wiele wybitnych dzieł, wspaniałe wydawnictwa (Conrada, klasyków), książek

wspaniałe ilustrowanych, w obłutach. Dział młodzi pytają, co to jest obłutka! To przecież wstyd, że tak subożamy książkę. Oczywiście, dzięki modernizacji zakładu zdolni jesteśmy i robimy wiele pięknych książek. Slegam pamięcią do licznych dzieł, które kosztowały 2,45 gr, 20 zł, do wydań Kraszewskiego, Reymonta... Tymi pozycjami do dziś możemy się szczycić. I to było w latach trudnych, powojennych, a stać nas było na dobrą, taną książkę... Tylko, że my stawiamy sobie pytania, odpowiadamy, lecz w gruncie rzeczy na nie nie odpowiadamy, wyjaśniamy — niczego nie wyjaśniamy. Gdybym w tej chwili użył argumentu b. ministra od chrupiących bułeczek, odpowiedzialnym, że o ile wtedy Niedzielski zarabiał 800 zł, a jako uczeń — 450 zł, to dziś zarabiam 40—50 tys. zł, lecz nie o to chodzi. Jest to normalny proces, skoro za maszynę z NRD muszę dziś zapłacić 25 mln, a dawniej 3 mln. Rzecz w tym, że gdy zmuszony jestem modernizować przedsiębiorstwo, muszę podnosić koszty. A dodajmy do tego koszty papieru, który w jakiś tajemniczy sposób zgubił po drodze gramaturę, klasy. W 1987 r. po raz pierwszy nastąpiła dziwna

Był bardzo inteligentny, ale i nadmiernie podejrzliwy...

Swietłana Allilujewa przedstawia swego ojca

Józefa Stalina

Po ucieczce na Zachód i osiedleniu się w Stanach Zjednoczonych Swietłana Allilujewa opublikowała w 1967 r. „Dwadzieścia lat z ojcem”, dwadzieścia lat do przyjaciela. To wspomnienia, choć ujęte w konwencji epistolarnej. Książkę przetłumaczono na kilkadziesiąt języków i jako bestseller dwóch sezonów opublikowano w dużych nakładach.

Książka ma niewątpliwie walory poznawcze. Swietłana Allilujewa opisuje swą młodość, wraca często do ukochanej matki, która odeszła śmiercią tragiczną, wspomina też o Józefie Stalinie, swym ojcu. Młodość spędziła w podmoskiewskich dachach: Sokółówka, Lipki, Zubołowo, Siemienowskoje, no i Kunczewo. Ta ostatnia willa leżała najbliżej Kremla.

W Kunczewie Józef Stalin przebywał najczęściej i tam zmarł. Swietłana Allilujewa pisze:

„Dacze w Kunczewie postawił architekt Meranow w 1934 r. Była to zwyczajna parterowa willa, wygodna i dobrze obmyślona. Na dachu mieściło się solarium, z którego w młodych latach często korzystałam. Ojciec przepadał za spacerami po pobliskim lesie. Przesiadwał czasem na werandzie, przyglądając się w zadumie zachodom słońca. Przechadzał się też po pełnym kwiatów ogrodzie, choć nigdy w ogrodniku się nie bawił. Co najwyżej przycinał niekiedy zeschnięte gałązki na krzewach...”

Sama dacha urządzona była skromnie, bez śladu jakiegokolwiek zbytku. Na ścianie wisiał jedynie portret Lenina i płożo Riepina. „Zaporożczy piszą w odpowiedzi list do tureckiego sultana”. Ojciec był zachwycony tym plótnem. Często przed nim przystawał. Nieraz powtarzał z lubością te wszystkie inwestycje i soczyste przekleństwa, w jakie ten list obfitował...”

Swych najbliższych współpracowników ojciec podejmował też w Zubołowie. Śpiewano wtedy z okazji rocznic i tańczono do upadłego. Pamiętam, że Budionny wygrywał na akordeonie ruskie i ukraińskie pieśni ludowe. Do śpiewu zawsze dołączał Woroszyłow. Mój ojciec również śpiewał. Miał znakomity słuch i niezwykle czysty i przyjemny głos...”

Bywało, że ojciec wracał z Kremla wyjątkowo późno. Nawet wtedy zawsze o mnie pamiętał. Najpierw, nie zdejmując płaszcza, wkładał się szeptem do mojej sypialni i czule mnie całował. Kiedy byłam mała, brał mnie na kolana, tulił i pieścił, przytulał i całował. Jak wszyscy Gruzińscy dzieci uwielbiał...”

Dwa krótkie listy Józefa Stalina, pisane do córki w 1931 r.

„Coś mi się widzi, że zapomnieliś o tatusiu. Dlaczego nie piszesz? Jak ci się widzi? Może jesteś chora? Co z twymi lekcjami? Myślałem, że zgłoszisz jakieś życzenia, a ty ani słowa. Bardzo mnie to boli. Gorąco cię jednak całuję i czekam na listek. Twój tatus’”.

„Dziękuję, jednak pamiętam o tacie. Oczekuję w Soczi mego przyjazdu. Będziesz czekać, prawda? Gorąco całuję

Twój tata”.

Trzy inne jeszcze listy, przesłane z Krymu w 1934, 1935 i 1947 r.

„Moja Swietłanko, dziękuję za list. Przesyłam 50 broszurek

13

Nie chciany król —

Czytaj strona 5



4

OD REDAKCJI: W najbliższym czasie nakładem „Książki i Wiedzy” ukaze się książka Andrzeja Werblana pt. „Władysław Gomułka — sekretarz generalny KC PPR”. Książka jest już w druku. Autor udostępnił nam trzeci rozdział tej książki pt. „Od KRN do PKWN”. Publikujemy poniżej pierwszy odcinek tego rozdziału, traktujący o okolicznościach aresztowania Pawła Findera i Malgorzaty Fornalskiej. Istotne fragmenty przypisów włączamy do tekstu. Tytuły poszczególnych odcinków i źródła pochodzą od redakcji.

kurencyjnej władzy. Nie bez racji Władysław Gomułka nazywa tę decyzję „swoistym zamachem stanu w Podziemnej Polsce”. Jednocześnie było to dramatyczne i zdecydowane zerwanie z dotychczasową strategią PPR. Wiadomo, że Paweł Finder nie był entuzjastą, a w każdym razie nie inicjował tak radykalnego zwrotu. Chciał przestać na bardziej umiarkowanym drugim wariancie Deklaracji programowej. Być może był z natury ostrożniejszy, a zapewne też mniej samodzielny w swych decyzjach. Trzeci wariant Deklaracji programowej, proklamujący całkowitą

kończące, gdyż włączył się z tym zamiar przekształcenia GL w Armię Ludową i powołania nowego dowódcy tej formacji. Nie wymagało to jednak zwołania KC PPR, niejednokrotnie równie ważne sprawy decydowano w kontaktach dwustronnych. Liczniejsze zebrania zawsze bowiem narażone były na większe niebezpieczeństwo. Władysław Gomułka wyraził przypuszczenie, że głównym powodem zwołania przez Findera jeszcze jednego posiedzenia KC PPR w sprawie KRN był brak ustosunkowania się do tej inicjatywy ze strony Georgi Dymitrowa. Paweł Fin-

der czekał na stanowisko Georgi Dymitrowa i dlatego zwołał na 14 listopada 1943 r. jeszcze jedno posiedzenie KC PPR.

Do posiedzenia tego nie doszło na skutek dramatycznych komplikacji. Do lokalu przy ul. Grottego 12, gdzie miało się ono odbyć, wtargnęło wczesnym rankiem gestapo i aresztowało gospodynię. Stefan Gruszczyński, oraz jego córka, Emilie Jedrę. W tym czasie weszła Malgorzata Fornalska, a trochę później Paweł Finder, i też wpadli w ręce gestapo. Wpadka ta była dużym wstrząsem dla partii i ośrodków dla Władysława Gomułki. Pamiętał w szczególności wydarzenia tego ranka, wielokrotnie o nich opowiadał. Dwukrotnie w rozmowie ze mną: w 1977 roku i w lutym 1980 roku. Pisał też o tym w liście do Jakuba Bermana w lipcu 1950 r. Zachowały się ponadto relacje Emilii Jedry i Hilarego Chełchowskiego, które pozwalają dość szczegółowo odtworzyć okoliczności aresztowania Pawła Findera i Malgorzaty Fornalskiej.

Lokal przy ul. Grottego, w którym miało się odbyć posiedzenie KC PPR, był wykorzystywany przez Malgorzatę Fornalską i przez nią — zapewne w porozumieniu z Pawłem Finderm — został umówiony. Sama Fornalska nie miała w posiedzeniu uczestniczyć, zamierzała jedynie spotkać się z Finderm. Uczestniczyć mieli Paweł Finder, Władysław Gomułka, Aleksander Kowalski, Franciszek Jóźwiak i Hilary Chełchowski. Gomułka zobowiązał się zawiadomić Kowalskiego, a Finder pozostałych. Ponieważ Finder mieszkał również w Wesołej, Gomułka zaproponował mu jazdę do Warszawy tym samym pociągami. Finder jednak miał w sobotę zajęcia w Warszawie i, aby uniknąć zbędnych przejazdów, postanowił zanoćować w jednym ze swoich lokali. Aleksander Kowalskiemu Gomułka adresu nie dał, lecz umówił się z nim w okolicy Dworca Głównego, skąd rano przed ósmą udał się razem na ul-

Jaka jest nasza gospodarka?

Masa krytyczna reformy

W miarę jak wydłuża się okres urzeczywistniania reformy gospodarczej zwiększa się zniecierpliwienie społeczeństwa oczekującego korzystnych skutków przeprowadzanych zmian, a także narastają obawy ekonomistów o kondycję reformy. Częstokroć w dyskusjach naukowych i zwykłych rozmowach stawiane jest proste, jak się wydaje, pytanie — czy polska reforma osiągnęła już takie stadium, w którym wykształcił się jakościowo nowy system gospodarczy, czy osiągnięliśmy to, co można określić jako swoistą masę krytyczną rozwiązań systemowych gwarantujących nieodwracalność i postęp „polskiej pierestrojki”.

Wiele czynników wskazuje, że znajdujemy się nadal w okresie przejściowym od systemu tradycyjnego do systemu zarysowanego w programie reformy. Połowiczność dotychczasowych zmian, a także skomplikowana sytuacja gospodarcza kraju spowodowała, że obecny system funkcjonowania naszej ekonomiki jest hybrydą, zawierającą elementy starego systemu nie zlikwidowane do końca oraz elementy nowego porządku ekonomicznego budowanego na fundamencie samodzielności przedsiębiorstw, inicjatywy oddolnej i rachunku ekonomicznego. Nie działa już plan-dyrektywa ale jeszcze nie działa mechanizm gospodarki oparty na prawach rynku. Powstaje więc swoista próżnia systemowa, która jest wypełniana różnymi narzędziami, często sprzecznymi z logiką nowego mechanizmu.

Jak wobec tego należałoby określić masę krytyczną reformy, czy istnieją jakieś kryteria pozwalające sformułować miarodajną opinię w tej kwestii? Podobnie jak w innych sprawach dotyczących rzeczywistości polskiej, tak i w tej króluje pluralizm stanowisk i ocen. Na podstawie analizy poglądów twórców i realizatorów reformy, a także jej „konsumentów”, czyli zwykłych obywateli można wyróżnić co najmniej cztery interpretacje masy krytycznej reformy.

Pierwszą grupę interpretatorów reprezentują ekonomiści-teoretycy, niektórzy spośród nich są architektami programu reformy gospodarczej i uczestniczyli aktywnie przy opracowywaniu takich dokumentów jak: „Kierunki reformy gospodarczej” i „Tęże” w sprawie II etapu reformy gospodarczej. Wprawdzie teoretycy ekonomii nie są zgodni w wielu sprawach dotyczących kształtu polskiej reformy, to jednak można w ich poglądach znaleźć wspólny mianownik. W przekonaniu teoretyków najistotniejszymi przejawami osiągnięcia owej masy (innymi słowy dokonania przełomu w reformowaniu) są następujące fakty: egzekwowanie zasady samofinansowania przedsiębiorstw, czyli dopuszczenie możliwości upadłości firm socjalistycznych; pojawienie się w gospodarce tendencji do równowagi rynku (osiągnięcie chociażby przyczółków równowagi rynkowej); zmiana sposobu działania centrum polegająca na rezygnacji z rządu z bieżącego zarządzania gospodarką i skoncentrowaniu się na kształtowaniu polityki społeczno-gospodarczej państwa. Dopóki te podstawowe fakty nie zaistnieją w naszej gospodarce, reforma będzie mieć charakter polowiczny czy wręcz pozorowany. Tak w skrócie przedstawia się punkt widzenia ekonomistów-teoretyków.

Drugą grupę interpretatorów tworzą ekonomiści-praktycy — innymi słowy menedżerowie doświadczający na własnej skórze braku spójności w dotychczasowych rozwiązaniach reformy. Nadmiar zarządzeń i rozporządzeń emitowanych przez różne instytucje centralne i lokalne paraliżuje samodzielność przedsiębiorstw, funkcjonują one w pancerzu biurokratycznych regulacji, które nadal są żywotne mimo licznych zapowiedzi o ich zniesieniu. Zarówno w ocenie przedsiębiorstw, jak i w nich samych, nadal więcej jest deklaracyjności niż realnych zmian ekonomicznych.

W opinii menedżerów osiągnięcie przez reformę masy krytycznej wymaga spełnienia czterech warunków: po pierwsze — złączeniu musi ulec nadmierny fiskalizm, który podcina korzenie tendencji rozwojowych przedsiębiorstw; po drugie — niezbędna jest poprawa w dziedzinie zaopatrzenia przedsiębiorstw w środki produkcji, bez spełnienia tego warunku nie będą działać nawet najbardziej wyrafinowane mechanizmy ekonomiczne; po trzecie — konieczne jest doprowadzenie do stanowisk roboczych w konkretnych wymiarach nowych rozwiązań; można to osiągnąć poprzez ukształtowanie przejrzystych konstrukcji placowych uzależniających wysokość zarobków od wkładu pracy, kwalifikacji, innowacyjności itp.; po czwarte — zdecydowanie rostrzygnięcia wymagają sprawy względnej stabilności parametrów ekonomicznych obowiązujących przedsiębiorstwa, dotychczasowa praktyka zmieniania w ciągu roku owych parametrów prowadzi do rozstrojenia ekonomiki przedsiębiorstwa, niszczy obojętne kadry kierownicze do podejmowania długofalowych działań. Krótko mówiąc o przekroczeniu przez reformę progu „jakościowego”, oznaczającego uruchamianie nowych mechanizmów ekonomicznych, decyduje to w jakim stopniu przedsiębiorstwa będą mogły przestawić swoją działalność na nowe tory, na których obowiązują zasady samodzielności i odpowiedzialności materialnej przedsiębiorstw i ich załóg. Dotychczas przedsiębiorstwa nie bardzo mogły, a także nie musiały funkcjonować zgodnie z logiką racjonalności ekonomicznej.

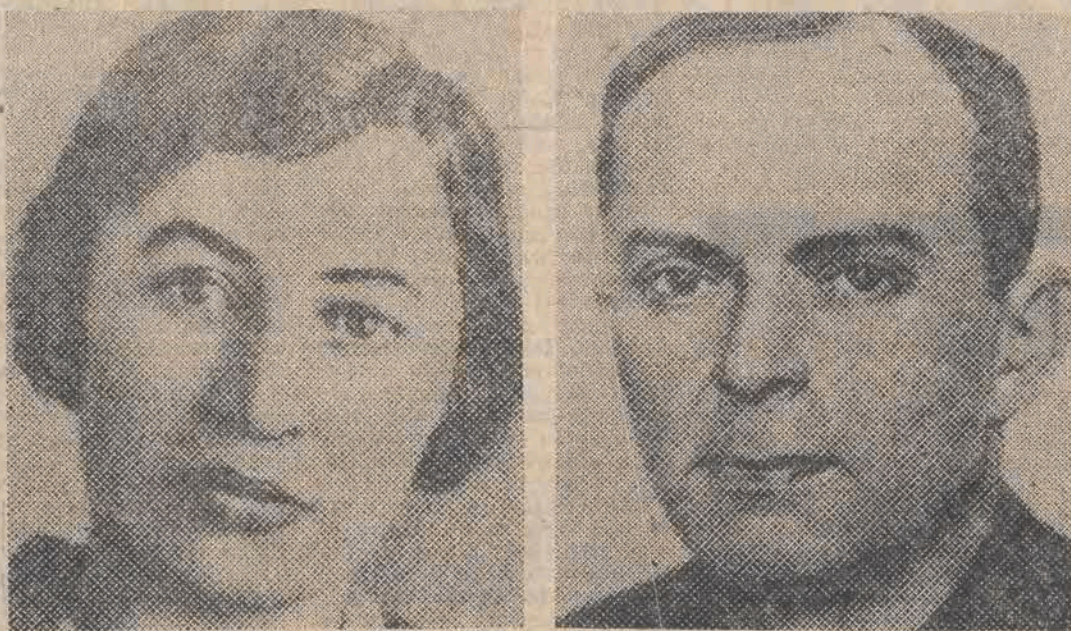
Mianem „prawników” można określić trzecią grupę interpretatorów masy krytycznej reformy. Patrzeli oni na ten problem przez pryzmat przepisów prawa obowiązujących w sferze gospodarczej. W ich przekonaniu reforma musi uzyskać odpowiednią oprawę prawną, musi mieć swoisty kodeks, w którym byłyby zawarte niezbędne dla prawidłowego działania reformy regulacje prawne. Obserwując twórczość legislacyjną Sejmu i „zarządzeniowo-rozporządzeniową” centralnej administracji można dojść do wniosku, że masa krytyczna przepisów prawa dotyczących reformy została już przekroczona. Przerost regulacji prawnych dotkliwie daje się we znaki kadrowi kierowniczej przedsiębiorstw i pozwala na dokonywanie manipulacji często niespójnymi przepisami prawa.

Wreszcie ostatnia grupa, najbardziej liczna i bardzo krytyczna wobec dokonanej reformy. Jest to „milcząca większość” konsumentów, ludzi prowadzących gospodarstwa domowe jednoosobowe, dwuosobowe, zbiorowe itp. Na ogół nie biorą oni udziału w dyskusjach, seminariach, panelach i innych debatach poświęconych reformie. Oceniają oni reformę przez okulary półek sklepowych, kolejek, cen i jakości wyrobów, kultury obsługi itp. W ich mniemaniu masa krytyczna reformy zostanie osiągnięta wówczas, gdy zapanuje obfitość „kremu do golenia i papieru toaletowego”. W tym próżniowym skrócie myślowym zawarta jest esencja rozumowania milczącej większości, rozumowania prostego, ale nie prostackiego. Konia z rędem temu, kto wykaże brak logiki w tym rozumowaniu.

Na zakończenie krótka dygresja. Błędem byłoby przeciwstawianie poglądów ekonomistów-teoretyków opiniom konsumentów. Istotą koncepcji reformy jest przecież wprowadzenie takiego mechanizmu gospodarczego, który umożliwi osiągnięcie wysokiej efektywności gospodarowania i równowagi rynkowej. Należy pamiętać, że reforma jest procesem społecznym, o którego sukcesie decyduje nie tylko trafność nowych rozwiązań ekonomicznych, lecz także poparcie społeczeństwa dla przemian i przekonanie go, że ten trudny proces jest konieczny.

C.D.N.

WITOLD KASPERKIEWICZ



Malgorzata Fornalska

Paweł Finder

To był czysty przypadek. Szukano zupełnie kogo innego, a kogo innego aresztowano. Gestapowcy w pierwszej chwili nie zdawali sobie sprawy z tego, kogo aresztowali.

Okoliczności aresztowania Pawła Findera i Malgorzaty Fornalskiej

ANDRZEJ WERBLAN

(1)

Jesienią 1943 r. rozpoczęły się w kierownictwie PPR dyskusje w sprawie powołania Krajowej Rady Narodowej. Na podstawie pośrednich przekazów historycy przypisywali inicjatywę w tej sprawie Pawłowi Finderm. Władysław Gomułka w liście do redakcji „Archiwum Ruchu Robotniczego” z maja 1975 r. wyjaśnia zarówno autorstwo koncepcji KRN, jak i motywy tej opcji.

„Myśl o powołaniu KRN wyszła ode mnie. Zrodziła się ona u mnie na podłożu takich wydarzeń, jak wymordowanie pod Borowem w sierpniu 1943 r. oddziału partyzanckiego Gwardii Ludowej, dojrzenia w klimacie politycznym wytworzonym przez powołanie (zw. Krajowej Reprezentacji Politycznej i ogłoszonej przez nią Deklaracji z dnia 15 sierpnia 1943 r., a ostatecznie myśli ta skrytykowała się i przybrała kształt wyrażający się w idei i nazwie KRN podczas pisania przez mnie trzeciego projektu listopadowej Deklaracji programowej PPR „O co walczymy?”. Wówczas przedstawiłem tę myśl sekretarzowi KC PPR, Pawłowi Finderm. Było to chyba po południu września lub w październiku 1943 r.”.

Datowanie to może być dyskusyjne. W innej relacji bowiem Władysław Gomułka pisze, iż pracował nad trzecim projektem Deklaracji na początku listopada. Należy raczej przyjąć, że idea KRN zrodziła się nie później niż w październiku, gdyż — jak wyjaśniliśmy to w dalszych rozważaniach — w połowie listopada prace nad jej powołaniem były już poważnie zaawansowane. Niezależnie od datowania, co we wspomnieniach zawsze brzmiało niepewnie, meritum relacji Władysława Gomułki brzmi wiarygodnie.

Powołanie KRN było logiczną konsekwencją niepowodzenia prób osiągnięcia porozumienia z obozem londyńskim i oznaczało zbudowanie w „podziemnym państwie” nowej kon-

samodzielności i odrębności inicjatywy politycznej PPR wobec obozu londyńskiego, sformułował i przeforsował Władysław Gomułka. Idea powołania KRN była już tylko logiczną konsekwencją.

Wszystko wskazuje jednakże na to, że Paweł Finder obdarzony był rzadką i cenną cechą przywódcy — umiał docenić i zaakceptować cudzą inicjatywę, wysłuchać argumentów i zmienić zdanie. Prościej mówiąc, umiał współpracować z ludźmi wybitnymi, „niepokornymi”, skłonными do sporu i dyskusji, ale właśnie przez to wnoszącymi idee nowe i śmiałe.

Według wspomnień Władysława Gomułki sprawę KRN przez pewien czas dyskutowali obaj z Pawłem Finderm; gdy doszli do wspólnego stanowiska, przedstawili ją „trójce”, a w niedzielę 7 listopada 1943 r. również na posiedzeniu KC PPR w Miłosnej pod Warszawą z udziałem Bolesława Bieruty, Malgorzaty Fornalskiej i Aleksandra Kowalskiego. Tu też zapadła decyzja o podjęciu praktycznych kroków w kierunku utworzenia KRN. W dyskusji nad szczegółami wynikły różnice zdań między Gomułką i Bierutem. Ten ostatni wypościadał się za utworzeniem całego systemu rad terenowych, czyli całej podziemnej struktury władzy. Gomułka był ostrożniejszy, nie chciał zapewne zamykać drogi przed różnymi modyfikacjami i zbytnio nasilać obozu londyńskiego, wypowiadał się więc za utworzeniem na razie samej KRN. Zdecydowano, że w ciągu tygodnia Bolesław Bierut i Władysław Gomułka niezależnie od siebie przygotują projekt dokumentu zapowiadającego powołanie KRN.

Biorąc to pod uwagę, a także nieobecność na posiedzeniu KC PPR 7 listopada 1943 r. Franciszka Jóźwiaka i Hilarego Chełchowskiego, Paweł Finder zapowiedział następne posiedzenie KC na 14 listopada, również w niedzielę. Przedyskutowanie sprawy KRN z Franciszkiem Jóźwiakiem by-

der czekał na stanowisko Georgi Dymitrowa i dlatego zwołał na 14 listopada 1943 r. jeszcze jedno posiedzenie KC PPR.

Do posiedzenia tego nie doszło na skutek dramatycznych komplikacji. Do lokalu przy ul. Grottego 12, gdzie miało się ono odbyć, wtargnęło wczesnym rankiem gestapo i aresztowało gospodynię. Stefan Gruszczyński, oraz jego córka, Emilie Jedrę. W tym czasie weszła Malgorzata Fornalska, a trochę później Paweł Finder, i też wpadli w ręce gestapo. Wpadka ta była dużym wstrząsem dla partii i ośrodków dla Władysława Gomułki. Pamiętał w szczególności wydarzenia tego ranka, wielokrotnie o nich opowiadał. Dwukrotnie w rozmowie ze mną: w 1977 roku i w lutym 1980 roku. Pisał też o tym w liście do Jakuba Bermana w lipcu 1950 r. Zachowały się ponadto relacje Emilii Jedry i Hilarego Chełchowskiego, które pozwalają dość szczegółowo odtworzyć okoliczności aresztowania Pawła Findera i Malgorzaty Fornalskiej.

Lokal przy ul. Grottego, w którym miało się odbyć posiedzenie KC PPR, był wykorzystywany przez Malgorzatę Fornalską i przez nią — zapewne w porozumieniu z Pawłem Finderm — został umówiony. Sama Fornalska nie miała w posiedzeniu uczestniczyć, zamierzała jedynie spotkać się z Finderm. Uczestniczyć mieli Paweł Finder, Władysław Gomułka, Aleksander Kowalski, Franciszek Jóźwiak i Hilary Chełchowski. Gomułka zobowiązał się zawiadomić Kowalskiego, a Finder pozostałych. Ponieważ Finder mieszkał również w Wesołej, Gomułka zaproponował mu jazdę do Warszawy tym samym pociągami. Finder jednak miał w sobotę zajęcia w Warszawie i, aby uniknąć zbędnych przejazdów, postanowił zanoćować w jednym ze swoich lokali. Aleksander Kowalskiemu Gomułka adresu nie dał, lecz umówił się z nim w okolicy Dworca Głównego, skąd rano przed ósmą udał się razem na ul-

relacja w naszych planach wartościowych — papier przewyższył koszty druku. Koszt 17,208 tys. książek kształtował się w granicach 1,5 mld zł, zaś koszt papieru 1,680 mld. W tym roku będzie jeszcze gorsza. skoro kilogram papieru kosztuje już 294 zł! Przecież nasz udział w cenie detalicznej książki wynosi 20—25 proc. W pierwszej połowie 1987 r. podobny był udział papieru, a teraz? Postawiliśmy więc pytanie: czy na książkę musimy zarabować? Czy musimy książkę oodatkowywać w takiej wysokości? Przecież za każde 1000 zł musimy oddać 650 zł. Podobnie wydawca, księgarz, papirnik. Po tym, co udało nam się zrobić w ostatnich trudnych latach, wnosząc, że i ten niełatwy czas zdołamy przezwyciężyć. Oby tylko nie rzucano nam kłód pod nogi.

M. KUŹNIAK: — My, pisarze, których tutaj reprezentuje, słyszymy często, że nie ma na rynku ciekawych książek współczesnych. Więcej. U wydawców i ludzi rozpowszechniających książki wyczuwamy nutkę swoistego lekceważenia środowiska pisarskiego, kiedy głoszą, jak to w kraju mamy zaledwie 20—30 pisarzy, którzy „dobrze się sprzedają”. To dowodzi nie tylko lekceważenia, lecz braku elementarnej wiedzy. Wybitne talenty rodzą się i rozwijają na bogatym podglebiu, jakim jest liczne zaplecze pisarskie. Słyszysz się również, że łódzkie środowisko jest mało widoczne. Otóż w 1988 r. ukazało się nakładem KAW, książka Tadeusza Białejewskiego o łódzkim środowisku literackim. Autor prezentuje w niej nazwiska 150 ludzi pióra uprawiających różne formy pisarskie. Badając kondycję tego środowiska stwierdziliśmy, że w ciągu półtora roku (1984—85) wydało ono kilkadziesiąt pozycji książkowych. Dowodzi to ogromnego potencjału twórczego. Sięży się także, że w składkach urosły góry książek. Ponoć na skutek błędów wydawców, nie trafionych tytułów, braku zamówień od księgarzy. A jak wygląda promocja książki? Formy tej sprzedaży upodobały się do przysłówiowego hańdla piętuska. Jak można mówić o promocji, skoro sprzedawca nie wie o autorze, o sprzedawanej książce? Do przeszłości należą czasy, kiedy księgarz proponował konkretny tytuł i na jego temat miał wiele do powiedzenia. Starzy księgarze odeszli, młodzi poruszają się w gąszeniu tytułów, bez wiedzy o tym, co sprzedają. Podobnie jest w wydawnictwach. Wraz z odeszciem starych redaktorów — przywódców pisarzy zatroskanych o zawartość i wygląd książki, współpracujących z pisarzem — odeszła pewna epoka, która miała wielkie zasługi w promocji książki i oświeca. Stosunki jakże zapanowały zdają się wskazywać, że redaktor wszystko robi, aby się książka nie ukazała. Jak to widzieć inaczej, skoro wydawca oczekuje jednej, drugiej i trzeciej „cenzury” zaproponowanej książki? Asekuracja, albo nie ma nic do powiedzenia! W żadnym razie współpraca. Na tych stykach powstają iskrzenia i dopóki się ich nie naprawi, dopóty nie będzie mowy o właściwych relacjach pomiędzy pisarzem, wydawcą, drukarzem, księgarzem. O ile sytuacja, w jakiej znalazła się polska książka — choć jest to najsłabsze miejsce — nie ulegnie poprawie, twórca, który chce trwać w piśmie, będzie musiał realizować się przy pomocy innych form wypowiedzi (radio, tv). Jedno jest pewne: poprawę widzę w doskonałości wszystkich dróg upowszechniających książkę.

E. KOLBUS: — Ponieważ jestem zarówno autorem jak i wydawcą, dlatego też niełatwo jest mi wypowiadać się w sposób w pełni obiektywny. Rozumiem wątpliwości i interesy autorów, ale tym bardziej rozumiem wydawców. Dopóki w naszym kraju na sprawy książki nie spojrzeliśmy w sposób globalny, dopóty cały system wydawania, promowania książki będzie chory i, jak każda choroba, może mieć fatalne następstwa. W wielu krajach książka zwolniona jest od podatku, u nas obłożona jest 65 proc. podatkiem konsumpcyjnym do wszystkich, którzy zajmują się wydawaniem i promocją. W ślad za tym rosną ceny. Wydawcy sygnalizują wyraźne zmniejszanie się zamówień sieci księgarskiej na

książki z dziedziny poezji, esastyki, krytyki literackiej, dramatu, nauki. Księgarze są ostrożni, może nawet zbyt ostrożni w zamawianiu poezji i prozy współczesnej. Lecz wydawcy, jakkolwiek są dla czytelnika, jednakże nie chcą schlebiać wyłącznie miernym gustom. Trzeba wydawać książki do czytania, ale proponując jednocześnie bardziej ambitne. Osobiście nie wierzę, by czytelnik kryminałów z terysem przekształcił się z czasem w wielobiciela Joyce'a. Jeżeli książki mają trafić do szerokiego rzeszy czytelników — a że powinni, to dla nikogo nie ulega najmniejszej wątpliwości — nie wolno ich poddawać brutalnym prawom rynku w pełnym wymiarze, bowiem za kilka lat obudzimy się bez własnej prozy i poezji współczesnej. Powiedziałem o bardzo niskich zamówieniach sieci księgarskiej na tomiki poetyckie — nie prze-

głoszę. Warszawy, potem wracając do Łodzi. Składnica nie jest w stanie fizycznie „przebrać” ilość książek, jakie do niej trafiają. Magazyny są wypełnione książkami wartości ok. 12 mld zł. Aby odciążyć składnicę „Dom Książki” stara się nakład z tzw. pierwszego rozdzielnika przejąć bezpośrednio z drukarni do sprzedaży, a dopiero drugi kierować do składnicy, na zapas. Bo przecież książka to nie gorące bułeczki, które muszą być natychmiast sprzedane. Powinna być w ciągłej sprzedaży. Brak magazynowego zapiecha nie pozwala na bardziej operatywne działania, jak to ma miejsce w Krakowie. Bydgoszcz np., gdzie udostępniono pomieszczenia dla DK. My dopiero teraz remontujemy nasze, choć już wyrzeczając składnicę, przejmujemy od paru lat do swych magazynów książki za ok. 1

mieliśmy taki przypadek ze starym księgarzem, któremu wymierzono potężną grzywnę i do przejścia na emeryturę nie był w stanie odstraszać się z szoku. Nie możemy mieć nawet półki z nowościami dla siebie, żeby wiedzieć, co proponować klientowi. To tylko nasz dyrektor na własną odpowiedzialność pozwolił założyć półki z nowościami. Przyczyn takiego stanu rzeczy trzeba więc szukać gdzie indziej. Na rynku księgarskim obserwujemy dziś charakterystyczne zjawisko. W księgarni klient spogląda wpięrk na cenę, potem dopiero, kto to napisał, jak jest wydane, wreszcie na wartość. O zakupie książki decyduje cena. Przy tym wszystkim cenę przewidują już sprzedawcy zainteresowani książką. Dają się to już wyraźnie odczuć w okresie przedświątecznym. Środowisko włókiennicze do bogatych nie należy.

e tym paradygmatem przykładzie, chciałbym odwołać się do innego. Otóż jestem członkiem Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek i z tej racji otrzymuję Przegląd Księgarski i Wydawniczy, lecz otrzymuję go z półrocznym opóźnieniem.

J. MARCHEWA: — Zgodnie z naszymi założeniami książka KAW jest najtańsza, a jeśli dodamy, że co piąta ukazująca się w Polsce książka firmowana jest przez KAW i jest najtańsza, ten fakt może napawać optymizmem. Dawniej KAW gorował nad innymi wydawcami wielkociągnymi nakładów, co przy normalnym rachunku ekonomicznym powodowało stosunkowo niskie koszty własne. Obecnie zdarza się, że wydawcy książki w nakładzie 20 tys. egz. ze względu na tematykę, zasięg, potrzeby oraz to, co określają zamówienia. Opracowując książkę uważamy często, że powinna ukazać się w nakładzie przynajmniej 10 tys., a zamówień zdolni jesteśmy zbierać 2—3 tys. Wtedy stajemy przed dylematem: wydać albo nie. Gdyby kierować się wyłącznie rentownością doszłoby w końcu do tego, że najlepiej — jak to określił red. Kuźniak — opłacałoby się niczego nie wydawać. Problem, przed którym stoją wydawcy i KAW, polega na tym, czy zakładany zysk musi sięgać 30 proc., a nawet 40. Przecież za godziwy uważa się zysk rzędu 15 proc. Znaleźliśmy więc proporcję pomiędzy zyskiem a książką wydawaną, jakby dla honoru wydawcy, dla uzupełnienia innych oczekiwań i potrzeb, rozwiązano — jak mówią złośliwi — tylko raz, gdy był w historii kultury tzw. złoty podział oświecenia i udało się tak podzielić, że wszyscy byli zadowoleni. Teraz jest to niemożliwe, stąd oficyny wydawnicze wydają „Przemiń się z wiatrem”, aby finansować książkę w nakładzie 5 tys. egz. KAW jest specjalną firmą. Jej struktura znakomicie się sprawdziła. Wydając album malarski, plasty, gry, zabawy i książki zawsze znajdujemy się na rynku i nawet w tak skomplikowanej sytuacji możemy wyjść na swoje. Małe oficyny książkowe, bądź tzw. monotematyczne muszą podejmować większe ryzyko, żeby się utrzymać, a jeśli spaść, to na przysłówiowe czerpy tapy. Skazane są na szybkie przeprofilowanie, planów wydawniczych, aby uniknąć błędów, choć jego prawdopodobieństwo jest większe.

W tym kontekście zamieszczona w „Perspektywach” dyskusja była bardzo symptomatyczna. Tuż literatury — Wojciech Zukrowski, Jerzy Wójcik, Leszek Żuliński i Jan Koprowski oceniali w niej rok 1987. To wcale nie był zły rok, stwierdzili, przytaczając wiele tytułów, o których wiadomo, że będzie się mówić jeszcze za lat 10—20. Lecz zaprezentowany w niej obraz jest jednak w jakiś sposób zafałszowany, bowiem nie wzięto pod uwagę jednego czynnika. Wyniki 1987 roku są po trochu takim plasterkiem miodu, który daje wrażenie, że nie jest tak źle, że był to rok dobry. Ale zapominają, że te dobre wyniki są rezultatem inicjatyw wydawniczych sprzed 3—4 lat, kiedy książka obracała się w zupełnie innym kontekście, że trafiły szczęśliwie na dzisiejszy trudny czas. I pozwalają nam wygodnie usiąść w fotelu i powiedzieć, że był to dobry rok, wbrew wszystkiemu. Myślę, że to poważnie służy stwierdzenie jest nam potrzebne, kiedy zaczynamy odczuwać się do świata doświadczeni i szukamy sposobów na trudną sytuację. Taki okład dobrze nam zrobi, uspokoi nieco, pozwoli uciec od rzeczywistości, która nas tak bardzo gardzi. Osobiście jestem przekonany, że i w roku bieżącym ukaza się znaczące pozycje zaczęte trzy lata temu. Lecz dopiero za cztery lata okaże się, co wydawcy zrobili dziś i wtedy dopiero będzie można powiedzieć, co jesteśmy warte. Rzecz więc sprowadza się do tego, co robimy w tym momencie, co robimy aby nie przeszkadzać tym wszystkim ogniom, które żyją książką i mają szansę doprowadzić za lat cztery do wyrównania szans. Jeśli złamię się pewne bariery administracyjne, finansowe, prawne, możemy mieć zaufanie, zarówno do pisarzy, że dostarczą nam godne wydania książki, do drukarzy, którzy — trafiają drukować, jeśli tylko nie siedzi im się na plecach i zmusza, aby szybko i dużo drukowali. Księgarze także chcą sprzedawać — z tego żyją. Niech więc te głosy w trwającej dyskusji doprowadzą tylko do zniknięcia barier, które nie pozwalają wydawcy na dobrą bież-

ke dobrze zapłacić autorowi, nie pozwalają dogadać się z drukarzami i księgarzami, aby taka książka szybko trafiła do czytelnika.

W. PIOTROWSKI: — Ktoś tu użył słowa „bariery”, czy do tego można coś dodać? Nie odpowiedziałem sobie na wiele pytań, recepty idealnej także nie znalazłem, bo odpowiedź są niezależne od nas. Czy nam, drukarzom, przyjemnie jest słuchać w prasie, że książka jest droga, bo drukarze drogo biorą? Czy drogo? Jeśli bierzemy średnio 25 proc., a z narzutem 30 proc. to, powiedzmy sobie uczciwie, nie można inaczej. Rentowność całej drukarni, którą kieruję jest w granicach 10 proc. Taniej nie możemy robić! Ja rozumiem, że mogą jeszcze wycisnąć z ludzi trochę wydajności, ale pytam się: ile? Zaczęć ciągnąć drukarza wtedy autor, wydawca, księgarz, zaczyna pytać: jakie drukujesz książki? To nie są śrubki, choć śrubki także muszą być dobrze wykonane. Uważam, że bez pomocy nie poradzimy sobie. Jeśli kuta, kopalinia, węgiel, mleko, chleb, tramwaje, teatry, kina i co tam jeszcze... może być dotowane, a książka? W takim razie może ona jest niepotrzebna? Oczywiście, to jest żart, ale sytuacja tak wygląda. Każdy tylko ubolewa, pisze, ale co dalej? Może i mówię hezję, ale w tej sytuacji w jakiej się znaleźliśmy jesteśmy osamotnieni, bo nic z tego, co się dzieje nie wynika. Powiedzieć mi więc, co my drukarze możemy zrobić? Staram się na co dzień dotrzeć do każdego stanowiska pracy, przekonam drukarza, aby miał świadomość, że jest współtwórcą książki, że od niego zależy jej ostateczny kształt, poziom edytorski, staram się upewnić, aby nie był automatem, że skoro książka kosztuje, powiedzmy, 500 zł, aby to była książka dobrze wykonana. Jednakże taniej nie mam możliwości drukować. Dyr. Czarnecki, który współpracuje na co dzień z niejednym wydawcą i niejedną drukarnią może potwierdzić, że możliwości potencjalna produkcja nie mamy. Ale musimy robić lepiej.

S. CZARNECKI: — Spotkałmy się gdzieś i zastanówmy nad tym, jakie książki by szybko poszły, bo jest na nie duże zapotrzebowanie. Pan spróbuje szybko je zrobić, kalkulując w miarę godziwy dla siebie zysk, my postaramy się odebrać nakład bezpośrednio z drukarni do księgarni i w ten sposób... Może powołamy jakąś spółkę? Możliwość do podejmowania wspólnych przedsięwzięć są duże. My dysponujemy siecią prawie 120 księgarni, a jeśli do tego dodamy inne województwa — Bydgoszcz, Poznań, Kielce — tam, dokąd transport nie będzie drogi kosztował. Jest to łącznie ponad 500 księgarni. Trzeba się spotkać kilka razy? Uważam, że to pierwsze spotkanie może być najefektywniejsze, wtedy pojawia się różne pomysły, koncepcje. Na początek walczyłbym książkę KAW, prezentującą bogaty wachlarz wydawniczy...

J. MARCHEWA: — Pomysł wydaje pod jednym warunkiem, że wcześniej zdecydujemy o jakiej książce będziemy. A jeśli to ma być książka KAW, to będzie z tym najmniejszy problem...

M. ZDROJEWSKI: — Mam nadzieję, że pomysły chwycą. Przynajmniej będzie to konkretny rezultat naszego spotkania. Zapewniam, że o wynikach ewentualnego przedsięwzięcia zrodzonego tutaj, postaram się poinformować naszych Czytelników. Dziękuję panom za spotkanie.

Dyskusję prowadził i opracował:

MARIAN ZDROJEWSKI

Przetrwaj zły czas

kracząc one 400 egz. Tymczasem koszty poligraficzne jednego egzemplarza tomiku poetyckiego wynoszą 600 zł. W ogóle, aby książka była dziś dochodowa, musi mieć nakład 40—50 tys. egz. Tak więc w tej sytuacji poezja, dramat, esastyka, krytyka literacka umiera śmiercią naturalną. Potencjalni czytelnicy książek z tych własności niełatwych dziedziny literatury mają przecież coraz mniej pieniędzy w kieszeni. Są to uczniowie klas maturalnych, studenci, młodzi pracownicy nauki, słowem: młody inteligent. Rezygnują więc powoli z zakupu interesujących książek, bo muszą oszczędzać, oszczędzając — okaleczają się. Co będzie z kulturą polską (czy ty-

ko 1,5 mld. zł rocznie. Lecz kiedy nawet uporać się z tymi sprawami, nie rozwiążą one jednak innych ważnych problemów. Jeden z nich podam na takim przykładzie: jak każde przedsiębiorstwo posiadamy pieniądze ze środków własnych, które angażujemy w proces sprzedaży. Są zobowiązania, kredyty bankowe, aby można było kupić książki od wydawców. I teraz: na koniec III kwartału 1987 r. mieliśmy zapasy książek na ok. 1 mld zł; 400 mln zł stanowiły kredyty bankowe, za które musimy płacić 6 proc. odsetki. Kredyty krótkoterminowe dochodzą 18 proc. Obecnie kredyty mają sięgać od 18 do 40 proc. Czyli za każde 100

S. CZARNECKI: — Mogę to tylko potwierdzić i uznać. W 1987 r. po raz pierwszy od siedmiu lat dynamika wzrostu cen książki była większa od dynamiki sprzedaży. To znaczy, że w roku 1987 dynamika była „robiona” tylko wzrostem cen książek. To nie jest takie czyste zjawisko, bowiem sprzedawaliśmy książki sortem lat, co niższych jeszcze cenach, lecz tym bardziej powinno niepokoić. Ktoś mówił o taniej książce w latach 1945—50. Ale to były czasy dużych dotacji do książki. Wtedy widać nas było stać. I jeszcze jeden szczegół. Dawniej książkę można było zamówić listownie, bowiem pocztą stosowała ulgi dla przesyłek książkowych. Teraz

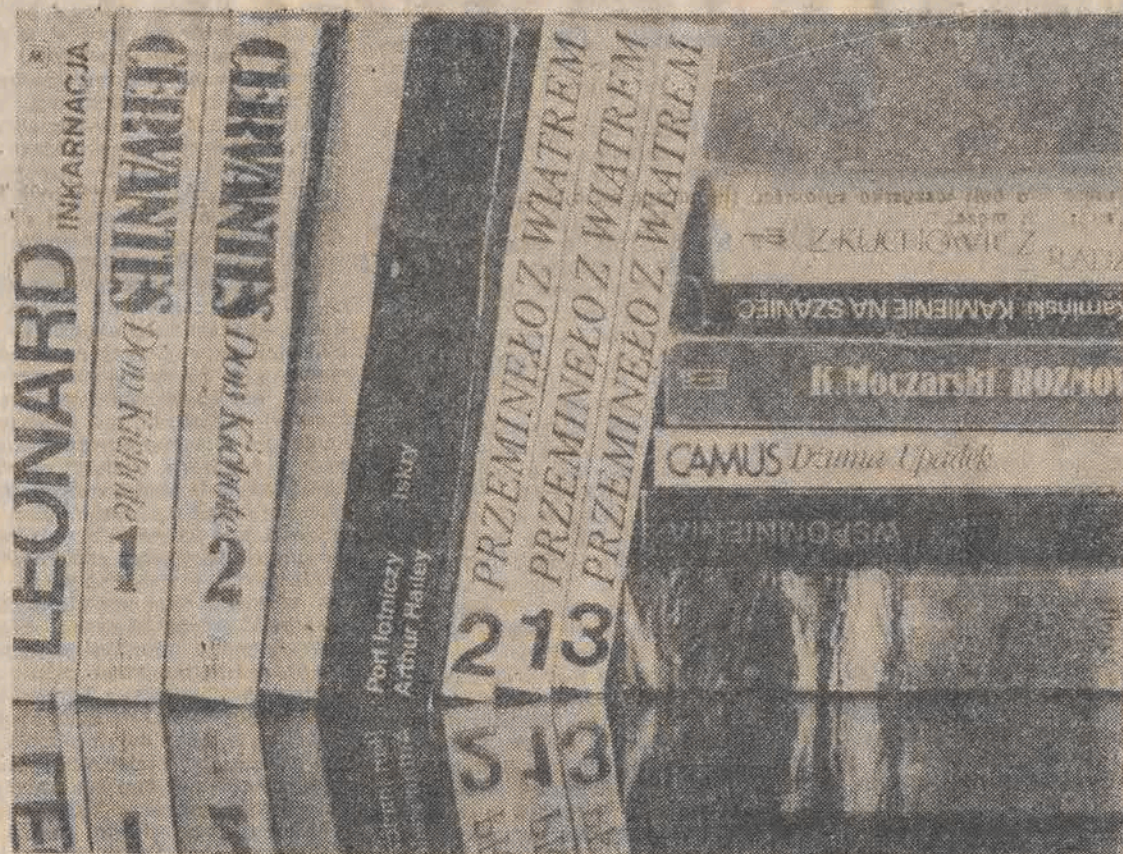


Foto: Grzegorz Gałasiński

ko kultura?) za lat kilkanaście, gdy wydawcy — zmuszeni do zarabiania — nie zachowują właściwych proporcji pomiędzy nakładami masowymi a niskimi, które dla rozwoju osobowego człowieka są najważniejsze? Książka nie obędzie się bez mecenatu. Nie może to być jednak mecenat wydawcy, którego na to nie stać, raczej... Zresztą, można też światła zawsze wspierał sztuki. Podkreślam więc, na książkę, jej promocję i produkcję trzeba wreszcie spojrzeć globalnie. W chwili obecnej autorzy, wydawcy, drukarze, papirnicy mają swoje, niekiedy bardzo własne i nie zawsze dające się pogodzić ze sobą interesy. Po to, żeby utrzymać firmę szef „Czytelnika” Stanisław Bebenek zmienia program wydawniczy i zamiast 4 kryminałów wyda 8, zamiast 50 tys. egz. „Przemiń się z wiatrem” wyda 250 tys., by w ten sposób ratować resztkę programu wydawniczego, a w nim tomiki debiutantów (za młodym twórcą nikt nie stoi, nikt się o niego nie upomni), esastykę i dramat.

S. CZARNECKI: — Drukowane i wydawane w Łodzi książki trafiają często do Byd-

gósza. Warszawy, potem wracając do Łodzi. Składnica nie jest w stanie fizycznie „przebrać” ilość książek, jakie do niej trafiają. Magazyny są wypełnione książkami wartości ok. 12 mld zł. Aby odciążyć składnicę „Dom Książki” stara się nakład z tzw. pierwszego rozdzielnika przejąć bezpośrednio z drukarni do sprzedaży, a dopiero drugi kierować do składnicy, na zapas. Bo przecież książka to nie gorące bułeczki, które muszą być natychmiast sprzedane. Powinna być w ciągłej sprzedaży. Brak magazynowego zapiecha nie pozwala na bardziej operatywne działania, jak to ma miejsce w Krakowie. Bydgoszcz np., gdzie udostępniono pomieszczenia dla DK. My dopiero teraz remontujemy nasze, choć już wyrzeczając składnicę, przejmujemy od paru lat do swych magazynów książki za ok. 1

W. KOZANOWSKI: — Czy jesteśmy księgarzami, czy tylko sprzedawcami, padło takie pytanie. Otóż księgarza uczy się obecnie tego samego, czego uczono starych księgarzy. Lecz wykonywanie tego zawodu w praktyce wygląda zupełnie inaczej. Np. księgarz nie może oddać książki dla stałego klienta, o którym wie, co go interesuje i jaki tytuł jest mu potrzebny. W przypadku ujawnienia przez kontrolę PIH, NIK, IRCh, bodaj jednej oddanej dotkliwa kara. Swego cza-

nie ma ulg, bo, jak ktoś powiedział: „jest to deficytowy interes”. Można więc zarzyść kłować twierdzenie, że chore są pewne mechanizmy funkcjonujące przy obiegu książki.

J. KOZŁOWSKI: — Z obserwacji gield wynika, że książka, a przynajmniej niektóre tytuły książek, stały się przedmiotem spekulacji. Interesujący tytuł trafia do czytelnika przez pośredników, którzy na książce żerują. Mógłbyśmy tutaj posłużyć się licznymi przykładami. Świadczy to o braku operatywności wydawniczej. Opo- wiew panom zabawną dyktarykę, jak pomysłowi księgarze swoistym sposobem sprzedawali niechodliwe tomiki poezji. Otóż przed świętami, kiedy ludzie kupowali prezenty a dużego wyboru książek nie było, personel bardzo dobrze księgarz na Teofilowie wpadł na pomysł, aby tomiki poezji, które spotkały los przemian, pięknie opakować i wystawić na widocznym miejscu. Wystarczyło, że taką książkę zainteresował się jeden klient, kupił ją i w mig wszystkie zostały rozprzedane. Tak więc w różny sposób można promować i sprzedawać książki. Nawet niechodliwe. Skoro już mówię

R

ozgorzała ostatnio dyskusja nad losem prochów Stanisława Augusta Poniatowskiego. Przypomina ona dyskusję, jaką przed wojną, w 1938 roku zainicjowały „Wiadomości Literackie”, pytając około siedemdziesięciu intelektualistów o miejsce, w którym powinny spocząć prochy króla. To samo pytanie pada dziś. Jakie jest pana zdanie w tej sprawie?

— Zanim odpowiem, chciałbym wnieść dwie uwagi. Pierwsza — nie zajmuję się specjalnie postacią Stanisława Augusta. Jeśli więc miałbym się wypowiedzieć, to jedynie w sposób ogólny. Druga — może lepiej na początek porozmawiać o samym królu. On, czas jego panowania, podejmowane wówczas reformy, jego polityka, jego wady i zalety — wszystko to razem budziło i budzi do dziś wiele emocji. Spór o Stanisława Augusta Poniatowskiego toczy się od dawna. Padają w tym sporze nieraz bardzo ostre oceny. Przecież, na przykład Tadeusz Korzon nazwał go „zdrajcą i zbrodniarzem”. Inni bronili króla, przytaczając różnorodne argumenty. Jednoznacznej oceny nie ma do dziś.

— Porozmawiajmy więc najpierw o samym królu. Należy pan do sympatyków Stanisława Augusta, czy do jego przeciwników?

— Jeśli patrzeć na to emocjonalnie, to nie mógłbym powiedzieć, że go szanuję i poważam. Mam do niego sporo różnych pretensji. Staram się go jednak rozumieć, czyli staram się postawić nie tylko emocje. Tak zresztą chyba powinien postępować każdy historyk.

— O co ma pan pretensje do Stanisława Augusta?

— Przede wszystkim o brak zdecydowania i konsekwencji. O nadmierne uleganie Petersburgowi, nie zdobył się bowiem nigdy, żeby powiedzieć — nie. A reprezentował przecież na-

momencie trudno było znaleźć inne wyjście. Przewaga militarna Rosji była miazdząca. Na to, by stanąć na czele wojny ogólnonarodowej nie było warunków. Król nie posiadał ku temu predyspozycji, odpowiednich cech. W moim mniemaniu trzeba było ratować co się da. Przypomnę, że przystąpienie do Targowicy doradził królowi jego najbliższy współpracownik. Doradzał je również Hugo Koliński. Zresztą przywódcy Targowicy byli bardzo niezadowoleni, że Stanisław August złożył swój akces. Słusznie bowiem przewidywali, że w ten sposób tracią wpływ na bieg wydarzeń.

— Pretensje o to, że Stanisław August nie stanął na czele walki narodowej mieli do niego nie tylko ludzie mu współcześni. Stanisław Ciemkiewicz opowiadał, że marszałek Edward Rydz-Smigiły, zapytany podczas jakiegoś polowania o miejsce spoczynku prochów ostatniego króla Polski, miał powiedzieć: — Król powinien stanąć na czele garstki wojska i zginąć jak bohater — wówczas doczekałby się pochowania z honorami na Wawelu... — A tymczasem umarł opływając w dostatkach i poniżeniu, w Petersburgu, jak to określił Joachim Lelewel.

— To takie bardzo polskie: szanować i czcić przegranych i nieszcześliwych bohaterów. Ale żeby być do końca obiektywnym, to trzeba też sprawy polskie widzieć na szerszym tle europejskim. We Francji trwa rewolucja. To jest czołowe zmartwienie mocarstw europejskich, które chcą zachować feudalną Europę. Polska jest problemem drugorzędym. Katarzyna poświęca więc Polskę dla ratowania celu nadrzędnego — feudalnej Europy. To jest polityka, w której nie ma miejsca na sentymenty.

— Ale politykę robią ludzie. Katarzyna przecież niegdyś kochała się w Stanisławie Augustcie, gdy ten był młodym dyplomata w Petersburgu. Nawet — czego nikt nie traktuje po-

sał już na ten temat Stanisław Wasylewski, może powrócić do tego tematu z czasem ktoś inny, przedstawiając te sprawy w bardziej nowoczesnym ujęciu.

— Wylania się z tego obraz człowieka zdrowego, dbałego o siebie, człowieka, który kochał życie.

— Kochał życie niewątpliwie, ale zdrowym nie był. Miewał zawroty głowy, mdlał często, po ukończeniu 50 lat jego stan zdrowia pogorszył się. Szybko się starzał. Można podejrzewać, że wówczas koncentrował się przede wszystkim na tym, aby żyć. Reszta go mniej obchodziła.

Sądzę, że należałoby zbadać osobowość, stan zdrowia króla wspólnie z psychologami, lekarzami. Może to wyjaśniłoby wiele jego zachowań, reakcji. Może u podłoża jego pewnej chwiejności i słabości kryły się właśnie ukryte motywy psychiczne, kompleksy? Nie zmienia to stanu rzeczy, niemniej może wyjaśnić przyczyny zachowań.

— Czy nie sądzi pan, że Stanisław August był właściwie człowiekiem samotnym? Nie lubił go magnateria, nie lubił szlachty, przeciw niemu była lewica.

— Owszem, miał większość przeciw sobie, chociaż udało mu się przecież stworzyć obóz królewski. Był zwolennikiem polityki małych kroków, a to niewielu zadowalało. Był wprawdzie okres, po uchwaleniu Konstytucji 3 Maja, kiedy wołano: — Król z narodem, naród z królem! — ale nie trwało to wiele więcej niż rok.

Dla mnie bardzo charakterystyczne jest to, że wielki realista jakim był Aleksander Fredro też był negatywnie nastawiony do króla.

— Ale mamy teraz dylemat: co zrobić z prochami Stanisława Augusta? Spoczywają w krypcie pod kościołem parafialnym w Wolicy. Pochowano je tam 14 lipca 1938 roku o godzinie 23.15. Pochowano po kryjomu, w otoczeniu policji. PAT opublikował komunikat o tym dopiero 29 lipca 1938 roku. Wywołało to oczywiście skandal. Dlaczego wstydziło się uroczystego pogrzebu króla?

— Czy się wstydziło? Znowu mogę się podzielić tylko moimi domysłami. Po pierwsze nie możemy zapominać, że w 1938 r. wiele miała do powiedzenia niechętnie nastawiona do ostatniego króla endecja. Po drugie, w owym czasie sporo do powiedzenia miał kler Kościoła katolickiego. Stanisław August był wolterianinem, katolikiem był właściwie tylko formalnie. Był jedynym królem polskim, który nie był w Częstochowie. Przypuszczam, że kler mu to pamiętał. Proszę również nie zapominać, że to wszystko działo się nie tak dawno po politycznej aferze związanej z samowolnym przeniesieniem przez Sapiechę trumny Józefa Piłsudskiego.

— A co dziś? Proponuje się: Łazienki, które ukochał, przygotowano nawet projekt kaplicy. Proponuje się Katedrę św. Jana w Warszawie i wreszcie tradycyjne miejsce spoczynku królów polskich — Wawel. Jakie jest pana zdanie? Powiedział pan na początku, że ma na ten temat swój pogląd.

— Mam. I myślę, że mógłbym go teraz wyjawiać, gdyż to, co do tej pory powiedziałem jest jakby tego uzasadnieniem. Ale może po kolei.

— Co więc pan sądzi o Łazienkach?

— Jak najgorzej. To jest miejsce spacerów, romansów, zabaw. Jakoś mi się nie kojarzy z grobowcem, z powagą „wiecznego spoczynku”.

— Skoro król za życia lubił życie, to może i byłoby to zgodne z jego usposobieniem, aby spoczywał po śmierci wśród bawiącego się tłumu?

— Nie! Osobiście odrzucam takie rozwiązanie.

— Dobrze, no to zatem katedra św. Jana w Warszawie.

— Już prędzej. Ale też byłbym przeciwny temu.

— Zatem tylko Wawel?

— Tak! Tylko Wawel. Skoro to jest tradycyjne miejsce spoczynku królów polskich, to i ostatni król powinien tam spocząć.

— Ale on ponoć nie lubił Krakowa. Poza tym — niektórzy utrzymują — skoro tyle jest pod jego adresem pretensji, to czy powinien leżeć między innymi królami polskimi?

— To jest demagogiczny i nacigany argument. A Sasi? A czujący się Sawadami Wazowie? A Michał Korybut Wiśniowiecki? To niby wszyscy, tacy wspaniali królowie? A przecież spoczywają na Wawelu. Uważam, że jest tylko jedno miejsce godne króla. To Wawel.

— Ale jest jeszcze jeden problem. Otóż, mam wątpliwości, czy prochy Stanisława Augusta w ogóle jeszcze istnieją. W 1938 roku trumnę otwierano kilka razy. Po stronie radzieckiej i wówczas stwierdzono, że król miał swoje insygnia. Po stronie polskiej już ich nie było. Co się z nimi stało? To ponoć jedna zagadka. Druga — czy trumna dojrwała do dziś? Przez Wolicy przechodził kilka razy front. W kościele stacjonowało wojsko. Był tam magazyn materiałów pędnych. Dziś jest to ruina po kościele. Zapadł się dach. Miejscowa ludność wie, że kiedyś pochowano tam jakiegoś króla, ale jakiego i czy jest tam jeszcze, tego nikt nie wie. Może już nawet śladu nie ma po naszym ostatnim królu?

— Przede wszystkim muszą do Wolicy najechać specjaliści. I im prędzej to się stanie, tym lepiej. W Wolicy niewątpliwie były prochy naszego ostatniego króla. Trzeba więc je odnaleźć i sprowadzić do Polski, nawet gdyby to były tylko resztki tych prochów. Król powinien więc wrócić z tułaczki i spocząć w ojczyźnie, na Wawelu.

— Nie pan do tej pory nie powiedział o kobietach w życiu króla. O Katarzynie II wiemy, a inne?

— Lubili kobiety, lubił ich towarzystwo, znalazł się na kobietach. Cechował go też bez wątpienia silny erotyzm. Historyka interesuje jednak przede wszystkim problem, w jaki sposób kobiety oddziaływały na jego działalność polityczną. Wobec braku badań w tym zakresie trudno na to jednoznacznie odpowiedzieć. Przypuszczam, że rolę pani Grabowskiej i innych faworytów należy ocenić raczej ujemnie.

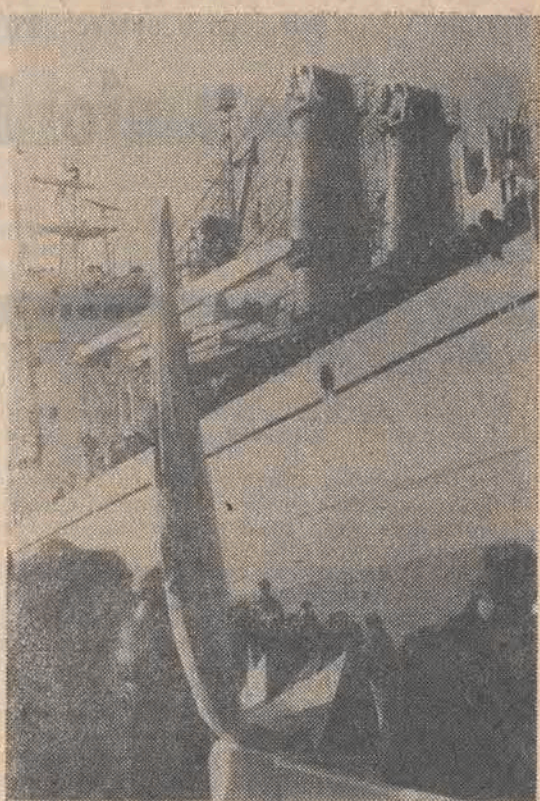
Jeśli chodzi o prywatną stronę tych kontaktów, to Stanisław August lubił niewiasty, jak to się powiada, kobiece w sensie psychicznym i fizycznym. To znaczy kokieterijne, przymliny, sympatyczne, eleganckie, pełnych kształtów. Pi-

„Łódź II”

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Ten nowy, pachnący jeszcze farbą statek, to „Łódź II” — najnowszy nabytek Polskich Linii Oceanicznych, w barwach których już wkrótce podejmie regularne rejsy do Ameryki Północnej. Ma 13 593 tony nośności, prawie 150 metrów długości i 22 metry szerokości. Wyposażony jest w nowoczesne urządzenia nawigacyjne i do przeładunku towarów. Rozwija prędkość 16,7 węzła.

15 lutego w gdyńskiej stoczni im. Komuny Paryskiej odbyła się uroczystość chrztu „Łodzi II”. Matka chrzestna, Jadwiga Kwaczynska, szwaczka z ZPDz „Iwona” w Łodzi, wygłosiła tradycyjne słowa: „... płyn po morzach i oceanach, sław imię polskiego stocznio-wca i marynarza”, po czym butelka szampa rozbiła się o burty. Rozległy się brawa — w tym także wielu łodzian przybyłych do Gdyńi tego dnia na czele z I sekretarzem KŁ PZPR — Józefem Niewiadomskim i prezydentem Łodzi — Józefem Pietrzykiem.



Gdzie mają spocząć prochy ostatniego króla Polski Stanisława Augusta? Jakim był królem, jakim był człowiekiem?

Nie chciany król

Rozmowa z profesorem ZBIGNIEWEM KUCHOWICZEM

ród i państwo. Nie chcą być zbyt surowym sędzią, lecz podzielam opinię, że ostatniemu naszemu królowi brakowało często poczucia godności.

— Zarzuca mu się wiele błędów popełnionych w polityce.

— Osobiście mam pretensje, że zbyt zaryzykował w 1789 r. zrywając z Rosją. Rosja od 1709 r., czyli od bitwy pod Poltawą, była takim mocarstwem, że należało się z nią więcej liczyć. Król miał przecież doświadczenia z 1767 r., gdy pod protekcją rosyjską zawiązano konfederację radomską i stępowano próby jego słuszných reform. Rozumien intencję, lecz sądzę, że powinien był być bardziej przewidujący. Podporządkowanie się Rosji nie było miłe, lecz pamiętajmy, że dążyła ona mimo wszystko do utrzymania całości Rzeczypospolitej. Największe niebezpieczeństwo zagrażało nam ze strony — dążących do rozbioru Polski — Prus.

— Stanisławowi Augustowi czyni się zarzut, że otrzymał koronę polską dzięki poparciu Katarzyny II i podczas obecności wojsk rosyjskich.

— Stanisław August został Polsce narzucony, to jest fakt. Pamiętamy jednak że już w 1704 r. Szwecja narzuciła Polsce Stanisława Leszczyńskiego, w 1733 r. Rosja, mimo że większość społeczeństwa szlacheckiego popierała wówczas Leszczyńskiego, narzuciła nam Augusta III i to również przy pomocy swych wojsk. Fakty takie miały więc, niestety, miejsce już wcześniej.

— Sugeruje pan wyraźnie, że dla Stanisława Augusta nie było innego wyjścia, jak tylko prowadzenie polityki prorosyjskiej.

— Myślę, że trzeba odrzucić sentymenty i chłodno spojrzeć na przeszłość. Trzeba zatem postawić pytanie: czy była wówczas szansa na inną politykę? W moim przekonaniu takiej szansy nie było. Dlatego powtórzę — Stanisław August popełnił poważny błąd odrzucając politykę prorosyjską.

— Stało się to w okresie Sejmu Czteroletniego. Taką polityka nie dawała chyba szans na przeprowadzenie wielkich reform, jakie się w Polsce dokonywały.

— Reformy były koniecznością. W jakimś zakresie król je sam wcześniej przeprowadzał. Zgadza się z poglądami, że w pewnym czasie był mistrzem w tzw. polityce małych kroków. W 1788 r. powstała szansa wielkich reform, zasadniczej przebudowy. Wielka szansa powiżana jednak z jeszcze większym ryzykiem. Sądzę, że doświadczony już wtedy politycznie Stanisław August winien uprzytamniać sobie, że Rosja dopuściła do reform tylko w pewnych granicach, że należy liczyć się z jej przeciwnym. Pamiętano przecież i rozbiór Polski.

Należało bardziej realistycznie i krytycznie patrzeć na politykę Wiednia, a przede wszystkim Berlina. Ignacy Potocki, stronnictwo patriotyczne za wiele ryzykowało. Król winien był być ostrożniejszy.

Jest rzeczą oczywistą, że Konstytucja 3 Maja stanowiła piękną kartę w naszych dziejach, swego rodzaju testament narodowy. Pamiętamy również, że król był przeciwny tej Konstytucji współtwórcą. Niestety. Jak można było przewidzieć, Rosja nie wyraziła jednak na nią zgody i zmontowała Konfederację Targowicką. Wojna 1792 r. została przegrana. W 1793 r., wskutek nowej sytuacji w Europie, dochodzi do II rozbioru Polski.

— Wiele sporów wywołał fakt przystąpienia Stanisława Augusta do Targowicy. Czy król rzeczywiście musiał do niej przystąpić?

— Król za przystąpienie do Targowicy jest ogólnie potępiany. Jednak sądzę, że w tym

ważnie — Paweł I, syn Katarzyny II, sugerował, już po objęciu władzy, uwięzionemu w Petersburgu Stanisławowi Augustowi, że ten jest jego... ojcem. Ale ta sama Katarzyna nazwała później swego byłego kochanka „woskową lałą”.

— Stanisława Augusta Poniatowskiego oceniamy na ogół jako polityka, jako mecenasa kultury i sztuki, natomiast mało o nim wiemy jako o człowieku. To jakoś uchodzi naszej uwagi.

— A co mógłby pan o nim powiedzieć?

— Podzielać opinię, że Stanisław August był człowiekiem inteligentnym, wykształconym, znawcą literatury i sztuki. Znał Anglię, Francję, Niemcy, Rosję. Był człowiekiem oświeceniowym, przekonany wolterianinem. Uważał, że w Polsce winien spełnić misję dziejową, dążyć do przeprowadzenia reform. Zaakcentuję, że nikt nie kwestionuje jego patriotyzmu.

— Ależ to piękna charakterystyka. A gdzie cechy ujemne?

— Miał je niestety również. Był człowiekiem nie tylko oświeceniowym, lecz Rokoka. Pojmując przez to hedonizm, nadmierne smakowanie pewnych uciech, niebezpieczną dla monarchii rozrzutność, popadł przez to w kłopotliwie dla niego dług. Najgorzej jednak — podzielał tu liczne głosy — że król nie miał silnego charakteru. Ulegał wpływom. Ogromnie lękał się stracić koronę. Stawiał często sprawy prywatne przed racją stanu.

— Kiedy miał jechać z Warszawy do Grodna — już właściwie do carskiej niewoli — ponoć bardziej martwił się tym, kto spłaci jego dług i z czego będzie żył w Rosji, niż tym, co stanie się z Polską i narodem. Nie darmo Józef Wybicki powiedział o nim: — Jemu się na Parnasie tron należał, ale nie tron Sarmatów, gdzie coś podobnego do Piotra lub Fryderyka mogłoby ten naród przerobić! — Czy nie ma w tym jakiejś racji?

— Denerwują mnie takie nieodpowiedzialne opinie. Polska nie była Rosją czy Prusami, była państwem słabym. Ale równocześnie z tradycyjną kulturą polityczną uniemożliwiającą kierowanie społeczeństwem przez despotów.

— Stanisław August nie miał więc zadatków na silnego władcę?

— W sensie psychologicznym nie miał na pewno. Nawet w życiu codziennym cechowała go wrażliwość estety. Lubiał dobrze jeść, choć jadł mało, lubił wino, ale pijał je umiarkowanie. Nie zażywał tabaki, choć używał jakichś środków podniecających.

— O tym się chyba słyszało najmniej.

— Zachował się list pewnego żydowskiego lekarza do poety Stanisława Trembeckiego, w którym ów lekarz szeroko rozplątywał się o szkodliwości zażywania takich środków. List ten znalazł i czytał Stanisław August. Można zatem wnosić, że zażywał te środki, skoro interesował się ich szkodliwością.

— Nie pan do tej pory nie powiedział o kobietach w życiu króla. O Katarzynie II wiemy, a inne?

— Lubili kobiety, lubił ich towarzystwo, znalazł się na kobietach. Cechował go też bez wątpienia silny erotyzm. Historyka interesuje jednak przede wszystkim problem, w jaki sposób kobiety oddziaływały na jego działalność polityczną. Wobec braku badań w tym zakresie trudno na to jednoznacznie odpowiedzieć. Przypuszczam, że rolę pani Grabowskiej i innych faworytów należy ocenić raczej ujemnie.

Jeśli chodzi o prywatną stronę tych kontaktów, to Stanisław August lubił niewiasty, jak to się powiada, kobiece w sensie psychicznym i fizycznym. To znaczy kokieterijne, przymliny, sympatyczne, eleganckie, pełnych kształtów. Pi-

O chwili tragicznego wypadku minie wkrótce rok. Trwa śledztwo. Już drugie — bardzo dokładne. Prokuratura Rejonowa Dzielnicy Łódź-Bałuty początkowo umorzyła sprawę. Po odwołaniu zainteresowanej do Prokuratury Wojewódzkiej, podjęto decyzję o ponownym rozpatrzeniu sprawy. Trzeba zatem przejrzeć dokumenty, przesłuchać świadków: lekarzy, pielęgniarki, salowe. Czas, jaki upłynął od chwili wypadku niewiele zatarł w pamięci przesłuchiwanym. Z jednej strony bowiem szum, jaki powstał wokół tej sprawy spowodował ciągłe jej omawianie we własnym gronie. Z drugiej — o takiej tragedii nie zapomina się łatwo: pacjent, młody, trzydziestoletni mężczyzna, popełnił samobójstwo w szpitalu.

Samobójstwo w szpitalu to coś zupełnie wyjątkowego. W szpitalach psychiatrycznych wypadki takie zdarzają się, choć na szczęście, niezbyt często. Tym razem chodzi o Szpital Psychiatryczny im dr Wł. Babińskiego w Łodzi, a ponadto głównym tematem, interesującym prokuraturę nie jest samobójstwo pacjenta, lecz to, co działo się później.

1. Najpierw wszystko było zwykłe. Uczył się, podjął pracę. Pojawili się jednak pierwsze oznaki choroby. Na tyle niepokojące i wyraźne, że matka sama zdecydowała oddać jedynaka do szpitala. Lekarze nie mieli wątpliwości — schizofrenia.

Nie na wszystkie choroby i cierpienia może radykalnie pomóc współczesna medycyna, również i w tym przypadku całkowity powrót do zdrowia i do zwykłego życia nie był możliwy. Okresy polepszenia, gdy chore przebywał w domu, pod opieką matki były coraz krótsze, coraz dłuższe natomiast — kolejne pobytu w szpitalu.

Los chorych psychicznie bywa różny. Nie należą do rzadkości przypadki, gdy po pewnym czasie zainteresowanie rodziny ustaje, nawet najbliżsi nie odwiedzają pacjenta w szpitalu, nie pytają lekarzy o stan jego zdrowia i rokowanie na przyszłość, starając się po prostu zapomnieć, że coś tak „hańbiącego”, jak choroba psychiczna, zdarzyło się w ich rodzinie. Bywa i tak, że dyrekcja szpitala musi występować z wnioskiem o przekazywanie renty pacjenta, którą dysponuje rodzina, a zapomniany przez nią chore nie ma nawet paru groszy na papierosy, mydło czy gazetę. Sytuacje takie wynikają zapewne częściowo z faktu, że choroby psychiczne w wielu środowiskach uważane są za coś wstydliwego, a także i stąd, że pobyt w szpitalu psychiatrycznym często trwa długo — nawet całe lata i pacjenci, w stopniu znacznie większym niż chorzy z oddziałów szpitali innych

Wystąpiła do prokuratury ze skargą o bezprawne i bezzasadne zatrzymanie na oddziale psychiatrycznym.

Ukarac lekarza za ludzki odruch?

TERESA JERZYKOWSKA

specjalności, wyłączeni są z życia rodziny i ze społeczeństwa.

W tym przypadku tak nie było. Matka przyjeżdżała do syna, starała się utrzymywać z nim jak najciszejszy kontakt. W końcu stało się tak, że na oddziale przebywała niemal na prawach domownika, dłużej i częściej niż oficjalny czas odwiedzin chorych, niekiedy częstowała kolacją, ba, nawet nocowała na kanapie w gabinecie lekarskim, korzystając z uśmiechu lekarzy, pragnących oszczędzić jej uciążliwej, kilkugodzinnej podróży do innego miasta, do domu, w czasie bardzo ostrej zimy.

Była u syna również dzień przed tragedią. Wieczorem rozstali się — poszła przenocować do znajomej w Łodzi (która adres był znany w szpitalu) zapowiadając wizytę również następnego dnia. Już nie miała spotkać się z synem — w nocy odebrał sobie życie, wieszając się na poręcz łóżka.

Dążenie do popełnienia samobójstwa jest często występującym u chorych psychicznie objawem. Także i ten pacjent wielokrotnie groził, że odbierze sobie życie. Lekarze, pielęgniarki, a nawet salowe z szpitali psychiatrycznych doskonale wiedzą, że tacy chorzy wymagają szczególnego nadzoru, bowiem nie są to tylko słowa. Pacjenci wykazują niezwykle niebezpieczność, konsekwencję i upór w dążeniu do realizacji swego tragicznego celu, potrafią wykonać najszybszy brak dozoru, najmniejsze odwrócenie uwagi pielęgniarki.

Na nocnym dyżurze przebywała jedna pielęgniarka i jedna salowa (chorych było 46, w tym kilku wymagających szczególnego nadzoru). Ich nieobecność trwała zaledwie chwilę. Odeszli nie po to, aby odpocząć, lecz do innych, koniecznych zajęć. To wystarczyło — chore powiesił się na poręczy, sporządzając pętlę z pasów, służących do unieruchomienia pacjentów znajdujących się w stanie silnego pobudzenia. Wezwany natychmiast lekarz nie mógł zrobić już nic, oprócz stwierdzenia zgonu.

2. I tu zaczyna się druga część

dramatu. Ordynator oddziału, na którym zdarzył się tragiczny wypadek, dr Maria Kurowska postąpiła nietypowo — i za to do dziś ponosi konsekwencje. Nietypowo — nie znaczy jednak w tym przypadku źle. Zachowała się po prostu bardziej jak współczujący człowiek, który chce zrozumieć tragedię drugiej matki, niż jak urzędnik.

Wiedziała — mówi dr Maria Kurowska — że matka pacjenta nocuje u znajomej w Łodzi. Postanowiłam więc wysłać samochód i kogoś z personelu szpitala i tu, na miejscu, sama powiedzieć co się stało. Telegram wydał mi się zbyt bezduszny, a ponadto obawiałam się, że zanim zostanie doręczony pani przybędzie do szpitala i od kogokolwiek, choćby od jakiegoś pacjenta, dowie się o śmierci syna. To byłoby brutalne, tym bardziej, że wiedziliśmy, iż choruje na serce...

Przyjazd pracownika szpitala był jednak przez matkę zmierzony odczytany jednoznacznie: stało się coś bardzo złego. Do szpitala jechała samochodem z zablokowanymi drzwiami, na sygnale, próbując wyskoczyć. W szpitalu, w pokoju lekarskim, bardzo gwałtownie objawiła swoją rozpacz, rzucając się na podłogę, tłukąc głową w ścianę, krzycząc, że nie ma po co żyć, że sama także pozabawi się życia. Nie pomógł zaaplikowany środek uspokajający.

Czy są granice ludzkiej rozpaczy? Czy można określić, jakie formy zachowań człowieka dotkniętego najgorszym, nieodwracalnym nieszczęściem są normalne, a jakie — patologiczne? Czy zresztą można wymagać bądź oczekiwać, że jakiegokolwiek form i norm będzie przestrzegała matka, która straciła jedyne dziecko? Każde z tych pytań może stanowić podstawę do dyskusji, w której na pewno nie wszyscy będą jednego zdania.

Niewątpliwie inaczej wyglądałby dalszy przebieg sprawy, gdyby nieszczęśliwa kobieta znajdowała się wśród współczujących rodziny czy przyjaciół. Otaczali ją jednak psychiatrzy — fachowcy, którzy nie tylko mogą, ale i muszą przewidywać konsekwencje ludzkich zachowań. Zachowanie matki uznano za zagrażające jej życiu i zdrowiu, podjęta została decyzja o zatrzymaniu jej na odd-

ziale psychiatrycznym i zabezpieczeniu.

Za tym niewinnym brzmieniem słowem kryje się drastyczny zabieg skrepowania kaftanem lub przywiązania do łóżka specjalnymi pasami, które, wykluczając swobodę ruchów jednocześnie uniemożliwiają działania na własną szkodę.

Dr Maria Kurowska jest specjalistą z ponad dwudziestoletnim stażem.

Jako lekarz uważałam, że w tym stanie szoku kobieta może spełnić groźby i podjąć próbę samobójczą — mówi — Również jako lekarz, a także jako człowiek uważałam i nadal uważam, że nie wolno mi było dopuścić do drugiej tragedii. Nadal twierdzę, że decyzja o pozostawieniu w szpitalu była słuszna. A przywiązanie do łóżka? Stosujemy to wobec chorych, ale nie dlatego, jak sądzą ludzie niezorientowani, aby ułatwić sobie pracę, nie po to, aby mieć spokój. Przeciwnie, człowiek unieruchomiony wymaga stałej obserwacji, wyłączonej uwagi, aby w porę zareagować na wszelkie wymagające interwencji objawy, a także ochronić przed możliwym, agresywnym zachowaniem ze strony innych pacjentów. Są oczywiście leki, ale przecież nie działają natychmiast i nie można podawać ich w nieograniczonych ilościach. Czasem nie ma po prostu innego wyjścia, jak przywiązanie do łóżka. Tak było i w tym przypadku...

Matka spędziła noc na oddziale, następnego dnia do szpitala zgłosiła się jej siostra, deklarując gotowość dalszej opieki. Kobieta opuściła szpital.

4. Następnego dnia — zgłosiła się na ogólny dyżur lekarza, czyli na tzw. obdukcję, w czasie której stwierdzono „siniaki i otarcia, które mogły powstać w szpitalu, w czasie wiązania, i wystąpiła do prokuratury ze skargą o bezprawne i bezzasadne zatrzymanie na oddziale psychiatrycznym.

Prokuratura Rejonowa Dzielnicy Łódź-Bałuty po zbadaniu sprawy umorzyła śledztwo. Jest więc oczywiste, że wobec lekarza, pielęgniarek i innych osób, mających związek z samobójstwem pacjenta i zatrzymaniem jego matki nie zastosowano żadnych sankcji. Decyzję

te zainteresowana uznała za niewłaściwą — odwołując się do Prokuratury Wojewódzkiej.

W jej piśmie czytamy m.in.: „Postanowienie Prokuratury Rejonowej uważam za niesłusne i głęboko krzywdzące mnie jako matkę, która straciła jedyne dziecko na skutek niewłaściwego dozoru i niedopełnienia obowiązku opieki. Podtrzymuję skargę o bezprawne zatrzymanie mnie siłą i umieszczenie na oddziale psychiatrycznym. Było to celowe ze strony lek. Kurowskiej, która w ten sposób chciała zrobić sobie furtek do usprawiedliwienia winy swojej i personelu...”

Bezprawne ograniczenie wolności człowieka to zarzut bardzo poważny. Winni takiego postępowania powinni być ukarani — i nasze prawo przewiduje odpowiednie sankcje. Czy jednak w tym wypadku miało to miejsce?

5. Każdy psychiatra każdego dnia podejmuje decyzję o zatrzymaniu pacjentów w szpitalu. Np. do Szpitala im. Wł. Babińskiego trafia codziennie około 20 pacjentów chorych psychicznie. Niektórych przywozi współmałżonek lub rodzice, wiedząc oni wyrażając zgodę na zatrzymanie w szpitalu, jeśli lekarz uzna, że taka potrzeba istnieje. Jeśli jej nie wyraża — pacjent odchodzi do domu.

Innych przywozi pogotowie, czasem milicja. Zaledwie niektórzy z nich sami mogą wyrazić zgodę na pozostanie w szpitalu. Inni — z reguły trafiający tu nie po raz pierwszy — wszelkimi sposobami, aż po demotowanie izby przyjęć, protestują przeciwko zatrzymaniu. A są i tacy, których nawet nie warto pytać, bo po prostu nie mają żadnego kontaktu z otoczeniem, nie wiedzą, gdzie się znajdują. Decyzję musi więc podjąć lekarz. I podejmuje ją mimo iż zawsze, z każdej takiej decyzji, widać prokuraturę i oskarżenie o bezprawne pozbawienie wolności. Nie więc dziwnego, że obecnie lekarze w Szpitalu im. Wł. Babińskiego nie chcą dyżurować w izbie przyjęć, że zdecydowanie odmówiła pełnienia dyżurów aż do czasu zakończenia sprawy, dr Maria Kurowska.

Ustawa psychiatryczna, która od wielu lat nie może wyjść z

stadium projektu, umożliwiłaby lekarzom spokojną pracę, stworzyłaby możliwość skoncentrowania się na tym, w jaki sposób pomóc przyjmowanemu właśnie pacjentowi, bez konieczności zastanawiania się: „zatrzymać — za co ewentualnie odsiedzieć, czy też wypuścić, a jak zarządzić szpitalem rzucić się pod tramwaj — to też odsiedzieć, ale z innego paragrafu”.

Obecnie tak właśnie wygląda sytuacja. Tak również byłoby w opisywanym przypadku. Oczywiście nie można z całą pewnością stwierdzić, że nieszczęśliwa matka podjęłaby próbę samobójczą, gdyby nie została zatrzymana w szpitalu. Możliwość taka jednak istniała. I wtedy — lekarz odpowiadać powinien za nieudzielenie koniecznej pomocy, w sytuacji gdy istniało uzasadnione domniemanie, że kobieta zagraża własnemu życiu. A może nie tylko własnemu — bo np. rzucenie się pod samochód mogłoby spowodować wypadek, w którym zginąłby również kierowca samochodu lub przechodzień?

6. Jest sprawa dyskusyjna, czy wolność jednostki oznacza również prawo do samobójstwa. Można zdaniem tak — ale jedynie wówczas, gdy decyduje o tym człowiek w pełni świadomości, zdolny do rzetelnej oceny swoich działań. Silny stres mógłby takiej oceny wykluczyć.

Wszystkich tych problemów bez działań legislacyjnych uniknąć się nie da, choć akurat w tym konkretnym przypadku może być sprawą unikniętą. Wystarczyło — zamiast samochodu — wysłać, jak przewidują przepisy — telegram z zawiadomieniem o śmierci chorego. I wtedy zaistniałaby dwiema drogami: albo matka przyjechałaby wiadomością na tyle spokojnie, żeby dotrzeć do szpitala lub przysłać kogoś, kto w jej imieniu załatwiłby niezbędne w takich razach formalności, albo też — podjęłaby jakieś drastyczne kroki przeciwko sobie.

Czy jednak przepisy powinny skłaniać do łepienia ludzkich odruchów (od lekarzy, zwłaszcza psychiatrów, powinniśmy ich oczekiwać w szczególności) a premiować świętym spokojem zachowanie przypominające administracyjną robotę? Kto raz i drugi narazi się na nieprzyjemności, może przestać jednoznacznie odpowiadać na takie pytania.

Człowiek chory, zwłaszcza chory psychicznie musi być otoczony opieką prawną i wyznaczonych przez nie instytucji, bowiem sam nie może bronić własnych interesów. Na ustawę psychiatryczną czeka także środowisko lekarskie. Psychiatrzy — działający w niezwykle trudnych warunkach, które jeszcze przez wiele lat nie zmienią się z powodu braku środków na ten cel, muszą mieć przynajmniej możliwość spokojnej pracy, bez widma wyroku.

Trema — to nic innego jak strach. Można się jej pozbyć.

Hipnoza zmienia stosunek do ludzi

ZOFIA KĘDZIARA

Trema to nie przeszkoda zewnętrzna, to rodzaj strachu, jaki jeden człowiek odczuwa przed drugim.

Przyczyny? — przede wszystkim brak wiary w siebie, nadmierna wrażliwość na krytykę, chęć dorównania, a może przewyższenia innych, również — pamięć poprzednich niepowodzeń, a czasem niechęć i negatywne nastawienie otoczenia. Nie zawsze trema jest zjawiskiem negatywnym, może też działać mobilizujące, ale jeżeli przeszkadza i szkodzi, trzeba z nią walczyć. Ale jak?

Trema jest zjawiskiem powszechnym, bo większa lub mniejsza przeżywa każdy, choć między odczuwaniem jej u różnych ludzi, jej natężeniem może być cała przepaść. Dlatego też ci, którzy ją lekceważą, którzy zwykli własną miarą mierzyć innych i sprawy uogólniać, nie potrafią często zrozumieć tego problemu nawet u swoich najbliższych.

Tremę próbuje się leczyć snem hipnotycznym, nierzadko daje to zadziwiające efekty.

Ludzie od dawna interesują się hipnozą. Niektórzy uważają ją za rodzaj szatlatanerii, inni przyznają, że coś w tym musi być, ale co? tego już nie potrafią określić. Początkowo zjawisko to wyjaśniała hipoteza, że istnieje pewna energia, którą jeden człowiek jest zdolny przekazać drugiemu. Potem sądzono, że to nie energia, ale raczej siła psychiczna, czyli oddziaływanie jednej osoby na drugą. W ten sposób

tłumaczy się, dlaczego ktoś potrafi wywołać sen hipnotyczny u samego siebie.

Wielu zwolenników znalazła teoria, że hipnoza to oddziaływanie energii, czy może raczej sugestii, które łączą się z oddziaływaniem na umysł usłoneczny.

Jedno zjawisko może mieć wiele imion. Do hipnozy bardzo zbliżony jest pochodzący z Indii trening auto- i heterogeny. Nie zapada się podczas niego w tak głęboki sen, ale mechanizm oddziaływania jest identyczny i już dość dobrze u nas znany. Pewnie nie raz widzieliśmy na filmie człowieka wprowadzonego w sen hipnotyczny słowami:

— Jest pan śpiący, coraz bardziej śpiący, głowę ma pan ciężką, ręce ma pan ciężkie i nogi panu ciężkie, nie może się pan poruszać, nie może pan podnieść powiek, już pan zasypia...

W Łodzi z dużym powodzeniem trening heterogeny stosuje JERZY KALUŻYŃSKI, lekarz medycyny i stomatologii, jednocześnie doktor nauk humanistycznych. Poprzez tę metodę doktor Jerzy Kalużyński pomaga odzyskać się od palenia czy pokonać beznamię, choć leczy przede wszystkim stany nerwicowe, trema i szczególnie jej rodzaj, jaki występuje u ludzi jaskających się.

— Od dawna interesowałem się tremą, a przed laty zastanowił mnie pewien problem — powiedział mi doktor Jerzy Kalużyński — dlaczego jaskający się, kiedy jest sam, może mówić i czytać płynnie, mało tego, jeśli ma talent oratorski, a może go mieć, jak każdy inny człowiek, przemawia, recytuje swobodnie, bez żadnych przeszkód, lecz gdy znajdzie się wśród

innych ludzi ma trudności, zaczyna jaskać się albo w ogóle nie może mówić.

Zorientowałem się, że to nie jakaś przeszkoda zewnętrzna utrudnia swobodne mówienie, ale coś co tkwi w nim samym. Ta przeszkoda wewnętrzna wydawała się być dziwnie „kapryśna”, gdyż pojawiała się i znikła. Zwykle występowała w okolicznościach najmniej pożądanych, kiedy człowiekowi należało na publicznej wypowiedzi. U kogoś, kto się jąka występować często paraliżujący lęk przed jaskaniem, który można nazwać tremą. W przyszłości nie ma ostrzegania między chorobą a zdrowiem, więc podobną tremę spotyka się u ludzi mówiących płynnie, tremę, która często nie pozwała na rozmowę i pokazywanie swoich możliwości.

Trening heterogeny daje dobre rezultaty przy leczeniu stanów nerwicowych.

Najtrudniejsze jest leczenie jaskających się

Michał jaskął się właściwie od wczesnego dzieciństwa, przyczyna tego była nieznana. Później jeszcze pewne trudności w płynnym mówieniu uległy nasileniu. Chłopiec przeżył ogromny lęk. Po raz pierwszy — gdy bał się zabiegu usunięcia migdałów, i drugi — na koloninach. Przeżywał tam w towarzystwie starszych kolegów, uczestniczył w całodziennych wycieczkach górskich, których bardzo bał się, choć nie chciał się do tego przyznać.

W czwartej klasie szkoły podstawowej pojawił się lęk przed odzywaniem się — owa trema jaskających się. Jeszcze do niedawna nie odczuwał żadnego skrepowania, ale zrażony reakcjami kolegów zaczął wstydzić się swojej mowy, przestał w szkole sam zgłaszać się do odpowiedzi.

W liceum ten lęk jeszcze się powiększył. Kiedy zaczynał mówić, silnie się jąkał i zaczął. Często rozpoczynał wypowiedź od: „no”, „ale”, „tego”, aby w ten sposób odwrócić uwagę od przedmiotu strachu, zmieniał w ostatniej chwili szyk wyrazów, opuszczał pewne słowa, zastępował je innymi. Najchętniej jednak milczał. Zajął się nim doktor Kalużyński.

Wyniki badań specjalistycznych były następujące: Neurolog-psychiatra: intelekt w normie, objawów organicznego uszkodzenia centralne-

go układu nerwowego nie stwierdza się. Laryngolog napisał: nieznaczne skrócenie przegrody nosa w lewo. Gardło bez zmian. Internista i endokrynolog: odechleń od stanu prawidłowego nie stwierdza się.

Po około półrocznym leczeniu u Michała nastąpiła znaczna poprawa. Teraz już ważniejsza od samego treningu heterogenego stała się rozmowa z pacjentem i ćwiczenia mowy.

— Jak było u szkoły? Z jakimi słowami miałeś trudności? Spróbuj je powiedzieć.

— A-A-Ania.

— Odpętl się, rozluźnij, spróbuj jeszcze raz, ale miękko.

— Ania.

Elementem terapii jest głośne czytanie, najlepiej przy wielu słuchaczach nieznanymi Michałowi.

Michał czytał fragmenty historii II wojny światowej, nie miał większych problemów. Tylko dwa wyrazy: układ i przeciw okazały się bardzo złożone, trochę się na nich potknął.

— Dobrze, a teraz opowiedz, co przeczytałeś, tylko pamiętaj, że masz być panem własnej mowy, najlepiej patrz pani prosto w oczy.

Również ta próba wypadła pomyślnie, poszło zupełnie gładko.

— Musisz być jak posąg Buddy, ręce spokojnie — napomina swojego pacjenta doktor Jerzy Kalużyński. — A gdybyś tak nagle zaczął się głośno śmiać, to co? Pomyśl sobie — Ty jesteś durniem, a ja i tak skończę.

Michał, tak jak inni pacjenci wie, że musi być wytrwały, najlepiej tak wytrwały jak Demostenes.

Swoim pacjentom doktor Jerzy Kalużyński powtarza:

— Gdy ci chwają, nie rób sobie z tego nic, jak ci pania, nie przejmuj się za bardzo, trzeba, abyś niezależnie się od ludzi.

Jedna z popularniejszych polskich piosenek mieszka w Łodzi, ale co z tego faktu wynika dla miasta, dla łódzkiej publiczności i... dla pani?

— Nic. Dokładnie — nie. Jak do tej pory nie udało mi się tu wystąpić z własnym programem estradowym „Krystyna Giżowska i jej goście”. Wyjątek stanowią okolicznościowe koncerty, do których zaprasza mnie czasami Estrada Łódzka. Wszyscy twierdzą, że Łódź jest trudnym miastem dla kultury i nikt nie chce się podjąć organizacji moich koncertów w Łodzi. Ewa Bratoń przedstawiała mnie w łódzkiej TV jako stu-procentową łódziankę, to miłe i chciałabym coś dać Łodzi, ale nie zależy to wyłącznie ode mnie

to ujał. Marzę o willi i rzeczywiście byłam zainteresowana jej nabyciem, wybrałam na podstawie ogłoszenia w prasie niedużą i jeszcze nie wykończoną willę w Konstancinie koło Warszawy. Okazało się, że kosztuje 40 mln. więc marzenie o własnym mieszkaniu scedowałam na segment o powierzchni 100 m kw., z garażem i piwnicą, w której można by założyć studio do pracy. Póki co — ceny rosną i pewnie już ich nie dogonię, więc dalej wynajmuję małe mieszkanie na Polesiu.

— W Ameryce przebywała pani prawie pół roku, to spory okres dla piosenkarki. Jak go pani wykorzystała?

— Przez prawie 1,5 miesiąca pracowałam w kabarecie „Kawon” z doborową trupą artystów: Jan Kobuszewski, Jan

wo, Polonia jest na bieżąco z polską listą najpopularniejszych przebojów.

— W jaki sposób dociera tam sława polskich piosenek, szczególnie młodych, których przecież nie znała?

— Dystrybucja polskich płyt i kaset do sklepów polonijnych jest prowadzona na bieżąco. Łuki uzupełniają Polacy przyjeżdżający do USA. Później przeboje szybko przenoszą się do klubów.

— Powiedziała pani, że w Ameryce trzeba bardzo ciężko pracować, aby dostać dolarów. Jak ciężko pani pracowała?

— Nie wyjechałam tam no to, żeby pracować jak przysio-

— Ponad wszystko. Jest to coś, co jest tylko i wyłącznie moje.

— Jak wygląda pani życie prywatne?

— Żyję bardzo szybko i dość intensywnie. Brakuje mi czasu na wszystko, nawet na pracę. Marzę o spokoju i kiedyś on nadchodzi, chce mi się jechać w trasę. Po dłuższym tournée tęsknię do domu, do dziecka. Wciąż gonię czas

— Wnioskuje, że w domu rządzi pani, w pracy mąż — menażer?

— Tak to wygląda, choć Wojtek lubi wtrącać słowa w domowe sprawy, ale ja w sprawach zawodowych też mam coś do powiedzenia.

— To przecież idealny mariaż w tym zawodzie?

— Gdy dwoje ludzi dobrze się rozumie, lepiej się żyje. Marzę o tym, żeby tak było.

— Czy zdala się pani wyłącznie na opiekę i prowadzenie męża — menażera?

— Wyłącznie. Sama nie dałabym rady, choć kto wie, jak by to wyglądało gdybym musiała? Nie wiem...

— Ale piosenka „Przeżyłam z tobą tyle lat” nie była jemu dedykowana?

— Ta piosenka nie była przeznaczona także dla poprzedniego mężczyzny w moim życiu. Był to dalszy ciąg utworu „Nie było ciebie tyle lat”, który tak bardzo podobał się słuchaczom i spowodował masę listów, że postanowiliśmy przedłużyć jego żywot. Powstała trzecia piosenka z tej serii „Mnieło znowu kilka lat”, która aktualnie jest na liście przebojów i programu PR (magazyn „Rytm”). Jest to pewna mała historia życia zamknięta w trzech piosenkach. Ale to już naprawdę finał.

— Ciekawy jestem, kiedy znudzi się pani Łódź?

— Na razie jest tu sympatycznie, mam miłych sąsiadów, którzy pilnują mieszkania. Mieszkam w najładniejszej dzielnicy Łodzi i nie zamierzam na razie wyjeżdżać

— Chciałaby pani znowu wyjechać do Ameryki?

— Tak. Poznałam tam wiele sympatycznych osób, dzięki którym czułam się jak u siebie w domu. Ale narz chleb jest o wiele lepszy, wędliny również.

— Obecnie znalazła się pani na etapie robienia pieniędzy, bo karierę w Polsce i NRD już zrobiła. Ale to grozi zastojem artystycznym i zejściem z rynku, który choć tylko krajowy, potrafi być bezlitosny?

— W obecnych czasach, polski wykonawca nie zarabia pieniędzy, które mogłyby zapewnić mu odpowiedni standard życiowy, a wkład pracy jest nie współmierny do osiągniętych sukcesów. Żeby zapewnić sobie przynajmniej średni standard, nie ma mowy o skupieniu się na pracy nad sobą, trzeba wciąż jeździć i zarabiać. Ponadto obecny poziom wyposażenia studiów nagrań jest fatalny, urządzenia przestarzałe, nie ma części zamiennych. Dlatego wielu polskich wykonawców stara się za granicą o zakup własnego sprzętu do pracy, muzyków o instrumenty, wokalistki o mikrofony.

— Pani również?

— Kupiliśmy sporo sprzętu do pracy na estradzie i w studio. Urządzenie pogłosowe już wykorzystaliśmy przy najnowszych nagraniach.

— Co w najbliższym czasie?

— Wyjeżdżamy na dwutygodniowe tournée po kraju.

Rozmawiał:
**BOHDAN
GADOMSKI**



Mówi: Andrzej Makowiecki

— Ile napisałeś książek?

— 13. A ty?

— Też 13.

— Jak się czujesz?

— Dobrze.

— Co teraz piszesz?

— Nową powieść.

— O czym ona będzie?

— Zaraz, zaraz Andrzej, kto tu właściwie kogo pyta? Przecież to ja z tobą przeprowadzam wywiad, a nie ty ze mną. Zagrała w tobie krew reportera, tego od „Ściany płazów”, który to reportaż zamieścił w „Odgłosach” przeszło dwadzieścia lat temu i który narobił wówczas niebываłego szumu...

— Teraz daleko odszedłem od reportażu, który uprawiam wszelako w „Odgłosach”, a także sporadycznie w innych tygodnikach...

— Teraz tematyka twoich reportaży niezmiernie się poszerzyła i obejmuje kilka kontynentów. Wydaje mi się jednak, że prawdziwą popularność zawdzięczasz swoim powieściom.

— Być może. Znam co najmniej 50 krajów świata: niemal całą Europę, obie Ameryki, zdrowy kawał Azji i Afryki. Nie byłem wprawdzie w Australii, ale kto wie... Ze wszystkich tych krajów pisałem reportaże, ale zgadzam się z tobą, że prawdziwą popularność przyniosły mi powieści; takie, jak przeniesiona na ekran „Co dzień bliżej nieba” i filmowana obecnie „Powrót w bieszczady” oraz takie jak „Kwadrans śpiącej królowej”, „Noc saksofonów”, „Rapiér Napoleona” i „Nie ma pociągów do Barcelony”. To one zdobyły jakieś uznanie czytelników i wydawców.

— Nie wspominałeś o zbiorach opowiadań, z których wiele było inspirowanych twoimi podróżami po świecie. Myślę o takich książkach jak „Dłonie i pięści” czy „Przepis na wymianę twarzy”.

— Nie zawsze temat zainspirowany np. Paryżem lub Buenos Aires wymaga odrębnej powieści, czasem jest to przeżycie bardzo kameralne i wówczas opowiadanie lub nowela, która ma ten sam nośnik co powieść. Ostatnio rzadko jednak uprawiam ten gatunek. Na dobrą sprawę moim żywiołem jest forma powieściowa.

— Jaki jest łączny nakład wszystkich twoich książek?

— W granicach 600 tys. egzemplarzy, ale wierzę, że w ciągu najbliższych pięciu lat będę milionerem.

— Wnoszę z tego, że przygotowujesz do druku nowe pozycje. Co to będzie?

— Krajowa Agencja Wydawnicza wyda wkrótce powieść „Król Manhattanu” i wznowi zapewne „Rapiér Napoleona”.

— Osobiście odbierałem telefony od czytelników poszukujących tej książki. W jakim nakładzie ukaże się drugie wznowienie „Rapiéra”?

— To zależy od wydawcy. Mogę jedynie powiedzieć, że zamówienia, jakie napłynęły z sieci księgarskiej są czterokrotnie większe od zamówień, jakie były przed wznowieniem „Gorącego kartofla” KTT.

— Widzę, że jesteś z siebie zadowolony.

— W miarę. Wprawdzie nie umieścił mnie w pewnym ilustrowanym wydawnictwie encyklopedycznym — w którym nie umieścił również ciebie czy choćby Bernarda Sztajnera — ale może będziemy za to w angielskim „Who is who” wydawanym przez Cambridge. W Polsce jest moda na cholernych przeciętniaków i od takich aż się roi w różnych czcigodnych wydawnictwach, podczas gdy prawdziwi pisarze muszą po prostu spokojnie poczekać.

— Fakt, że każdy wie kto to jest Andrzej Makowiecki, a nikt nie zna dzieła średnio utalentowanej warszawskiej grafomanki...

— No, właśnie. Najważniejsze, aby niepotrzebna zawsze nie zakłóciła nam procesu trawienia. Mówię zresztą o tym wszystkim bez złośliwości i żółci, nie mam kompleksu Warszawy, którą skądinąd bardzo lubię choćby dlatego, że jestem od wielu pokoleń warszawianinem i gdybym chciał, bez trudu mógłbym tam wrócić. Jestem jednak skazany na Łódź, siedzę tu z uświadomionego wyboru i gdyby nie to miasto, nie zrealizowałbym się prawdopodobnie jako pisarz.

— Mimo to je opuszczasz...

— W każdym razie nie dla Warszawy. Jedni mają Warszawę, a ja mam Łódź i cały świat. Dlatego nie skamieję po nocach, że źle o mnie napisali w „Szpilkach”, albo że zaczęli mnie jakiś inną przemądrzały tygodnik. Jakże to swoją drogą dziwnie są ludzie, którzy współczują mi, że piszę dla 70-tysięcznych „Odgłosów”, a nie piszę do jakiegoś znanego, niskonakładowego warszawskiego tygodnika. W tym myśleniu jest hańbiący błąd i dyskryminacja czytelników, zupełnie tak, jakby ten czytelnik łódzki był gorszy, jakby większe znaczenie miało pisanie dla — powiedzmy — dwudziestu tysięcy wielkomięskich snobów niż dla 100 tysięcy uczelnych łódzkich obywateli. Zatem nawet jeśli wyjadę na dwa lata do Afryki, co nie jest jeszcze takie pewne i za wcześniej pochwaliłem się tym telewizji, moje serce zostanie w łódzkim depozycie.

— W tej twojej wypowiedzi jest sporo gorczy, ale przecież twoje książki są czytane w całej Polsce, a dla pisarza jest to chyba najważniejsze. Nigdy miejsce urodzenia czy miejsce zamieszkania nie decydowały o popularności dzieła literackiego, jeśli to dzieło znajdowało uznanie u szerokich rzesz czytelników.

— Oczywiście. Byłem na liście bestsellerów w księgarni krakowskiej i jestem bardzo wysoko notowany na giełdzie warszawskiej. Otrzymuję listy od czytelników z całego kraju. Moja gorzka więc często bywa przypisywana miodom.

— Chciałbym jednak, aby nasza rozmowa zawierała więcej optymizmu. Pomówmy może o tobie jako o Andrzeju Makowieckim, któremu nie co ludzkie nie było i nie jest obecnie...

— Optymistyczne jest to, że piszę dwie kolejne powieści, i że będę musiał szukać wydawcy dla swojej reportażowej książki z Meksyku.

— Nie o to mi chodzi. Istnieje literatura, o czym tu dość dużo mówiliśmy, ale istnieje również kobiecy, o których nie wspomnieliśmy, choć odegrały one także i w twoim życiu znaczącą rolę.

— Nie czytam książek napisanych przez kobiety. Wprawdzie od czasu do czasu, któraś tam zostaje premierem, ale nie wierzę, aby była w stanie napisać „Biesy”, „Annę Kareninę” albo wygrać z Rembrandtem na poligonie malarskim. No, piszą oczywiście świetne wiersze, ale to wszystko.

Rozmawiał: **EUGENIUSZ IWANICKI**

Ludziom wydaje się, że artyści estrady zarabiają krocie...

Za dolarowe grosze...

Rozmowa z **KRYSTYNĄ GIŻOWSKĄ**.



Foto: Rafał Jasionowicz

i mojego menażera Wojtka Olejnika. Jestem do dyspozycji.

— Kiedy rok temu napisałem, że mieszka pani w Łodzi, w wynajętym małym mieszkanku, mało kto chciał w to wierzyć?

— Ludziom wydaje się, że artyści estrady zarabiają krocie. Owszem, zarabiamy więcej niż wynoszą przeciętne pensje, ale też znacznie więcej pracujemy. Stałe jesteśmy w rozjazdach, na trasach koncertowych, mieszkamy w hotelach, trzeba się samemu utrzymać i zadbać o siebie na estradzie. Mam takie same problemy jak wszyscy Polacy. Kiedy zapytałam w Departamencie Estrady Ministerstwa Kultury i Sztuki — czy istnieje możliwość otrzymania tałonu na samochód, usłyszałam, że owszem mogę złożyć podanie w tej sprawie, ale moje szanse są nikłe.

— Ale przecież ma pani samochód?

— Mój Golf Diesel ma już 8 lat i ciągle jest naprawiany. bo pracuje więcej od nas. Bez samochodu nie moglibyśmy przecież w tym zawodzie pracować.

— Ale za to teraz, po powrocie z Ameryki, szuka pani willi i wcale nie do wynajęcia, lecz na stałe?

— Ha, ha, ha. Wspaniale pan

Kociniak i Włodzimierz Nowak. Dzięki nim udało mi się spokojnie przeżyć ten czas. Jeździłiśmy po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, przebywając setki kilometrów, oglądając miejscowości tylko z okien samochodu i motelu. Dopiero będąc na kontrakcie w Nowym Jorku i Chicago, mogłam trochę poznać miasto, ludzi, którzy wiele mi pokazali.

Np. widziałam Polaków bardzo ciężko pracujących i oszczędzających każdy grosz. Nie odważyłabym się na coś takiego. Byli też inni, z obywatelstwem amerykańskim, którzy urządzili się tam wspaniale, ale tęsknią do kraju. Ja również tęskniłam i nie mogłam doczekać się powrotu. Najważniejsze jest chyba to, że się tam podobałam, że ludzie przychodzili do klubu na spotkania ze mną i znali moje przeboje. Udzieliłam wielu wywiadów w prasie polonijnej, ukazały się moje zdjęcia, także na okładkach. W ogóle było spore zainteresowanie moim przyjazdem.

— Czego najchętniej słuchają Polacy w Chicago?

— „Chalupy”, „Daj mi tę noc”, „Nie było ciebie tyle lat” i „Przeżyłam z tobą tyle lat”. Zespoły grające do tańca najczęściej były proszone o te utwory, wśród których znalazły się moje dwie piosenki. O dzi-

wowy „murzyn”, lecz przebywałam na kontrakcie PAGARTU, z wcześniej ustalonymi warunkami pracy i gażą.

— Za ile?

— Na pewno za o wiele mniejsze honorarium niż proponuje się znanym amerykańskim gwiazdom.

— I co za te „dolarowe grosze” pani tam kupiła?

— Kupiłam kilka kuponów materiałów na nowe stroje estradowe oraz dwie gotowe sukienki. Dla synka kupiłam kilka miszków do zabawy.

— To rzeczywiście niewiele. A na co w ogóle nie było panią stać?

— Na wiele różnych rzeczy. Wbrew pozorom Ameryka jest droższa od Europy i trzeba tam długo się zastanawiać — co kupić.

— Podczas tak długiej nieobecności zesłała pani nieco z krajowego rynku.

— To naturalna kolej rzeczy. Ale przesył też nie jest wskazany. Publiczności trzeba czasami dać odpocząć od siebie.

— Co przygotowała pani na powitanie?

— Polskie wersje amerykańskich hitów, obecnie tam lansowanych, dwa z nich nagrałam w radiu: „Wędrowka w przeszłość” oraz „Rok mija tak jak dzień” (w duecie z Jerzym Różyckim).

— Czy po powrocie zauważyła pani jakieś istotne zmiany w rodzimym branży?

— Żadnych, poza tą, że obecnie jest jeszcze trudniej tu pracować. Miniony rok był wyjątkowo trudny, wzrosły ceny biletów, koszty imprez, które w związku z tym coraz trudniej sprzedać. Gra się dużo mniej koncertów, jeśli chodzi o mój program, to na razie sprzedaje się dobrze. Jeżdżę po Polsce bez tzw. giletu.

— Przed wyjazdem obiecywała pani zmiany u samej siebie, ale widzę wciąż tę samą Giżowską?

— Próbowałam się zmienić, zaczęłam od fryzury, ale ostatecznie powróciłam do tej już znanej. Może brakuje mi odwagi?

— Co zabiera pani najwięcej czasu?

— Mój półtoraroczny syn Marcin.

— Czy renomowane piosenkarki mogą sobie pozwolić na dziecko?

— Mogą i nie ja pierwsza zdecydowałam się na urodzenie dziecka i nie ja pierwsza daję sobie radę. Trzeba teraz zrezygnować z wielu przyjemności, ale można pogodzić jedno i drugie.

— Czyli mały jest teraz dla pani najważniejszy?

Debiut

MICHAŁ WARDĘSZKIEWICZ

Widok z okna

kwiaty szalone
dokąd
jotem koszącym
gazeta potknęła się
o śmierć
i leży skulona
żeby nie słyszeć
jak wiatr jęczy w bramach
opustoszałych
i tęga procesję śmieci
kurzem ulicznych kadzideł
dokąd
do jutra straci
wielkich i małych
jak dzisiaj
przedwcześnie postarzale
w nakręcanym zegarze snu
odrębnego stukaniem
przyszłości
dokąd
(III nagroda w KONKURSIE JEDNEGO
WERSZA — Łódź 87)

Półka z książkami

EROTYZM II

Dwa lata temu ukazała się książka Zdzisława Wróbla „Erotyzm w literaturze dawnych wieków”, która przez jednego z autorów została niezwykle przychylnie, przez innych zaś ciepło i krytycznie. Obecnie ukazała się druga część nosząca tytuł „Erotyzm w literaturze nowożytnej”. Począwszy od romantyzmu a kończąc na autorach nam współczesnych, przedstawia Zdzisław Wróbel dzieło tego gatunku literackiego oraz jego recepcję wśród czytelników. W konkluzji autor „Erotyzmu” stwierdza, że mimo wszystko „seks wypiera miłość”, i że obok wielkiej literatury podejmującej te tematy coraz więcej pojawia się tekstów nasyconych pornografią, gdzie uczucie zostało całkowicie wyparte przez fizjologię.

Zdzisław Wróbel: „Erotyzm w literaturze nowożytnej”. KAW w Łodzi 1987. Str. 198. Cena 280 zł.

TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

W cyklu „Profile” Wiedza Powszechna wznowiła interesującą monografię pióra Andrzeja Z. Makowieckiego o Boyu — Żeleńskim. „Profile” — to seria prezentująca najwybitniejszych twórców literatury polskiej i obcej w sposób nieakademicki, bardzo popularny a przecież rzetelny i wyczerpujący. Począwszy od dzieł sztuki, poprzez „Zielony Balonik”, „Słowa” zauroczenie teatrem, ogromna praca translatorska aż po rolę w rodzinnym Ciemnosrocie i po tragiczną śmierć w okupowanym Ławie, ukazany został Tadeusz Żeleński-Boy nie tylko jako znakomity twórca kultury, lecz także jako ten, który pozostał do dziś pisarzem żywym, ciągle nawiązanym i chętnie czytany.

Andrzej Z. Makowiecki: „Tadeusz Żeleński-Boy”. Wiedza Powszechna 1987. Str. 316. Cena 450 zł.

TAJEMNICE NAGRODY NOBLA

Od 87 lat corocznie przyznawane są Nagrody Nobla (wyjątek stanowił okres ostatniej wojny, kiedy świat był zajęty zgoła czym innym). I zawsze wywołują one sporo kontrowersji, spekulacji, krytyki i zawisły Zygmunta Broniarek postanowił uchylić przysłowiowego rąbka tajemnicy i opisać całą procedurę oraz historię tej prestiżowej nagrody w swojej najnowszej książce noszącej tytuł „Tajemnice Nagrody Nobla”. Jest to lektura pasjonująca, zważywszy na temat i na sposób, a taki została napisana. Jest tajemnicą poliszynela, że — przynajmniej w wielu przypadkach — o przyznaniu nagrody decydowała polityka, a nie wartość dzieła czy wynalazku, za które rzekomo te nagrody przyznawano.

Polecam tę ciekawą publikację, która czyta się niczym opowieść sensacyjną.

Zygmunt Broniarek: „Tajemnice Nagrody Nobla”. KAW 1987. Str. 192. Cena 250 zł.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

OSTATNIE DNI BULHAKOWA

„Jako lekarz znał przebieg choroby — wspomina żona pisarza Jelena Bulhakowa — i mówił mi, jaki będzie jej rozwój. W niczym się nie mylił. Najgor-

sze było to, że lekarze, najlepsi moskiewscy lekarze, których wyzwałam do niego nie oszczędzali go w najniższym stopniu (...). W czasie choroby dyktował mi i poprawiał „Mistrza i Małgorzatę”, utwór, który kochał bardziej niż wszystkie pozostałe (...). Przy



Rys. Stanisław Łuczyński

W

latach 1984, 1985 odbywał się w Łodzi Festiwal Teatrów Alternatywnych. Były najlepsze zespoły z Polski i goście ze Szwecji i Jugosławii. Łódź reprezentował „Pstrąg” jako jedyny teatr studencki. Sytuacja powróciła się w 1986 roku na Krakowskich Reminiscencjach Teatrów Alternatywnych. W 1985 r. „Pstrąg” występuje obok Stanisława Sojki, Andrzeja Wajdy, Jacka Fedorowicza zaproszony na Kullaga — prestiżową imprezę artystyczną, organizowaną przez KUL.

ostatnich latach, kiedy to sformułowano nowy program. Chcąc określić własną tożsamość, zespół przyjął deklaracyjną nazwę Teatr „Pstrąg” — Grupa 80. Kierownikiem artystycznym został Dariusz Leśnikowski. Już pierwsze spektakle: „Z pamiętnika małego Henia” (1981), „Przywrócenie porządku” (1982) i „Noc po nocy” (1983) prezentują założenia grupy. „Pstrąg” staje się teatrem interwencyjnym. Metoda pracy oparta jest na kreacji zespołowej, a dominuje konwencja groteski, wzbogacona często o pestki i przerysowanie.

wernisaży współpracy ze szkołą plastyczną ujawnia się w cyklach organizowanych prezentacjach pracy dyplomowych absolwentów PWSSP. Ciekawa aranżacja przestrzeni i specyficzna architektura wnętrza świetnie współgra z charakterem wystawianych dyplomów. Grupa 80 współpracuje również z PWSFTiVIT. Poczynania te są znamiennie i osobliwe dla koncepcji teatru, która proponuje kierownik artystyczny Dariusz Leśnikowski.

„Pstrąg — Grupa 80” stale poszerza środki wyrazu. Opiera się

„Pstrąg” znany i nieznany

W rok później zdominował Interdyscyplinarne Spotkania Twórcze w „Elblągu”. W zeszłym roku brał udział w V Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Ulicznych w Jeleniej Górze i Festiwalu Teatrów Ulicznych w Krośnie. Jako jedyny łódzki teatr studencki był w Katowicach na Finale VII Festiwalu Kultury Studentów PRL. To naprawdę nie wszystkie osiągnięcia.

Teatr zauważono już dawno. Pisano o nim w prasie warszawskiej, gdańskiej. Bardzo wysokie noty otrzymał od recenzentów w Wielkiej Brytanii w 1986 roku, a organizatorzy przysłali o osobiste podziękowania. A w Łodzi? Milczenie. Niestety, należy winić również sam teatr, którego najłagodniejszą stroną jest reklama.

A przecież „Pstrąg” to jedyny łódzki teatr studencki, który działa nieprzerwanie od 1984 roku. Osiągnięcia, wyróżnienia, które wymieniam odnosić się jedynie do działalności grupy w

Grupa wypowiada się w sposób „agresywny” — prowadząc rozmowy z epoką lat siedemdziesiątych i określając kondycję Polaka lat osiemdziesiątych. Poprzez analizę sytuacji izolowanych grup ludzkich, tworzących samoorganizację, sugeruje odniesienia ogólne do wartości kulturowych. Tak powstaje „Nietolerancja” (1984). Ponoć doskonały formant spektakli. Jednak „zszedł” z afisza i programu...

„Grupa — 80” zamiast zamiłować, poszerza swą działalność. Myśli o stworzeniu galerii, gdy prezentowali na początku swej działalności, przy współudziale Alliance Française, „Historie komiksu we Francji — Belgii”. Rok 1984 przynosił urzeczywistnienie tego pomysłu — powstała Galeria Studentckiego Teatru „Pstrąg — Grupa 80”. Grafik Witold Warzywoda patronuje przedsięwzięciu, prezentując dokonania absolwentów i pracowników PWSSP. Obok grafiki wystawiono: fotografie, malarstwo, linoryty. Prócz

na tekstach Stefana Baranieckiego, czerpali z Gombrowicza, Mrożka, Zygmunta, Vonnegutha, a nawet transponowali dowcipy Mieczysława na język sceniczny. Zespół korzysta jednak głównie z tekstów własnych. Stosując specyficzny rodzaj ruchu scenicznego, nawiązuje do techniki filmowej. Teatr podjął próbę prezentacji spektakliu w szpitalu psychiatrycznym. W roku 1987 „Grupa 80” przedstawiła w Łodzi spektakl uliczny — „Sami Swoi”. Teatr przygotowuje nowy program, który również będzie miał wersję uliczną. Koncepcja jest niebanalna. Niebawem będziemy mogli zidentyfikować Studentcki Teatr „Pstrąg — Grupa 80”. Oby tylko tym razem nie zawiedli z informacją.

JOLANTA POL

„Grzechy nasze”



Rys. Wacław Potoczka



Rys. Jacek Woźniak



Rys. Karol Baraniecki — Ave Maryja — ave partyja

Wszystko zaczęło się od ogłoszonego na początku lat osiemdziesiątych konkursu pod tym hasłem przez warszawskie Muzeum Karykatury. Nadesłano ponad 200 prac, rozdano nagrody, potem odbyła się wystawa pokonkursowa, która cieszyła się bardzo dużym zainteresowaniem.

I oto ostatnio, redakcja łódzkiej „Karuzeli”, wspólnie z kierownictwem Muzeum Ruchu Rewolucyjnego (tak, tak, właśnie to Muzeum posiada niezwykle cenne i bogate zbiory rysunków i karykatury współczesnej i sprzed dziesięcioleci), postanowiła zorganizować ekspozycję pod tym samym hasłem — „Grzechy nasze”. Muzeum Karykatury w Warszawie, ze swoich zbiorów pokonkursowych, udostępniło na potrzeby łódzkiej ekspozycji ok. 140 prac, dalszą pokazną część przygotowano ze zbiorów Muzeum Ruchu Rewolucyjnego, a wszystko to zostało wzbogacone zestawem rysunków i karykatur pochodzących z archiwum „Karuzeli” i w ten sposób urządzono niezwykle bogatą i ciekawą ekspozycję, jaka została udostępniona łodzianom w połowie lutego.

Ta niezwykle interesująca ekspozycja nie wymaga rekomendacji. W zaprezentowanych na wystawie rysunkach każdy odnajdzie coś, co go poruszy, skłoni do refleksji, rozśmieszy, bo świat jaki tam odnajdujemy to świat „Grzechów naszych”.

Spośród nazwisk autorów wystawionych prac warto wymienić: Marka Kameckiego, Andrzeja Słoka, Grzegorza Szumowskiego, Wacława Potoczka, Zygmunta Pytlikę, Halinę Sibińską, Stanisława Ibsa-Gratkowskiego, Karola Baranieckiego, Józefa Skoniecznego, Andrzeja Gruna, Jerzego Jankowskiego. Już te nazwiska stanowią dostateczną rekomendację, aby wystawę w Muzeum przy ul. Gdańskiej odwiedzić.

M. B.

Kina budowane... fortelem

Rosną one w imponującym tempie i zupełnie legalnie, skoro płyną nań środki z Centralnego Funduszu Inwestycyjnego Naczelnego Zarządu Kinematografii. Wanożone są w miejscu starych kin, którym z powodu braku pieniędzy na remonty bieżące — śmierć techniczna zagrażała w okna. Nawet fundamentów nie udało się wykorzystać powtórnie, bo były z kamienia, za płytkie dla budowlanych nowoczesniejszych standardów.

Abym żyć w zgodzie z prawem, na użytek wielkiej sprawy został ukuty nowy termin inwestycja odnowieniowa. Skoro odnowieniowa — trzeba zachować dawną widownię. „Victoria” 360 miejsc w Brzezinach i „Warta” w Działoszynie — ok. 300 miejsc.

siadówkom”, z czego właściciel będzie czerpał określone profity. I w „Victorii” i w „Warcie” będą garderoby dla artystów. Oprócz tego zaprojektowano dla nich nawet natryski. W brzezińskim przybytku X Muzy gościnie znajduje filotekna rejonowa. W „Warcie” początkowo zaprojektowano szatnię, ale obecnie pomieszczenie to posłuży zorganizowaniu wideokina.

W Działoszynie — z uwagi na walory turystyczne regionu — pomyślano o możliwości adaptacji pokoiów na gościnie w sezonie „ogórkowym”. Przedsiębiorstwo jest biedne, więc nie może sobie pozwolić na ośrodki wczasowe. Ich namiaszka są tego rodzaju właśnie kwatery w kinach w Płocku i w Koźminie.

W Brzezinach fundamenty wylano w 1984 r., w Działoszynie później, ale w tym ostatnim jest szybsze tempo robót. Kino powstaje pod osobistym nadzorem naczelnika miasta, który pełni funkcję inwestora zastępczego, dał się poznać jako znakomity organizator. Wykonawcą jest przedsiębiorstwo budowy cementowni, które ma trochę wolnych mocy i znakomity sprzęt. Cementu — co zrozumiałe — jest pod dostatkiem, a nawet pewne ilości są wymieniane za części z budowniczymi... „Victoria”.

W tej zaś „mózgiem” budowy jest kierownik G. Lewandowski, który trudności na nieporównywalnie więcej od działoszyńskiego kolegi. Wykonawca: PGKIM nie ma ciężkiego sprzętu ani robotników w nadmiarze. Cóż z tego, że pieniądze jest pod dostatkiem, kiedy nie można zatrudnić rzemieślników do pomocy. W celu wysmiał zaproponowane stawki. Gdyby kino budowało miasto, nie byłoby takich proceduralnych przeszkód.

„Warta” jest już pod dachem, aczkolwiek prace montażowe ostatnio utknęły, po raz pierwszy od początku budowy. Tymczasem w Brzezinach PGKIM nie jest w stanie zamontować przygotowanych z takim modelem dźwigarów na konstrukcję dachową, bo nie ma zwyżki, czym tego zrobić. Pierwsi w obu kinach są zapowiadane na przyszły rok.

WŁODZIMIERZ
KUPISZ

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

KONIEC CERTYFIKATÓW

Nakazując rządowej Agencji Informacyjnej USA odstąpienie od praktyki wydawania certyfikatów eksportowych dla filmów edukacyjnych, Sąd Okręgowy w Los Angeles uznał ją za rodzaj cenzury. Do tej pory zezwolenie USA było niezbędne do tego, by film uznać za „edukacyjny” i tym samym zwolnić go przy eksporcie od cła. Na tej sytuacji, a zwłaszcza na biurokratycznej nitce przy wydawaniu zaświadczeń, najbardziej uskarżał się producent filmów edukacyjnych wskazując, że kolejka obrazów czekających na akceptację urzędu wydłużyła się do 982. Agencja zaś powoływała się na fakt podpisania przez USA konwencji bejruckiej z 1948 roku o wymianie filmów edukacyjnych, która nakładała na sygnatariuszy obowiązek sprawdzania charakteru tego rodzaju obrazów.

JAK W POWIEŚCI

W drzwiach wiejskiej posta-

lodzi lordowskiej zjawili się policjanci. Ugrzeczniony poprosił goścącego tu wybitnego pisarza, aby sechlał udać się z nim do Londynu, ma bowiem rozkaz dostarczyć pisarza do Foreign Office. Nie pomogły tłumaczenia, że pracuje, że nagła wizyta, jedynie co udało się pisarzowi wyjednać to pozwolenie na przelaz własnym samochodem. W Foreign Office, równie uprzejmie wypytano pisarza, jak długo ma zamiar wraz z żoną zostać w Anglii, czy mu się dobrze pracuje, a wreszcie czy istnieje jakieś okoliczności, które uzasadniałyby udzielenie mu brytyjskiej wizy — emigracyjnej. Urzędnik odetchnął z ulgą, gdy dowiedział się, że pisarz wcale nie zamierza prosić Anglików o wizę emigracyjną...

To zdarzenie przytrafiło się w 1986 roku wybitnemu pisarzowi amerykańskiemu Arturowi Millerowi i jego ówczesnej żonie — Merilyn Monroe, o czy pisze w swojej autobiografii, której fragmenty opublikował „Sunday Telegraph”.

Miller — jak sam wspomina — miał w czasie tej rozmowy w

wysokim urzędzie wrażenie, że długie ramię Departamentu Stanu i Komisji do Badania Działalności Antyamerykańskiej (na której wniosek czekała Millera rozprawa o obrazie „Kongresu”) ledwie go po karku. Powróciwszy na wieś usiłował odpędzić rozczarowanie Anglią, której swobody tak szczerze podziwiał.

FESTIWAL W HUELVA

W hiszpańskim mieście Huelva zakończył się niedawno XIII Festiwal Filmów Iberoamerykańskich. Pierwszą nagrodę — „Złotego Kolumba” zdobył brazylijski film Francisca Ramalho Juniora „Besame mucho”. Dwie specjalne nagrody jury przyznało kubańskiemu reżyserowi Humberto Solasowi za film „Un hombre de éxito” („Człowiek sukcesu”) oraz argentyńskiemu reżyserowi Hectorowi Oliveira za obraz „La noche de los lapices” („Noc ołówka”). Nagrodę za najlepszy film krótkometrażowy otrzymał Enrique Colina z Kuby za „Vecinos” („Sąsiedzi”).

Przy okazji przygotowywania wystawy ukazującej dorobek Katedry Grafiki Warszawskiej Łódzkiej PWSSP, rozmawiam z artystą A.M.B. o malarstwie Zbysława Maciejewskiego. Mój rozmówca miał jakby żal do krakowskiego malarza — rocznik 1946 — że lokuje swój artystyczny kolorystyczny w jawnym spadku po modernistach i to krakowskich właśnie, i że objawia się to w takich naskórkowych nawiazaniach, fakturowo-ornamentalnych, co zdaje się być chwytem dosyć tanim. Maciejewski przyznaje się do tego, wystarczy zajrzeć do komentarza Marii Rzepińskiej w katalogu jego ostatniej wystawy, tyle że chodzi tu o głębszą penetrację krakowskiego dziedzictwa, nie o same smaczki ornamentu.

Napomnienia o Maciejewskim mogą się zdać dosyć jałowe, jako że obrazy według których można by je sprawdzić już z Łodzi wywieziono. Dodam więc jeszcze tylko, o czym miałam już okazję mówić w programie Łódzkiej Rozgłośni PR, kiedy otwarto wystawę prac Maciejewskiego 11 grudnia: zmysłowość, emocjonalna fizyczność granicząca nieraz z przejęciem równym ekstazie erotycznej, łącząca w sobie uniesienie, wzmożenie i tragedię, zataczająca o groteskę — wszystko to możemy odczytać z zawartości przedmiotowej obrazów, ale to nie owa zawartość przedmiotowa jest sprawcą tych odczuć. Kolor dopiero powoduje, iż jest to malarstwo a nie ilustracja literackiego zapisu, że jest to przekaz doznań, a nie sygnał, iż takie doznania istnieją, i jeszcze, że to malarstwo, które jest nim w pełni rozumienia i odczuwania tego terminu, malarstwo jakie nieczęsto jest nam dane w Łodzi oglądać.

Przypominam o tym, bowiem takim mocnym akcentem Łódzkie Biuro Wystaw Artystycznych jakby zainaugurowało malarstwo serial w swoich galeriach. Jego kolejnym — godnym, moim zdaniem, odnotowania — akcentem, stał się pokaz obrazów Henryka Cześnika — rocznik 1951 — jednej z ciekawszych indywidualności artystycznych środowiska gdańskiego.

Łódzki import malarstwa

Malarstwo Cześnika postawione obok obrazów Maciejewskiego wydobyło się zgrzebne, bałaganiaskie, wręcz niechlujne, odcarte z barwnych śpied. To przelotne, pierwsze wrażenie musiałoby jednak po chwili ustąpić przekonaniu, że kłeksy i zamazanizacje, linie poprowadzone jakby stałowymi, cienkimi pędzlikami — ale przecież podłami — układają się w niemożliwy do zachwiania porządek; że barwy zredukowane do szarości, tylko gdzieś gdzieś wzbogaczone żywym akcentem, rysunkowa kreska, nie przystają być barwne; że to też jest malarstwo — ślad trwałych wyobcowanych jednostek, chcących działać i wzbudzać jakby przed działaniem jakimiśkolwiek. Twórczość Cześnika sytuuje się w nurcie postabakowskim (Francis Bacon — nowa figura), pozwala to zorientować się w bliskiej mu poetyce, jednak dla samego artysty nie ma chyba większego znaczenia.

I wreszcie trzeci wspaniały przykład malarstwa importu. Obrazy gwaśne, pastele, akwarele i sztafety Jana Tarasina — rocznik 1926, studia w krakowskiej ASP 1946—1951, profesor ASP w Warszawie, obecnie jej rektor. Zapytana przez bliską mi nie tylko po fachu (dziennikarstwo plus sztukę) E.K. co myśli o Tarasinie, odpowiedziałam, że trudno mi sprecyzować, bo ja bardzo lubię jego malarstwo, czyli biorę wszystko, nie bardzo wdając się w teoretyczne uzasadnienia materii plastycznej. Ale co wystarczy w prywatnej rozmowie, nie zadowala w publicznie czynionych zwierzeniach. Słucham więc do słów samego malarza: „Gdy w trakcie naszej pracy natrafiliśmy na jakieś zjawisko, (...) sytuację której nie znamy, ale która odczuwamy bardzo wyraźnie, zaczynamy ją rozumieć i oswajać się z nią, to w pewnym momencie pojawia się sprawa precyzyjnego określenia tego „czegoś”, sprawa nazwania go.

Czujemy, że dopóki go nie nazwiemy, jego zaistnienie będzie niepełne i wątpliwe, ale z drugiej strony wiemy, że nobilitowanie go nazwą spowoduje jego natychmiastowe zamknięcie w sztywnym przez nią określonym kręgu”. To z przemysłu roku 1987, a z wcześniejszych: „Komplikacja jest (...) ceną za coraz wyższy poziom organizacji natury. (...) Cezanne uruchamia proces komplikacji, stopniowo w organiczną monolityczną całość tak odległe wartości jak impresjonistyczna analiza koloru, barokowy kinetyzm i matematyczna wyobraźnia”.

Takie są, w największym skrócie, teoretyczne korzenie malarstwa Jana Tarasina. A co z tego wynika? Tarasinowi udaje się rzecz niesłychanie rzadka: zwołanie lirycznej, intymnej wręcz treści ze ścisłym matematycznym rysem tej przedstawiania.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Zbysław Maciejewski — malarstwo — Ośrodek Propagandy Sztuki i willa przy ulicy Wólczańskiej — grudzień 1987 Henryk Cześnik — Salon Sztuki Współczesnej — luty 88 Jan Tarasin — Ośrodek Propagandy Sztuki — luty 1988.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

KAŻDY SPOSÓB JEST DOBRY

Hotel „Cumberland” w Londynie — w przeciwieństwie do naszych hoteli — nie należał do masowo obleganych przez turystów. I oto pewnego razu stał się cud. Mimo wysokiej ceny — 360 dol. za całą noc! — lista rezerwacji jest zawsze pełna. Po co? Dyrektor hotelu przeznaczył 3 pokoje na „mieszkanie” dla dostojnej tubylki, „tł... Królowej Snieżki i jej siedmiu przyjaciół, kresnoludków. Wnętrze jest dokładna kopia filmowej dekoracji i tylko obecność telewizorów oraz oświetlenia nie odpowiada scenarii disneyowskiej. W pokoju kresnoludków — 7 drewnianych łóżeczek z wyciętymi „łóżkami” ich właścicieli, zaś w utrzymanej w tonacji lilasowej K. Siewny Snieżki można przejechać się w „czarodziejskim lustrze” skonstruowanym na zasadzie hologramu. Na pierwszym planie, łóżko królowej z jedwabną poduszką, na drewnianym stoliku obok kominka ułożone w piramidkę jabłka przypominają, że jednym z nich zła macocha

próbowała otruć znenawidzoną pasterbicę. Wszystko to urządzono z okazji 50 rocznicy „urodzin” Królowej Snieżki, jednej z czołowych postaci bajkowego świata Walta Disneya. Pomysł okazał się pomyślny dla obu stron — dorosłym gościom dano szansę przeżycia jednej bajkowej nocy, a dyrekcji — pokaźny dochód.

OFIAROM REŻIMU

Po największych miastach Hiszpanii wędruje niezwykle interesująca wystawa poświęcona ofiarom reżimu Franco. Wystawa ukazuje rysunki, grafiki, dokumenty i książki 131 hiszpańskich twórców, którzy poświęcili swe życie w walce o wolność kraju i narodu.

NOTOWANIA NA GIELDACH KSIĄŻKOWYCH

Tadeusz Kalkowski „Tysiąc lat monety polskiej” — 2400 zł; Aleksander Kaszowski, Zbigniew Urbaniak — „Polskie jachty na oceanach” — 1600 zł;

„Mała encyklopedia wielkiej cybernetyki” — 600 zł; „Akt” (album) — 1300 zł; Władysław Tatarkiewicz „Historia filozofii” (3 tomy, PWN) — 6500 zł; Adam Słodowy „Lubię majsterkować” — 500 zł; Grzegorz Mazur „Biuro Informacji i Propagandy” SZP-ZWZ-AK (1939—1945) — 2700; (cena nominalna 1700 zł); Muzea Krakowa (album) — 4800 zł; James Jones „Smak ryzyka” — 2000 zł (cena nominalna 670 zł); Borys Pasternak „Doktor Zy-

wago” (odbitka z wydania paryskiego) — 4000 zł; Edward Kosiarz „Flota Białego Orła” — 1600 zł; „Dzieje literatur europejskich” (3 tomy) — 4400 zł; Cornelius Ryan „O jeden most za daleko” — 2000 zł (cena nominalna 500 zł); Paweł Maria Lisiewicz „Bezimienni” (z dzieł wywiadu Armii Krajowej) — 800 zł (cena nominalna 420 zł); Kazimierz Maślankiewicz „Kamienie szlachetne” — 1600 zł (cena nominalna 800 zł); Bolesław Orłowski, Zbigniew Przyrowski „Księga odkryć” 1300 zł (cena nominalna 700 zł).

„Tosca” ponownie

Wydany przez Łódzki Teatr Wielki z okazji ostatniej premiery program „Toski” sugeruje, jakoby dzieło to zainaugurowało w dziedzinie operowej wiek XX. Nie jest to prawda; rok wystawienia „Toski” w Rzymie (1900) jest ostatnim rokiem wieku XIX, tak więc słynny twórca Pucciniego zamyka raczej stulecie poprzednie, uważane skądinąd za okres wielkich uczuć i romantycznych porwy. Romantyczna treść posiada także „Tosca”. Jej libretto, oparte na dramacie Sardou, opowiada o czystej miłości i poświęceniu się kobiety dla ratowania życia ukochanego mężczyzny. Taki temat — w dzisiejszych czasach konsumpcyjnej i narastającego hedonizmu — wydać się może mało „naturalistyczny”. A przecież wspomniana opera Pucciniego zaliczana bywa tradycyjnie właśnie do kierunku werystycznego (naturalistycznego)...

Sobotnia premiera bez wątpienia stała się wydarzeniem kulturalnym o dużo szerszym, niż zazwyczaj, zasięgu. Powodem był przede wszystkim oczekiwany przez melomanów występ w tytułowej roli opery światowej sławy sopranistki, Teresy Wołoszek-Kubiak. Przypomnę, że artystka ta ukończyła lokalną PWSM w klasie prof. O. Olginy i niedługo związana była na stałe z naszym teatrem. Od kilkunastu natomiast lat należy do czołowych solistek sławnej Metropolitan Opera w Nowym Jorku.

Zaglądam do programu Łódzkiej „Toski” z r. 1968. Teresa Wołoszek-Kubiak kreowała i wówczas tytułową postać, w obsadzie odnajduję nawet w tych samych, co obecnie rolach: Zdzisława Krzywickiego (zakrystian) i Ryszarda Czołgale (strażnik). Minęło 20 lat i oto śpiewaczka znów staje przed łódzką publicznością oczarowując urodą swego głosu, wzruszając siłą aktorskiego wyrazu. Pięknie wypadła m.in. bisowana aria „Vissi d'arte”, niezmiernie sugestywna okazała się scena walki wewnętrznej przed zaszytym oknem prefekta Scarpia. Do swych wielu sukcesów artystyka dopisać może kolejną — łódzką.

Drapieżna, groźna sylwetka bezwzględniego Scarpia stworzył Włodzimierz Zalewski. Również on był bohaterem omawianego wieczoru. Zaimponował głębokim, silnym głosem o wzorowej precyzji technicznej. Dobrze, poza wymienionym wcześniej Z. Krzywickim, spisał się też w swych niewielkich partiach Tomasz Filas (Angelotti) oraz Krzysztof Dyttus (Spoletta). Za to występujący w pierwowzornym roli malarza Cavaradossiego Salih Ekber z Turcji pozostawił pewien niedosyt, jeśli idzie o barwę, a także siłę głosu. Bardziej jako Cavaradossi podobał się młody debiutujący następnego dnia Sylwester Kosteki. Ten młody i obiecujący tenor dysponuje ciekawymi warunkami głosowymi: myśle, że najpóźniejszym dla niego zadaniem jest pozbycie się niewielkiego, lecz zauważalnego przydźwięku. Jerzy Jacek jako żaden krwi i nastawiony na erotyczne podboje prefekt policji nie odznaczał się już ekspansywnością Zalewskiego. Ale i w jego roli, bardziej z punktu widzenia dyscypliny wokalnejszej udułanej w akcie II, aniżeli I, znać było wytrawną rękę realizującego spektakl reżysera. Z kolei z prawdziwą przyjemnością odnotowuję zróżnicowaną wyrazowo (podbudowaną świetnym aktorstwem) i bezbłędną wokalnie Florię Toskę w wydaniu Ireny Glowaty. Duże brawa dla tej muzycznej śpiewaczki!

Reżysera robota Klausa Wagnera z RFN wzbudziła, w zasadzie, pełne uznanie. Wybornie, w dramatycznym zespole, w muzykę, rozegrane zostały niemal wszystkie sytuacje sceniczne. Do nielicznych, mniej udanych momentów należały, mające wyrażać radość, ale w sumie mało stosow-



na, wspólne tańeczne pas zakonników i zakonnic przed ołtarzem rzymskiego kościoła Sw. Andrzeja w akcie I. Udały się też kostiumy oraz architektoniczne, trafnie zakomponowane przestrzenie dekoracje. Niefortunna (w III akcie) poręcz na szczycie Zamku Sw. Anioła, znajdująca się dokładnie na linii ust śpiewającego przedśmiertną arie „E lucevan le stelle” Cavaradossiego, została na szczęście drugiego dnia zlikwidowana. Z piętyzmem przygotowana została orkiestra. Brzmiała czysto, a w tutti fortissimo, wypunktowując węzłowe fragmenty akcji, doprawdy przejmująco. Wrzesać więc nie zabrakło.

JANUSZ JANYST

Giacomo Puccini: Tosca. Kierownictwo muzyczne — Aleksander Tracz. Reżyseria — Klaus Wagner. Scenografia — Xymena Zaniewska, Mariusz Chwedeżuk. Kierownictwo chóru — Leon Zabowski. Premiera w Łódzkim Teatrze Wielkim (w oryginalnej wersji językowej) 20 lutego 1988 r.



Teresa Kubiak (Tosca) i Włodzimierz Zalewski (Scarpia)

Foto: Chwałisław Zieliński

„Aleja gwiazd”

Jedną z najciekawszych indywidualności piosenkarskich w Polsce jest bez wątpienia Zdzisław Sośnica. Nie zatem dziwnego, że stała się naszą attutową gwiazdą eksportową na rynkach estradowych świata. Potwierdza to kalendarz jej koncertów. Od września ub.r. przemierzyła tysiące kilometrów tras — od Związku Radzieckiego, poprzez Australię, Stany Zjednoczone, Kuba, gdzie aktualnie koncertuje. W tych właśnie dniach powróciła do kraju, aby już od 25 do 29 lutego wystąpić w Teatrze Wielkim w Łodzi, w programie pt. „Aleja Gwiazd”. Po kilku koncertach w kraju czeka Zdzisław Sośnica następna czterotygodniowa wyprawa artystyczna — do Stanów Zjednoczonych i Kanady.

Fraszki

IGOR SIKIRYCKI

NA KURDUPLA

Skromnie los nagrodził Każdą kurduplę. Tym że na mieszkanie Wystarczy mu dziupla.

PRZESTROGA

Choć słowo „Odnowa” Brzmi zgodnym akordem. Są tacy, co pragną Od nowa za morde.

PROBLEM PASA CNOTY

Z całej tej historii nie śmiałbym się wcale, Gdyby pasy cnoty miały zamki „Yale”.

(Igor Sikirycki — „Igraszki i fraszki”, Wyd. Łódzkie 1959 r.

Kronika

JAK WYNIKA Z SZACUNKOWYCH DANYCH, magnetowid w naszym kraju ma co dwudziestą rodziną. W obiegu znajduje się stale około 3 tys. filmów i 10 mln kaset. Większość tych obrazów nagrana została w sposób bezprawny — bez zgody producentów.

Baza państwowa dysponuje 23 wypożyczalniami (w tym pięcioma agencjami). Działalność prowadzi 26 wideoklubów. Filmy w technice wideo prezentowane są również w 91 placówkach upowszechniania kultury. Spośród nich największą popularnością cieszy się: C.K. „Dezerterzy”, „Niesmiertelny” oraz głosna radziecka „Pokuta”.

Z OKAZJI PRZYPADAJĄCEGO W BM, pięknego jubileuszu: 75-lecia urodzin i 57 lat pracy dziennikarskiej, red. Adam Ochocki otrzymał listy gratulacyjne od Zarządu Głównego SD PRL i Zarządu Oddziału Łódzkiego. „Cieszymy się — czytamy w liście Zarządu Oddziału Łódzkiego SD PRL — że w ten dostojny jubileuszowy wiek wszedł Kolega rzeskim, wcale nie jubileuszowym krokiem, pozostając niezmiennie w doskonałej dziennikarskiej formie”...

ANDRZEJ WAJDA przygotowuje w Starym Teatrze im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie, inscenizację wybitnego twórcy literatury żydowskiej — „Dybuka”, Szolem Anskiego (1863—1920). Scenografię opracowuje Krystyna Zachwatowicz.

Premiera odbędzie się w marcu br.

WDOWA PO ZMARŁYM PIONIERZE RADZIECKIEJ KOSMONAUTYKI — Ary Sztternfeldzie (który spędził młodość w Sieradzu) — należne jej honorarium, za wydaną w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej książkę swojego męża pt. „Paradoksy kosmonautyki”, postanowiła przekazać na Budowę Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi.

Z jej upoważnienia — dokonała tego na ręce zastępcy przewodniczącego Rady Państwa, Zenona Komendera, siostra Ary Sztternfelda — Adela Kalicka.

MICHEL PLATINI — znany piłkarz francuski — zadebiutował niedawno jako pisarz, publikując książkę „Moje życie jako mecz”. Będzie się więc można przekonać, czy sławny piłkarz włada tak samo sprawnie piórem jak nogami.

W NIEWIELKIM WĘGERSKIM MIASTECZKU SZOLNOK, miejscowy teatr wystawił adaptację głośnej powieści Borysa Pasternaka „Doktor Żygowo”. Wzbudziła ona duże zainteresowanie wśród mieszkańców tej miejscowości.

W WARSZAWIE, w praskim sądzie, została zarejestrowana spółka „Słowo i czyn”. Będzie ona prowadziła działalność wydawniczą (w ramach wydawnictwa „Słowo narodowe”).

Przewodniczącym Rady Programowej został profesor Maciej Gierlich — członek Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa oraz Rady Społecznej przy premasie Polski.

ROMAN POLAŃSKI, w paryskim Theatre du Gymnase, kreuje rolę tytułowego bohatera w sztuce „Przemiany” (stanowiącej adaptację utworu Franza Kafki).

Co wieczór, publiczność paryska nagradza gromkimi oklaskami jego udane występy na deskach scenicznych.

W MUZEUM MIASTA PABIANIC, 21 bm., otwarta zostanie interesująca wystawa pn. „Indianie Ameryki Północnej”. Zgromadzone na niej rekordzista pochodzą z kolekcji Leszka Michalka.

OD 23 LUTEGO BR. W CENTRALNYM MUZEUM WŁÓKIENICTWA W ŁODZI czynna będzie wystawa tkanin drukowanych Marii Zielińskiej.

W ODBUDOWANEJ PRZED PIĘCIOMA LATY — wysiłkiem naszych władz państwowych — Synagoga im. Nożyka w Warszawie, z okazji zbliżającej się 45 rocznicy powstania w getcie warszawskim, obradował 16—17 bm. Zjazd Związku Religijnego Wyznania Mojżeszowego (teraz on 2 tys. wyznawców judaizmu w Polsce, dzieli się na 15 kongregacji i ma 23 domy modlitwy, w tym 10 synagog).

Uczestnicy zjazdu dokonali oceny działalności Związku w minionych trzech latach, wybrali nowe władze oraz zatwierdzili program działania. Biorący udział w obradach dyrektor w Urzędzie ds. Wyznań — Grzegorz Rydlowski — przedstawił starania władz, służące ratowaniu zabytków kultury żydowskiej.

ZNANY ŁÓDZKI PISARZ, WACŁAW BILINSKI otrzymał za książkę „Pomadka od Hawurasa” docrzoną nagrodę „Walki Młodych” im. Aleksandra Kowalskiego w dziedzinie literatury.

Z okazji tego zaszczytnego wyróżnienia, przekazujemy nasze serdeczne gratulacje!

GŁOSNA NA ZACHODZIE KSIĄŻKA JERZEGO KOSIŃSKIEGO „Malowany ptak” zamierza opublikować „Czytelnik”. Pisarz ten od 30 lat przebywający w Stanach Zjednoczonych, planuje w kwietniu tego roku odwiedzić rodzinny kraj.

23 LUTEGO BM. W MUZEUM KINEMATOGRAFII w Łodzi (pl. Zwycięstwa 1), otwarta zostanie interesująca wystawa obrazująca bogaty i wielce oryginalny dorobek twórcy jednego z czołowych naszych reżyserów filmowych — Wojciecha Jerzego Hasa.

TEN ROK OGŁOSZONY ZOSTAŁ WE FRANCJI rokiem Edith Piaf. Popularności zmarłej 25 lat temu wybitnej piosenkarki francuskiej może pozazdrościć niejedna dziś gwiazda!

Opracował: JAK

„Jakże to tak, Josifie Wissarionowiczu — powie w przeciwnym wypadku jej mąż do Stalina — jeśli mnie się nie ufa, to można mnie skontrolować z pomocą obcych ludzi. Ale zmuszać moją żonę, żeby mnie szpiegowała — to jest amoralne!”

I wtedy się rozbiegła Dżakow z Szarokiem polecając swoich stołeczaków, a z takich stołeczaków leci się daleko.

Prawda, Architekt ma żonę. Żona, odesydką, tak jak i on, była z nim we Włoszech, ociosała się tam, ogarnęła: chuda brunetka z dużym nosem pali cienie długie papierosy, mruży oczy jest krótkowzroczna, ale okularów nie nosi. Ma dwoje dorosłych dzieci z pierwszego małżeństwa, jest starsza od Architekta o osiem lat, on ma czterdzieści trzy, ona pięćdziesiąt jeden, i zdradza go, lajdaczka, z kim popadnie. Teraz jej ukochanym jest Kola Krytow, chłopiec jeszcze, taki złotowłosy piękniś z Podmoskowni, pora mu do wojska i ona próbuje urządzić go w charakterze adiutanta przy jakiejś figurze. Z mężem nigdzie nie bywa, obrzyli sobie nawzajem przez dwadzieścia lat. On cały dzień tkwi w pracowni, nieraz nawet tam rocuje, często wyjeżdża za granicę i jego małżonka ma pełną swobodę. Kiedy Architekt wyjeżdża do podmoskiewskiego ośrodka architektów Suchanowa, ona w swoim mieszkaniu spędza noce z kochankami, on, widocznie, wie o tym i nie wraca do domu nie zapowiedziany, nie chce skandalu, który tylko by go poniżył. Jak się Wika przekonała, żona nie pociąga go jako kobieta.

Pokonała tę włosko-odeską damę nie będzie trudno. Stosunek został nawiązany jest oczarowany Wiką, spędzają w jej łóżku upojne godziny ona młoda, piękna, doświadczona, umie jeździć, on jeszcze męski i pełen temperamentu. Nie mogą przeżyć dnia, żeby się nie zobaczyły, albo przynajmniej nie porozmawiały telefonicznie.

Ale dla wszystkich ten związek był tajemnicą. Znała tylko Igora Władimirowicza, znając jako jej starego przyjaciela, jako „miniony etap” wiedząc, że właśnie z nim, Igorem Władimirowiczem, chodzi do Domu Architektów, do byłego pałacyku adwokata Plewaki na bulwarze Nowiński. Ale dziewczyny tam nie chodziły. Dom Architektów jeszcze nie wszedł w modę, chociaż jest tam nawet restauracja, ale trzeciej kategorii. Urządzono wystawy projektów — kogo zainteresują?

Tym łatwiej było Wice ukrywać ten związek. W Domu Architektów zjawiała się tylko z Igorem Władimirowiczem, potem dołączał do nich Architekt. Taką konspirację uważał za zbyt cichą, ale doceniał delikatność Wika, cenil jej życiową uwagę, poświęcaną jego sprawom, przychodziła na dyskusje o projektach w których brał udział Architekt, uważnie wysłuchiwała sporów i polemik.

Na dyskusjach bywały także starsze kobiety-architektki. Wika nie niepokoiła się nimi niepokoiły ją ładniutkie kreslarki w pracowni projektowej, ale Igor Władimirowicz powiedział, że „dla architektów prowadzącego, tym bardziej — głównego architektka, współpracownicy z jego pracowni są nie do przyjęcia.”

— Pierwsza zasada wytrzymałości materiałów — żartował Igor Władimirowicz — głosi: każdy związek ogranicza jeden stopień wolności. Architekt u siebie w pracowni powinien być absolutnie wolny.

Swoją rolę Wika grała wspaniale. Nawet Igor Władimirowicz uwierzył, że jest zakochana w jego przyjaciołach. Dla Architekta był to ciężki okres walki tendencji architektonicznych szkół, kierunków, tradycji. Wykształcony we Włoszech, zwiedził wiele krajów i znana mu była współczesna architektura zachodnia, przewodził szkole, opierającej się na spuściźnie klasycznej, ale uwzględniającej nowoczesne, przede wszystkim wysokościowe konstrukcje. Wielu go za to atakowało, ale Wika ogłosiła, że jest geniuszem, że jego budynki, projekty, idee są genialne, mówiła to wszystkim: i jego przyjaciołom, i jego wrogom. Jest geniuszem! Nie ten jest geniuszem, kogo docenia za pięćset lat, geniuszem jest ten, kto żyje dziś i jest uznany. Wszystko, czego dotknęła jego ręka, jest genialne!

Tak to była słusznie wybrana rola i odgrywała ją po mistrzowsku. W niczym nie sprzeciwiała się Architektowi, nigdy się z nim nie sprzeczała, nie kapryślała, nie obrażała się — wobec wielkiego człowieka należy utrzymywać się na odpowiednim poziomie.

— Mam wiele wad — mówiła mu — ale, wiesz tego babbskiego, mialkiego nie ma we mnie — ani za grosz, jestem z tego dumna. Najważniejsze — musisz mieć spokój. Jeśli nie mógł przyjść na spotkanie, uprzedzał ją o tym telefonicznie, zapytywał ze współczuciem:

— Co będziesz robić? Uspokajaj się!

— Kochany, nie martw się, poleżę, poczytam, wejdę do przyjaciółki, skończymy do kina. Zadzwoń koniecznie jutro rano.

Oczywiście, nie leżała na tapczanie, nie chodziła do przyjaciółki, nie biegała po kinach, miała swoje sprawy: krawcowe, szewcy, Józik Liberman i Szarok — tego ściśle przestrzegała, tu nie mogło być potknięcia. Z Architektem też nie mogło być potknięcia. Niech więc, że jest wierna oddana przyjaciółką. Było nie było, córka przyjaciela była — z hetmańskiego rodu! Nie jest winna, że urodziła się tutaj, wśród chanów jest arystokratką, do diabła!

Tylko raz Wika pozwoliła sobie na wybuch. Zdarzenie miało miejsce w Muzeum Sztuk Pięknych, gdzie urządzono pokonkursową wystawę projektów Pałacu Rad. Muzeum było przepełnione od rana do wieczora, duża kolejka ciągnęła się przez Wolchonek, Architekt, w tej liczbie także cudzoziemcy, stali przy swoich projektach prawie wszyscy z żonami, udzielał im wyjaśnień, odpowiadał na pytania. Wika była tam codziennie, spotykała się z Architektem miała już wielu znajomych w tym światku, może ktoś tam nawet się domyślał, jaką rolę pełniła przy Architekcie, ale Wika zachowywała się skromnie.

Panował gwar, ożywienie, publiczności nie ubywało, i tylko jedna osoba ani razu nie przyszła do muzeum — żona Architekta.

— Nie miej jej tego za złe — mówił Architekt — przez dwadzieścia lat zdążyła się napiąć na moje projekty, już jej chybziły.

— Ale to jest przecież twój najważniejszy projekt, dzieło twojego życia!

— Kiedy projekt zatwierdzą, kiedy będą wręczać dyplomy — wtedy przyjdzie — zażartował Architekt.

— O, tak! Wtedy będzie stała obok ciebie, będzie dzieliła z tobą twój triumf!

Spojrzał na nią uważnie, zrozumiał jej aluzję: ona sama chce stać obok niego, ona sama chce dzielić z nim jego triumf.

Wika zrozumiała, że popełniła gafę, wzięła go za rękę.

— Do niczego nie pretenduję. Ale nie mogę znieść takiej obojętności wobec ciebie, wobec twojej pracy. Stać przy tobie tylko w dni triumfu — to jest, wiesz... — pogardliwie skrzywiła usta — Wybacz mi, ale nagle zrobiło mi się przykro za ciebie.

Następnego ranka obudził ją dzwonek telefonu od Architekta. Dzisiaj jest przegląd zamknięty, niech nie przyjeżdża, tylko czeka na telefon.

Przegląd zamknięty oznaczał, że wystawę zwiedzi Stalin i inni członkowie władzy.

Caty dzień Wika przesiadziła w domu, nie odchodząc od telefonu. Architekt zadzwonił pod koniec dnia.

— Jęde.

Przyjechał z butelką szampana — to był dzień jego zwycięstwa, ich zwycięstwa. Stalinowi spodobał się jego projekt.

Rano wyjechali do Suchanowa na dwa tygodnie.

5.

Stalin siedział na werandzie soczyńskiej dachy w pięcioramionym fotelu, wystawiając twarz do słońca. Lubił Soczi — dzieło jego ręki, lubił latca na południu, chociaż lekarze zalecali południe tylko jesienią. Ale co lekarze wiedzą? Także w dzieciństwie lubił się porę, lubił chodzić po ruinach Goris-Ciche, starej twierdzy na górze, zbudowanej przez cesarzy bizantyjskich. Tam się przewrócił i uszkodził sobie rękę. Soczi przy-

Lenin bardzo się z nim cackał, i słusznie robił, że się cackał. Gorki ma nazwisko, kontakty z wielkimi pisarzami zachodnimi. Wiele rzeczy mu się u nas nie podoba. Ale życie na emigracji wykazało, że tam, za granicą, nie ma przed nim perspektyw. Prawdziwy pisarz powinien żyć i umrzeć u siebie w ojczyźnie. Wiktor Hugo mógł czekać na upadek Napoleona Trzeciego dlatego, że to, co napisał za granicą, było wydawane we Francji. Rosyjscy emigranci u nas nie są wydawani, wydawani nie będą, szaleństwo z Arkadijem Awierczem nie powtórzy się Bunin. Co osiągnął? Nagrodę Nobla w sześćdziesiątym trzecim roku życia? — komu to jest potrzebne? Kto czyta Bunina? Umrze zapożyczony w swoim Paryżu, wszyscy oni tam umrą, nikt nie pozostanie w literaturze rosyjskiej Gorki chce zostać, chce pomnika w ojczyźnie. To można zrozumieć, i otrzyma te swoje pomniki. I honorarium w obcej walucie także. Sam jest teraz walutą, darzą go szacunkiem i zachodni pisarze, i nasi, nawet byli „Serapionowi Bracia” — Fiedin, Tichonow, to są prawdziwi pisarze, utalentowani, doświadczeni, powinni w pierwszej kolejności służyć sprawie socjalizmu. A RAPP odsuwa ich od literatury, wysuwa na pierwszy plan „proletariackich” rymopisów. Co można osiągnąć z tymi rymopisami? Jakli literacki pomnik postawią JEGO epoce? Demjan Biednyj? Po Demjanie pozostanie tylko jego biblioteka, piękna, jak mówią, biblioteka. Majakowski to zdolny człowiek, jego wiersze trzeba wykorzystywać, ale to już raczej polityka.

Kiedys ON także grzeszył wierszami. Jako seminarzysta przyniósł Ilii Czawczawadze, rektorowi „Iwierli”, swój wiersz „Dla” — Po-

ANATOLIJ RYBAKOW

(36)

Dzieci Arbatu



pominało mu Gori, chociaż w Gori nie ma morza i nie ma takiej roślinności. Przed Stalinem na stoliku leżały książki: Solowjow, Kluczewski. Pokrowski, leżały zaproponowane przez referentów „Uwagi o koncepcie podręcznika historii ZSRR”. Tymi pracami kierował Zdanow.

To był JEGO wybór. W tym roku zabrał Zdanow z Gorkiego i zrobił sekretarzem KC Nie dlatego, że Zdanow dobrze wywiązywał się z kierowania regionem, z budowy Gorkowskiej Fabryki Samochodów. Inni sekretarze komitetów obwodowych też się wywiązują i nie dlatego że Zdanow ma tylko trzydzieści osiem lat, inni sekretarze też nie są starcami: Chruszczow, Wareikis, Eiche mają po czterdzieści, Chatajew — czterdzieści jeden, Kabakow — czterdzieści trzy. Ale Zdanow jest człowiekiem inteligentnym, zna się na literaturze, sztuce. Nie jest inteligentem typu mądrali Lunaczarskiego, nie chępli się swoim wykształceniem, nie popisuje się zagranicznymi słówkami, nie pretenduje do roli teoretyka, jak Bucharin, ale jest inteligentem. Człowiek inteligentny potrzebny jest we władzach. Zdanow się do tego nadaje. Pierwsze złeczone mu potężne przedsięwzięcie — stworzenie Związku Pisarzy przygotowuje dobrze, jak się wydaje. Nadechodzący zjazd będzie punktem zwrotnym w stosunkach między partią a inteligencją: pisarze — to najważniejszy oddział inteligencji, zawsze pretendował do duchowego przewodzenia narodowi.

W walce o władzę Lenin opierał się na inteligencji. Było to słuszne: inteligencja to odwieczny nośnik postaw opozycyjnych, opozycja — to święta broń w walce o władzę. Ale, kiedy władza została przejęta, nie można się opierać na inteligencję — narzędziem władzy nie jest opozycyjność, lecz jedność. Rosyjska Asocjacja Pisarzy Proletariackich i pozostałe grupki wprowadzały podział w szeregiach inteligencji, skazywały ją na różnicę poglądów. Potrzebna jest organizacja zdolna do zapewnienia jedności, będzie nią właśnie Związek Pisarzy.

Gorki jest właściwą osobą do akcji zjednoczenia pisarzy. W istocie jest lewicowym socjaldemokratą z poważnym odchyleniem w kierunku drobnomieszczańskiego liberalizmu.

„Poranek”, podpisał go Soseło, w seminarium było zabronione podpisywanie wierszy własnym imieniem i nazwiskiem. Czawczawadze opublikował wtedy pięć albo sześć jego wierszy, wspomnienia o Gori, o ojcu, o drodze do Aten, o ojcowskich biśniadach z przyjaciółmi. I więcej nie pisał — wiersze nie są JEGO losem. Czy to były dobre wiersze? Nigdy nie wracał do ich lektury. I jednak, pamięta, Ilija Czawczawadze chwalił jego „Poranek”.

Róża pęk otworzyła i czule objęła fiołką, Skowronek wysoko w obłokach zanosił się śpiewem.

A po dwudziestu latach, w 1916 roku, w gruzińskim podręczniku Jakoba Gogebaszwilli dla szkół podstawowych pojawił się „Poranek” podpisany tak samo — Soseło. Jeśli w dwadzieścia lat po pierwszym publikacji Jakoba Gogebaszwilli zamieścił go w podręczniku, znaczy, że coś w nim było, coś był wart! I mimo wszystko nie został zrodzony dla poezji, poeta nie może być bojownikiem, poezja roznieka duszę. Publicystyka — to było dla sprawy, jego pióro dobrze służyło rewolucji. Pisał dużo, pisał pod różnymi pseudonimami: Dawid, Name, radze, Czizykow, Iwanowicz, Besoszwil, Kato, Koba... I Koba stało się jego partyjnym pseudonimem, podobno mu się. Koba był szlachetnym bohaterem powieści Kazbegi „Ojczobóca”. Ale pod tym pseudonimem stał się znany po polici, nie mógł już nim podpisywać artykułów, i znowu wrócił do różnych pseudonimów — K. Stefin, K. Stalin, K. Solin — aż w końcu, w styczniu 1913 roku, zdał się, w gazecie „Socjaldemokrata”, podpisał się: J. Stalin. I to stało się jego nazwiskiem, pod którym zna go teraz cały świat.

Zarzuć pisanie wierszy, nie został pisarzem, ale lubił czytać, dużo czytał. Nie pamięta nawet swoich młodzieńczych upodobań, przemieniały się z późniejszymi — czytał i w więzieniach, i na zesłaniach, zawód rewolucjonisty pozostawia wystarczająco dużo czasu na lekturę, więcej nawet — zmusza do lektury.

Seminarium duchowne dawało wykształcenie w zakresie gimnazjum klasycznego. Uczono łaciny, starożytnego greki, hebrajskiego, francuskiego, angielskiego, niemieckiego. Ale języki

szły mu ciężko, na zesłaniu też się nimi nie zajmował, tylko strata czasu! Jednak rosyjski opanował dobrze, nauczanie w seminarium prowadzone w języku rosyjskim, a uczył się tam przez pięć lat Tylko z dzieciństwa pozostał gruziński akcent, ale nie próbował się go pozbyć. Rzecz nie polega na akcencie. Widywał Rosjan: ani przecinka, ani akcentu nie potrafili prawidłowo postawić.

Pisarzy drugorzędnych, drugiej kategorii, nie czytywał — komu są potrzebni? Czytał klasyków — to jest niezbędne dla rosyjskiego rewolucjonisty... Gogol, Saitykow-Szczedrin, Czechow, Gorki — można było posługiwać się nimi w walce z władzą, także oponenci posługiwali się nimi w dyskusjach — trzeba znać! Pisarzy chłopięcych, tych wszystkich Złotowraskich, Lewitowów, Karoninów, także Niekrasowa z Nikitinem i Surikowem, nie lubił i nie czytał, li-towali się nad chłopem, a chłop sam nad nikim nie ma litości — SAM wie to doskonale, doświadczył tego na sobie.

Tolstoj — to wielki artysta, ale nie rozumiał istoty władzy, idealizował człowieka, pouczał, moralizował i tym zniżał swój artyzm. „Zwierciadło rewolucji rosyjskiej” — czego to się nie mówi, żeby dogodzić inteligentnym liberalom! Z Dostojewskiego też żaden filozof, jak i Tolstoj, nie orientował się w mechanizmie systemu społecznego i państwowego! Ale w odróżnieniu od Tolstoj nie idealizował człowieka, rozumiał jego nicosć, nędzę jego istoty, głosił ideę cierpienia, a idea cierpienia to potężny środek oddziaływania na ludzi, umie się nią posługiwać kościół. Tylko: że pisał Dostojewski nudnie, źle pisał, nieartystycznie.

Największy poeta rosyjski — to Puszkina! Wszystko rozumiał, wszystkiego się domyślał, wszystko umiał. Samo zrozumienie postaci Piotra ile jest warte! „Jego uroda żelazna postawiła Rosję dęba! Szczytowym jego dziełem jest „Borys Godunow”. „Głupi nasz lud jest i łatwowierny; rad ogląda nowości i cuda; a bojarzy w Godunowie pamiętają sobie równego... Jeśli jesteś przebiegły i twardy...” Dobrze powiedział! „Głupi i łatwowierny” — oto charakterystyka ludu. „Przebiegłość i twardość” — charakterystyka JEGO władzy. „Pamiętają w nim sobie równego” — charakterystyka JEGO przeciwników. „Borys Godunow” oślnął go w młodości, oślnął obraz Otriepiewa... „Pozbawiony habitu, zbiegły mnich, a lat miał on dwadzieścia... Wzrostu małego, piersi szerokiej, jedna ręka od drugiej krótsza, a włosy rzyse”. Możliwe, że czytał Puszkina w seminarium, Puszkina był w programie, ale tak naprawdę przeczytał „Borysa Godunowa” później, w obserwatorium fizycznym, gdzie po wydaleniu z seminarium pracował jako statystyk. Teraz piszę, jakoby został wydany z seminarium za propagandę marksizmu, w swoim czasie sam napisał w ankiecie: Wyrzucony z Tyfliskiego Seminarium Duchownego za propagandę marksizmu”. Wydalono go za co innego — za niewnieśnienie czesnego, chociaż matka przekazywała mu co miesiąc pieniądze, otrzymywane od Egnatowilli. Ale on nie chciał kończyć seminarium duchownego, nie zamierzał zostać kapłanem, w tym czasie miał już powiązania z kółkiem marksistowskim. Ale wersja o wydaleniu za propagandę marksizmu jest wersją słuszną, pracuje na obraz wodza i, w konsekwencji, służy sprawie rewolucji.

W obserwatorium fizycznym właśnie przeczytał na nowo „Borysa Godunowa”... „Pozbawiony habitu, zbiegły mnich, a lat miał on dwadzieścia... Wzrostu małego, piersi szerokiej, jedna ręka od drugiej krótsza, a włosy rzyse”. I on też miał wtedy dwadzieścia lat, i on też na rok przed ukończeniem seminarium zrezygnował z kariery duchownej, i on też był małego wzrostu, o szerokiej piersi, i włosy miał rude, i jedną rękę częściowo bezwładną. Już nie był chłopcem, bezpłodnym marzycielem, oczywiście, żadnych analogii między sobą i Otriepiewem nie przeprowadzał, przy tym wcale go nie zachwycał ten nieudacznik. A jednak uderzyło go wewnętrzne podobieństwo. Uderzyło go też wyjaśnienie przez Puszkina przyczyny klęski Otriepiewa: gadatliwy — swą wielką tajemnicę zdradził płochej Polce, nawiąże szlachetny, o wrażliwym sumieniu, dreczył się z powodu środków, do których powinien się uciekać każdy polityk. „Do Moskwy cudnej powiem ja wrogom drogę sekretną”. Pószukiwacz przegód, romantyk, ale nie polityk! Miał wszystko: wolę, ambicję, odwagę, ryzykowność, dążenie do zwycięstwa i absolutną nieumiejętność umocnienia go, wykorzystania jego owoców. Uchwycenie najwyższej władzy i nieutrzymanie jej — taki jest los nieudaczników polityków, trudniej jest władzę utrzymać niż ją przejąć. Otriepiew nie utrzymał jej. Nie zdążyłoby się to, gdyby Dmitrij po wejściu na tron moskiewski powtórzył choć dziesiątą część tego, co czynił car, synem którego się mienił.

Zresztą, myśli tak teraz, a jak myślał przedtem, nie pamięta. Pamięta tylko dokładnie tamto uderzające go zewnętrzne podobieństwo. Uderzył go los zbiegłego mnicha, wyniesionego na szczyty władzy świeckiej. Z czasem ten obraz przyblakł w pamięci, wyrugowany przez inne postaci historyczne, które opanowały jego wyobraźnię. A jednak w głębi komórek mózgu obraz ten się zachował. Czy nie wynurzył się podświadomie, kiedy spotkał się w Baku z Zofią Leonardówną Plotrowską, rodową polską arystokratką? Podobał się jej — proletariacki rewolucjonista-konspirator, karbonariusz, w posrzedzonych spodniach, nie ogolony, ponury, zamknięty, pełen woli i siły. Kiedys przyszedł do niej, nie zastał, i kiedy przyszedł następnym razem, powiedziała do niego, śmiejąc się: — Dziewczynka sąsiadów mówi mi: Zofio Leonardówna, był u pani jakiś straszny wujaszek.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

BYŁO NAS DWUNASTU

W marcu 1946 r. do ZP ZWM przybył z ciekawą wiadomością Władysław Kulpiński z Rzeszowa:

— Chłopaki, z inicjatywy PPR powstaje Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej. W organizacji tej powinniśmy być pierwsi. I tak staliśmy się ormowcami. Było nas na razie dwunastu. Młodych chłopaków gotowych do walki z reakcyjnym podziemiem. Wielu ormowców zginęło w tej walce, ale szczególnie boleśnie przeżyliśmy śmierć naszego najmłodszego kolegi, 17-letniego Tadeusza Wójcika. Tadek wyróżniał się w naszej grupie. Szczupły, o inteligentnej, miłej twarzy, przyciągał wszystkich swoim sposobem bycia, humorem, życzliwością i piosenką, która dawała siłę w pokonywaniu trudów ówczesnego życia. Marzył o wielkich czynach, był zawsze pierwszy w akcjach zbrojnych. Zaangażowanie i świadomość polityczną wyniósł z rodzinnego domu. Jego ojciec, komunistą — zaszczyt męstwa w ludzi, w sprawiedliwej społeczności. Dziś byłby mężczyzną w sile wieku, niestety, nie doczekał...

Zbliżały się wybory do Sejmu, wzmożła się walka z bandami, równocześnie trzeba było rozwijać pracę polityczną, organizować wiece, zebrania. Tadek potrafił wygłaszać płomienne przemówienia, trafiające do serc i umysłów ludzkości.

Tę noc z 22 na 23 września 1946 r. dyżur w PUBP w Gorlicach pełnił Edward Kosiba. Noc była spokojna, nie było zapowiadało groźnych wypadków. Po północy ciszę nocną przerwał telefon, który informował dyżurnego o napadzie na Forsterunek MO w Ropie. Alarm postawił wszystkich na nogi.

Naprawdę zebrało grupę składającą się z pracowników PUBP i ormowców. Tadek trochę z zaskoczenia patrzył na umundurowanych kolegów. On był jeszcze w cywilnym ubraniu, Ruszyli ciężarówym samochodem w kierunku Ropy. Obok kierowcy siedział Stanisław Kleba, najbardziej doświadczony uczestnik akcji. Zbliżali się do Szymborku. Na sosie było spokojnie, pusto. Nagle Kleba zauważył stojący po lewej stronie drogi samochód ciężarowy, obok którego kłębili się żołnierze. Pewnie im coś nawaliło — pomyślał. Zatrzymał się, by przyjąć żołnierzom z pomocą, gdy nagle rozległ się terkot karabinu maszynowego. Wszystko stało się jasne. Nim chwycili za broń, z tyłu platformy pojawiły się luty automatów.

— Wysiadać, tylko pojedynczo i bez kawałów! Broń zostawić, ręce wyciągnąć przed siebie!

Paralizując działając oslepiający blask reflektorów.

Wcześniej rano szef PUBP Babko zorganizował pościg za bandytami. Na szosie znalazł jednego z bandytów, który uciekł z samochodu. Okoliczni mieszkańcy wskazali miejscowość Grudek, dokąd uciekła bandycka z uprowadzonymi. Szybko dotarło do tego miejsca. Z oddali słychać było odgłosy strzelnic. Uciekło to dowódca grupy pościgowej. Okazało się, że głos w górach jest fałszywym przewodnikiem. Dźwięki strzelnic rozlegały się na stojącym jedynym wzgórzu odbijając się o drugie, powtarzały w lesie. Kierując się ich zwojnikiem echem, pościg ruszył pod jedną górę, gdy tymczasem banda uchodziła przeciwnym stokiem drugiej.

Część kolegów z wyprawy na akcję do Ropy wróciła po kilku dniach nieładnie pobita. Opowiadali, że bandyci wszystkich poddali skrupulatnej rewizji, a następnie kazali rozebrać się i położyć wzdłuż drogi. Wszystkie mundury zabrali, cywilne ubrania spalili. Leżących bili kłobami karabinów, szczególnie bestialsko znęcając się nad tymi, u których znaleziono legitymację PPR, ZWM i ORMO. Do nich należeli: Czekalski i Zawisza oraz Tadek Wójcik u którego bandyci znaleźli jeszcze ponadto upoważnienie do zorganizowania ORMO.

Aleksander Bioniek pisał o tym w swoim raporcie:

„W pewnym momencie doszedłem tak, że nie mogłem powstrzymać zapału. Potem zabrali nas na swój samochód i powieźli w nieznanym kierunku. Następnie zaprowadzili nas do domu pod lasem. Tam przesłuchiwali Czekalskiego, Zawiszę i Wójcika, potem bili ich na boską łaską trzcinową. W tym czasie dano im znać, że idzie pościg wojskowy. W pośpiechu uciekli w las”.

Poszukiwania Czekalskiego, Zawiszy i Wójcika nie dały rezultatów. Wiadomo było, że zasadzki dokonała grupa z oddziału „Czarnego”, wchodząca w skład band podhalańskiego herszta „Ognia”. „Czarny” wywodził się z Nowosądeckich, grasołał na terenach między Grybowem a Słoneczną, ale często robił wypadki na teren powiatu gorlickiego.

W pierwszych dniach grudnia 1946 r. otrzymaliśmy wstrząsającą wiadomość. Gajowy z gródeckich lasów powiadomił o znalezieniu ciała trzech młodych mężczyzn. Przykryte były chrustem i przyspane kłobami plewiskim śniegiem. Pojechali na to miejsce pracownicy PUBP i rodzice zaginionych. Ojciec Tadeusza Wójcika jęknął przy padł do ciała swego syna. Było okrutnie zmasakrowane. Wybite zęby, połamane ręce świadczyły o wyjątkowym bestialstwie oprawców.

Mineo około dwóch miesięcy od pogrzebu Tadeusza Wójcika oraz pozostałych drogich nam kolegów. W tym czasie wydany został dekret o amnestii. Ujawniali się bandyci, a między innymi „Czarny” ze swoim oddziałem. Przyjechali furmanką do Gorlic, do PUBP. Dwaj z nich w angielskich bluzach z pistoletami u pasa i stenami w rękach. Służbę pełnił wówczas Edward Kosiba. Położyli automaty, odpięli pistolety, wysypali amunicję. Kosiba zapytał:

— „Wy jesteście od „Czarnego”? Pamiętacie o napadzie w Szymborku? Jak to było?”

— We wrześniu 1946 roku byliśmy na poczęstunku w Ropie. Nasz dowódca wyszedł, a po chwili wrócił i oświadczył, że rekrutujemy samochód i jedziemy na spotkanie z czerwonymi, będziemy mieć trochę zabawy. I tak się stało. Dojechaliśmy do Szymborku i tu zaczęliśmy nas w zapowiadane spotkanie. Wszyscy zmityli nasze wojskowe mundury, które i w wielu innych napadach dobrze nam służyły.

— A dlaczego zamordowaliście tych trzech? — spytał Edward Kosiba.

— Byli oni peperowcami i ormowcami.

Otworzyli się drzwi i wchodzili następni, składali broń. Zgodnie z dekretem o amnestii, ujawniający się po złożeniu oświadczeń i podaniu personaliów zostali wypuszczeni na wolność.

Nam zęby zaciskały się z chęci zemsty, ale szef ostrzegł: — Chłopaki, wiem o was, czujecie, nie wolno nam jednak zrobić żadnego głupstwa. Przez nierozważny krok moglibyśmy całą akcję ujawniania położyć a wtedy inni się nie ujawnią. I znów będą ginąć ludzie.

Pewnego grudniowego dnia 1946 r. do naszej jednostki ORMO przyszedł zabiedzony, odarty młody człowiek. Trudno było wydrzeć od niego słowo. Wreszcie zaczął mówić. Okazało się, że chce wstąpić do nas bo ma już wszystkiego dość. Od dziecka służy u księdza w Szymborku jako stajenny. Śpi w stajni, jada w stajni — żyje jak zwierzę. Pojechaliśmy z nim do księdza.

— To ty Jasie? — zdziwił się ksiądz.

Jasio wystraszony własną odwagą stanął w kącie i nie odzywał się.

— Zle ci było synku? — pyta ksiądz i mruga do Jasia, a Jasie nie. Ale widzimy, że jeszcze chwila, a się załamie. Nie zwlekaj więc dłużej, mówimy, że przysyłamy Jasia wprowadzić do pokoju, bo to nie po chrześcijańsku, aby człowiek mieszkał w stajni. Władza ludowa na to nie pozwoli. Ksiądz nie nie odpowiedział, a my wprowadziliśmy Jasia z rodziną do jednego z wielu pokoi na plebanii. Nie chcieli iść, byli wystraszeni, zawstyżeni, gotowi kajać się za takie naruszenie odwiecznego porządku.

Jasio Hajduk został ormowcem, a w niedługim czasie wyjechał z całą rodziną do Wielitny, w której powstała jedna z pierwszych spółdzielni produkcyjnych.

Jasio Hajduk został ormowcem, a w niedługim czasie wyjechał z całą rodziną do Wielitny, w której powstała jedna z pierwszych spółdzielni produkcyjnych.

Po paru latach otrzymałem od Hajduków list. Wyrażał w nim prostymi słowami wdzięczność dla tych, którzy — jak pisali — wzięli w obronę takich, jak oni biednych ludzi. Słowa te dały nam wiele satysfakcji i zachęty do dalszej pracy.

JÓZEF STĘPIEN

Z OPASKĄ PPS I... KARABINEM

Bardzo dużo napisano o pierwszych dniach po wyzwoleniu miasta, ale nie wszystko. Badaż w książce „Tranzjem przez Łódź” przeczytałem takie zdanie: „Po wyjściu z Dworca Kulskiego pojechaliśmy do miasta tramwajem. Obok mnie stał młody człowiek z czerwoną opaską na ręce z napisem PPS”.

Podobne wspomnienia często się spotyka w wspomnieniach różnych ludzi. Dlatego chcę przypomnieć, kim byli ci młodzi, którzy nie bacząc na ryzyko, chodzili i z dumą pokazywali, że deklarują się po stronie młodej władzy. Tą deklaracją była opaska z napisem PPS i... karabin.

Byłem organizatorem i przewodniczącym OM TUR i Czerwonego Harcerstwa w Dzielnicy PPS-Bałuty. Napływ młodzieży był bardzo duży. Młodzieży należało dać zastrzyk pewności siebie.

W owym czasie (jak i obecnie) przed sklepami formowały się całonocne, kilometrowe kolejki po żywność. W byłym gecie rozkładano i niszczone mienie pozdrowskie. Zdarzały się sceny niemiłe z Dzielnicy Zachodu. Zwróciłem się do mego ojca, który był komendantem Komisarjatu MO przy ul. Limanowskiego 89, z propozycją współpracy pod warunkiem pożywania względnie ofiarowania nam kilku karabinów. Szczegółów już nie pamiętam. Faktem jest, że przyniosłem ich 6 sztuk.

Przychodzono do nas z prośbą, żeby nasi członkowie pilnowali porządku w kolejkach, bo wtedy była pewność, że wszyscy otrzymają przewidzianą porcję. Wprowadziliśmy zasadę, w kolejkach wszyscy są równi. Nie ma lepszych czy gorszych.

Opaski PPS wprowadziłem, żeby młodzież patrolująca nie mogła być posądzona o bandytyzm. Mieli wprawdzie zaświadczenia, ale opaska nadawała im inną rangę i pozycję. Działali w imieniu i upoważnieniu partii. P.magali w patrolowaniu ulic Bałut. Ulice nie były oświetlone i różne cuda na nich się działy. Patrole nasze wykrywały kryjówki Niemców, którzy nie zdążyli uciec z miasta. Doprowadzano na dzielnicę tych, którzy szczególnie wysługiwali się hitlerowcom. Pilnowali opuszczonych mieszkań pomniemieckich. Wykonywali różne prace. Szczególnie pomocną była Milicja Obywatelska. Nie było oblawy bez naszego udziału.

Po upływie prawie 50 lat trzeba przypomnieć o tych faktach. O tym, że tacy byli kiedyś młodzi ludzie, dziś zapomniani. Dlaczego? Czym różniliśmy się od innych?

Warto zatem pamiętać, że z opaską i karabinem chodzili po Bałutach: Feliks Stefaniak, Franciszek Kaźmierski, Henryk Napieralski, Henryk Wdżęczyński i inni. Po pewnym czasie oddaliśmy broń. Nikt nam za tę działalność nie podziękował.

TADEUSZ CHYLIŃSKI

WIZYTA K. WOROZYŁOWA W POLSCIE

Publikacja „Odgłosów” poświęcona marszałkowi Kłimentowi Woroszyłowowi, skłania do przypomnienia głębszej przed blisko trzydziestu laty wizyty oficjalnej przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR w Polsce.

K. Woroszyłow przybył do Polski w dniach 17–26 kwietnia 1958 roku. Odwiedził Śląsk, Oświęcim, Kraków. Obywał liczne spotkania w Warszawie, uczestniczył w obchodach 13 rocznicy ukladu PRL-ZSRR. Wygłosił parę przemówień. Jako jeden z nielicznych przywódców odwiedził także Łódź, gdzie honory domu czyniła Michalina Tatarówna-Majkowska. Było to 22 kwietnia 1958 roku. K. Woroszyłowowi towarzyszyli m.in. Jekaterina Furcewa, ówczesny członek Prezydium i sekretarz KC KPZR oraz przewodniczący Rady Państwa PRL — Aleksander Zawadzki.

W drodze do Łodzi gość zwiędził spółdzielnię produkcyjną w Jackowicach. Odwiedził ZPB im. J. Marchlewskiego, wziął udział w wiece w Hali Sportowej, gdzie przemawiał obok M. Tatarówny-Majkowskiej i A. Zawadzkiego.

Dwukrotnie odwiedził K. Woroszyłow przejeżdżającą ulicą Piotrkowską. Gość — stary, o smutnym wyrazie twarzy, 77-letni człowiek — jechał otwartym samochodem wraz z A. Zawadzkiem i co pewien czas zdejmował kapelusz, pozdrawiając mieszkańców Łodzi.

Wizytę w Łodzi obszernie zrelacjonowała łódzka prasa, dając wiele zdjęć. „Dziennik Łódzki” opublikował też fragment wspomnień Woroszyłowa pt. „Moje pierwsze spotkanie z Włodzimierzem Iljiczem”.

CZESŁAW ZYLIŃSKI

KTO GŁOSI CZWIERCPRAWDY O WIDEO?

Ponieważ zostałem, niczym niesforany uczeń, wezwany do tablicy przez red. Grzegorza Gaźdę w artykule „Stop dla czterech prawd na temat wideo” („Odgłosy” nr 6 z 6 lutego br.), postanowiłem przedstawić stosowne uprzedzenia.

Tekst G. Gaźdy przeczytałem ze zdziwieniem i nawet z podejrzeniem, że autor został zainspirowany przez jednego z pokrzywdzonych właścicieli wypożyczalni kaset wideo. Dowodów na to jednak nie mam, więc nie będę się nad tym rozwodził. Ponieważ dziennikarz twierdzi, że nie wiem o czym piszę oraz że jestem niewiarygodny i nieobiektywny, chcę zapytać, jakim prawem pytanie takie stawia ktoś, kto swój zawód wykonuje nierzetelnie, nie zważając na oczywiste i łatwe do sprawdzenia fakty. Bo jak można nazwać inaczej następujące twierdzenie: „Kto takie rozmowy (na temat zakupów licencji filmów wideo — przyp. AM) prowadzi, skąd miał pieniądze (i to bardzo duże) i co chciał u dystrybutorów zagranicznych kupować. Odpowiedź jest przecież powszechnie znana: nikt.” I dalej: „Po co więc tworzyć fałszywe argumenty?”

Oczywiście w tym wszystkim jest, niestety, jedynie ignorancja piszącego w ten sposób. Fakty są bowiem zgoła odmienne. Od kilku miesięcy trwają rozmowy z amerykańską wytwórnią „Warner Bros”. Ze strony polskiej prowadzi je „Film Polski”, reprezentujący interesy Przedsiębiorstwa Dystrybucji Filmów. Wszystko to można prześledzić na podstawie zgromadzonych dokumentów. Mało tego, być może w chwili, gdy list ten dotrze do rąk red. Grzegorza Gaźdy, kontrakt zostanie już sfinalizowany, co oznaczać będzie zakupienie na polski rynek pierwszej partii 77 tytułów na blisko 10 tys. kaset za ponad 100 tys. dolarów. W wypożyczalniach znajdują się pozycje wybitnie rozrywkowe („Akademia policyjna III”, „Cobra”), ale i takie, które z pewnością zaspokoja wybredny i ściśle określony, jak mniemam, gust red. Grzegorza Gaźdy. Myślę tu o takich tytułach, jak: „Bullit”, „Nocny kowboj”, „Pola śmierci”, „Amarcord” czy najnowsze dzieło S. Kubricka — „Full Metal Jacket”. Ponadto filmy „Werner Bros” zaczyna rozprowadzać Przedsiębiorstwo Zagraniczne ITI, a wkrótce polsko-kanadyjska spółka „Hanna-Barbera Poland” dostarczy pierwszą setkę filmów wideo dostępnych w kraju za zło-

tówki. Oczywiście, mogę się zgodzić, że wszystko to jest za późno, ale nie mogę pogodzić się z twierdzeniem, że nikt się tym nie zajmuje. Bo to po prostu jest nieprawda.

Stając w obronie osób dotkniętych grudniowymi młocynymi kontrolami, dziennikarz „Odgłosów” tłumaczy, że przecież „wypożyczalnie te miały placet cenzury, płaciły podatki, były zarejestrowane jako instytucje prowadzące usługi dla ludności, itp.” Autor tych słów zapomina jedynie, że bronieni przez niego właściciele wypożyczalni legitymują się, jak mniemam, świadectwem ukończenia szkoły powszechnej w zakresie biegłego czytania i pisania i dzięki temu świadomi byli faktu, że nie mają prawa wypożyczać odpłatnie filmów, na które nie posiadają wykupionych licencji. Było to jasno i precyzyjnie sformułowane w udzielanym zezwoleniu. A sam placet cenzury i placenie podatków to zupełnie odrębne kwestie.

Nie potrafię natomiast odpowiedzieć red. G. Gaździe, dlaczego funkcjonariusze WUSW odwiedzili tylko niektóre łódzkie wypożyczalnie, ale wierzę, że wykazując dotychczasową dociekliwość w zbieraniu informacji przedstawiciel „Odgłosów” dotrze do samego źródła.

Nie wiem, czy rozwiąłem wątpliwość G. Gaźdy. Jeśli tak się nie stało, służę pełniejszymi informacjami lub gotów jestem wskazać osoby kompetentne w sprawach związanych z wideo w Polsce.

Nie chcąc czynić naszej polemiki nieelegancką pozwolę sobie pominąć wszelkie złośliwości red. Gaźdy skierowane pod moim adresem, a zawarte we wspomnianym artykule.

ANDRZEJ MARCINIAK

Z butnej odpowiedzi mojego polemisty należy się cieszyć. Jak widać z powyższego listu, a i z tego co był opublikował w „Głosie Robotniczym” z dnia 16 lutego („Warner i inni”) mój tekst w „Odgłosach” spełnił swoje zadanie: Andrzej Marciniak zaczął poważnie zastanawiać się nad tym kto i jak zapewni repertuar dla miliona magnetowidów. Wprawdzie nie podzielałem optymizmu dziennikarza, ale i też nie będę dyskutował o gruszkach na wierzbie.

Nie będę także wracał do tego co w „Odgłosach” napisał, bo musiałbym powtórzyć większość pytań, na które przecież red. Andrzej Marciniak nie odpowiedział. Wszystkie instytucje i urzędy, które dotąd zajmowały się sprawami wideo popełniły wiele błędów wynikających z pośpiechu i braku doświadczenia. Ale o tym Andrzej Marciniak napisać nie chciał. Wolał epatować swoich czytelników danymi o milionowych zarobkach tych strasznych przywaciarzy, którzy wprowadzili w błąd szacowne i bogu ducha winne urzędy. A przecież wiadomo, że te okłady się po niewczasie i usiłowały legalizować to, co żywiołowo zaczęło się rozwijać. Stosunek tychże urzędów do prywatnych właścicieli wypożyczalni był taki, jaki obowiązywał od lat: owszem dany zezwolenie, ale na wszelki wypadek dodamy takie klauzule dzięki którym zawsze będziemy mieć administracyjną rację. Ze były różne sposoby wyjścia ze ślepego zaułka świadczą działania w innych miastach. U nas w Łodzi (o tym także powinien napisać Andrzej Marciniak) skończyło się na działaniach kontrolerów PIH, przeszkukaniach i rekwizycjach dokonanych przez milicję i to stosowanych wybiórczo: jednym się „upiekło”, inni zostali w gółach ścianach. O szczegółach pisał w ubiegłym tygodniu w „Odgłosach” Andrzej Gębarowski.

Pisze w „Polityce” z dnia 13 lutego Szymon Kobylński: „Już na wstępie ich działalności (prywatnych wypożyczalni — dopisek mój) próbowano stawiać jak najwyższe przeszkody, chwytając się po temu spraw repertuaru. Życie jednak, jak w przypadku samych telewizji, jej koloru, a obecnie anten satelitarnych zwykło brać górę nad zawodowymi zabraniancami. Nie zniechęca ich to i gdzie mogą, jak mogą, zatruwają życie komu się da: obecnie więc padło na wypożyczalnie. Głucha fama łączy to z rozrastaniem się jakieś firmy o mocarnym, acz utajonym poparcu nie znanych z nazwiska notabli, którzy mieliby ponoć mieć swój udział w lukratywnym monopolizowaniu sprawy. Już samo zaistnienie takiej pogłoski, bez względu na jej zgodność ze stanem faktycznym, staje się zjawiskiem alarmującym (...). O wiele groźniejszym zjawiskiem jest kolejny cios w oddolną, ratowniczą i leczniczą socjalnie przedsiębiorczość obrotowych i rzutkich obywateli-usługowców”.

Warto bowiem dodać, o czym Andrzej Marciniak też zda się nie pamiętać, że te przeszło trzy tysiące tytułów filmów, które wprowadzili do obrotu ci tzw. piraci było i jest znaczącym impulsem w działalności kulturotwórczej dyskusyjnych klubów filmowych, klubów science-fiction, domów kultury i innych tym podobnych instytucji. Jeszcze przed kilkoma miesiącami, co sam widziałem na własne oczy, repertuarem płytów wspierały się OPRF w nadmorskich miejscowościach. Zatem nie chodzi tylko o prywatnych właścicieli magnetowidowych cacek (według ostatnich danych o 20 rodzin w Polsce korzysta ze sprzętu wideo).

Andrzej Marciniak zamiast argumentów używa inazywacji. Jeśli ja (i Szymon Kobylński) napisaliśmy swoje teksty zainspirowani przez pokrzywdzonych właścicieli prywatnych wypożyczalni (jak elegancko był napisał dziennikarz „Głosu Robotniczego”) to rodzi się nieodparte pytanie: A przez kogo został zainspirowany Andrzej Marciniak?

GRZEGORZ GAZDA

SPROSTOWANIA

Do rozmowy z dyrektorem Miejskiej Biblioteki Publicznej imienia L. Waryńskiego Elżbietą Pawlicką, opublikowanej w ODGŁOSACH z 13 lutego 1988 roku pod tytułem „Najnowsze wydanie „Encyclopaedia Britannica” w Łodzi” wkraśli się dwa błędy — w piśmowni nazwiska kompozytora Orlando di Lasso oraz w liczbie książek zniszczonych podczas II wojny światowej (pojawilo się o jedno zero za dużo, które zmieniło ją z 10 tysięcy na 100 tysięcy).

Za błędy te moją Rozmówczynię i Czytelników serdecznie przepraszam.

ZOFIA KEDZIOARA

W informacji podanej na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” (nr 8, str. 13) wkraśli się błąd w nazwisku dyrektora II inspektoratu PZU (a nie ZUS) w Łodzi. Powinno być ANTONI HOFMAN. Bardzo przepraszamy.

A może do kina?

„ANIOŁ W SZAFIE” to kolejny film Stanisława Różewicza, w którym twórca podejmuje tematykę współczesną. Po wysoko ocenionej „Kobiecie w kapeluszu”, używając tej samej formuły — owej niespiesznej, refleksyjnej, poetyckiej opowieści — ukazuje nam człowieka wiodącego życie pozornie spokojne, ustabilizowane, nad którym jednak ciąży wydarzenie sprzed lat, kiedy to, dbając o własną wygodę, nie udzielił pomocy śmiertelnie zagrożonemu człowiekowi.

W rolach głównych występują: Jerzy Trela, Grażyna Barszczewska, Edward Zentara, Beata Paluch i in. Film na gdańskim „Brazowym Lwaniu” na XII FFPP w Gdańsku w 1987 r.



„MUCHA” to amerykański obraz twórcy horrorów science fiction — Davida Cronenberga. Projektant systemów komputerowych prezentuje dziennikarce swój wynalazek mający zmienić świat — „telepody”, pozwalające przenosić nieożywione przedmioty (z którą, oczywiście, nawiązuje romans). W czasie doświadczenia na samym sobie, geny mężczyzny mieszają się z genami... muchy, przypadkowo zamkniętej w telepodie i... To już trzeba zobaczyć. Doskonałe efekty specjalne wykonane przez wytrawnych fachowców.

W rolach głównych: Jeff Goldblum, Geen Dawls, John Getz.



Propozycje repertuarowe

W najbliższych tygodniach repertuar kin łódzkich będzie nieco urozmaicony. Każdy znajdzie w nim dla siebie coś interesującego. Zaczniemy od tych kinofanów, dla których słowo „miłość” w tytule filmu (i w treści) stanowi dostateczną rekomendację. Otóż w kinie „Wisła” trwa przegląd filmów pn. „Wszystko jest miłością”. Poza tytułowym filmem przeglądu wyświetlane będą takie pozycje jak: „Recydywiści”, „Czułe miejsca”, „Lubię nietoperze” i, oczywiście „Łuk Erosa”. Przegląd trwać będzie do 3 marca.

Innego rodzaju problematykę znajdują dla siebie w kinie „Zachęta” ci, którzy cenią w filmach ważne treści społeczne. Będzie to zestaw filmów ukazujący problemy narkomanii: „Alabama”, „Czas dojrzewania”, „Jeszcze tylko raz” i „Jestem przeciw”.

Miłośników filmów wymagających od widza silnych nerwów usatysfakcjonuje „Filmowy horror”, jaki do 3 marca prezentowany będzie w kinie „Wolność”. W zestawie obrazów z tego cyklu znajdują się: „Christine”, „Widziadło”, „Zagadka nieśmiertelności” i „Duch”. W kinie „Świt” natomiast do końca lutego trwa przegląd ekranizowanych powieści Kornela Makuszyńskiego.

Warto przy tej okazji odnotować, że poza kinami studyjnymi — „Stylowy”, „Studio”, „Małe Tatrzy”, które w swym repertuarze prowadzą stałe pozycje pn. „Pożegnanie z tytułem”, także kino „Gdynia” wprowadziło na ekran „Dni pożegnań” w cztery ostatnie dni każdego miesiąca. Na lutowe „Dni” złożą się dwa filmy: „Butch Cassidy” i „Sundance Kid”, które cieszyły się żywym zainteresowaniem u wielbicieli aktorstwa Paula Newmana i Roberta Redforda.

M.B.

12 ODGŁOSY

— Pańska aktywność zawodowa jest imponująca: teoretyk kina, wykładowca w Szkole Filmowej w Łodzi, autor wielu artykułów i pozycji książkowych, telewizyjny popularyzator filmów krótkometrażowych i inicjator licznych sesji naukowych na ich temat, opiekun i obrońca interesów młodych talentów — to tylko niektóre dziedziny pana zainteresowań. Co pana skłoniło do przyjęcia nowego wyzwania — reżysera filmów krótkometrażowych?

— Początkowo film traktowałem jako kontynuację mojej pracy naukowej... Wszystko zaczęło się od spisu znanych mi twórców filmu przyrodniczego. Włodzimierz Puchalski. Ten wspaniały człowiek, skromny i trochę samotnik o bogatym życiu i imponującym dorobku, pozostawił po sobie oprócz gotowych filmów wiele materiałów chronologicznych przez całe lata przez jego montażystkę Halinę Dejową. Będąc dyrektorem WFO zaprosiłem Barbarę Czeżę o opracowanie tego materiału. Ona po przejrzeniu dorobku W. Puchalskiego

nego portretu nie postać bohatera na ekranie.

— Czy to przeświadczenie skłoniło pana do zrealizowania filmu o Bolesławie Baczyńskim?

— Tak. Pierwszą, w miarę pełną monografię o żyjącym twórcy filmów przyrodniczych był film „Człowiek z ulicy Zielonej Gęsi”. Wydało mi się, że walorem tego filmu jest właśnie zapis autentycznego człowieka w naturalnej przestrzeni, patrzącego na własny dorobek.

— I tak z pierwszych prób reżyserskiej wypowiedzi powstała mała filmówka twórców filmu krótkometrażowego?

— Głównie twórców filmu przyrodniczego. Jest jeszcze wiele postaci zasługujących na taki zapis, który utrwalił osobowość, metody pracy i charakter dorobku.

— Ale pan broni się przed schematyzmem i monotematycznością w swoich filmach, czego dowodem jest tryptyk poświęcony artystom plastykom: Leszkowi Róźnie, Wiesławowi Garbolińskiemu, Benonowi Liberskiemu.



Z realizacji filmu: „Rekwizyty W. Garbolińskiego”.

Najciekawsze zajęcia

— rozmowa z MACIEJEM LUKOWSKIM — reżyserem i nie tylko...

skiego skłoniła mnie do tego, abym sam podjął się tego zadania. Tak się zaczęła moja praktyczna przygoda z filmem — oczywiście wcześniej musiałem uzyskać zgodę z Ministerstwem. Pierwszym owocem była „Ostatnia księga przyrody Włodzimierza Puchalskiego” — czteroczęściowy film zrealizowany dla I programu TVP. Był to zarówno zbiór unikalnych, nie publikowanych kadrów, jak i opowieść o życiu wielkiego twórcy filmów przyrodniczych.

— Nie była to jedyna próba zapisu postaci twórców filmu krótkiego?

— Faktycznie nie. Kolejne filmy poświęciłem Karolowi Marcinkowskiemu, Zbigniewowi Bochenkowi, Witoldowi Żukowskiemu... Realizacja filmu o człowieku, którego już nie ma, łączy się z odnajdywaniem ludzi, którzy dobrze go znali i mogą na jego temat mówić w sposób przekonujący. W miarę możliwości zawsze zapraszałem ich do współpracy. Z temperatury zwierzeń, ze wspomnień naczynych świadków, rodziła się rekonstrukcja postaci, co do potrzeb wytwórni i ta wiedza czasami mi pomaga. Poza tym większość filmów zrealizowałem dla potrzeb TV.

— Dobór tych sylwetek sięga w awę genezie jeszcze czasów mojej działalności na stanowisku dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UMŁ. Chciałem te nazwiska utrwalić na stałe w świadomości mieszkańców naszego miasta, proponując tym artystom wykonanie elewacji w dowolnej technice w różnych punktach Łodzi. Jednak czas były nie sprzyjające. Filmy, które zrealizowałem o nich, są po prostu przedziwne, wczesniejsze zainteresowań tymi sylwetkami.

— Nowa profesja zajmuje się pan zaledwie od 1983 r. W jaki sposób udało się panu w tak krótkim czasie zrealizować aż 24 filmy — to zadziwiające zjawisko przy obecnym trudnościach finansowych, które z pewnością są także doświadczenia dla WFO?

— Doświadczenia wyniesione z WFO w Łodzi, z którą jestem związany od lat, początkowo jako naczelny redaktor, później jako naczelny dyrektor bardzo mi obecnie procentują w moich realizacjach poczynaniach. Nieskromnie powiem, że mam dobre rozeznanie, co do potrzeb wytwórni i ta wiedza czasami mi pomaga. Poza tym większość filmów zrealizowałem dla potrzeb TV.

— Nad czym obecnie pan pracuje?

— Z filmów, które obecnie powstają zabawa wydaje mi się „Rzecz o wannach... i nie tylko” — czyli niewielki przyczynek do historii higieny. Jest to film żartobliwy. Temat został podjęty pod wpływem zachwytu nad eksponowanymi w zanku w Łodzi komplectami sanitarnymi i nie tylko. Bohaterami filmu są: wanny, bidety, sedesy i piękne kobiety. Wprawdzie istnieją poważne problemy z doborem modelek, ale udało się jakoś pokonać te trudności... Niezależnie od tego, pozostaje wierny sylwetkom ludzi zajmujących się przyrodą. Kolejnym filmem będzie „Boćianie gniazda” — temat dowodzący, że boćian jest cennym miernikiem informującym o zmianach w środowisku ekologicznym. A potem wybieram się... na niedźwiedzia. To także film o ochronie środowiska, czy może dokładniej o ochronie niedźwiedzi w Polsce.

— Dziękuję za rozmowę.
IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

Kino właściwie od samych swoich początków zwracało się ku literaturze; już Georges Meliès przenosił na ekran Juliusa Verne'a. Skutki bywały wprawdzie różne, z biegiem czasu ukształtowała się jednak zasada, o której praktycznie nie było dotąd wyjątków: na podstawie książek wybitnych realizowano filmy nieznacznie, a w każdym razie zawsze wyraźnie słabsze artystycznie od pierwowzoru, natomiast literatura klasy „B” dość często służyła jako materiał do filmów dobrych, a nawet wybitnych. Przykładów jest tak dużo jak ekranowych adaptacji; z ostatnich kilkunastu lat warto przypomnieć z jednej strony „Miłość Swanna” V. Schlöndorfera według pierwszego tomu cyklu M. Prousta czy „Pod wulkanem” J. Hustona według genialnej powieści M. Lowry'ego, z drugiej zaś choćby „Ojciec chrzestny” K.F. Coppola według M. Puzo, albo — niezbyt zresztą zauważoną na polskich ekranach — „Kochanie Francuza”, prawdziwy majstersztyk wykonany przez K. Reisa na podstawie średniego romansu J. Powellsa.

Abym analizować przyczyny tego stanu rzeczy

„Imię róży”

trzeba by napisać obszerny esej, który zresztą i tak nie powstrzymałby kolejnych prób ataku filmowców na wielką literaturę. Czasami jest to produktowane względami czysto komercyjnymi; producenci liczą, że nawet jeżeli ekranizacja arcydzieła nie uda się zbytnio, z ostatecznej ciekawości zechcą zobaczyć ją ci, którzy książki czytali. Innym razem chodzi o fascynację reżyserów, którzy od czasu do czasu tak czytają książki. Poza wszystkim zaś jest to właściwie jedyny sposób na permanentny problem kina: niedostatek interesujących scenariuszy. Nie ma się więc co dziwić, że filmowcy byskawicznie zainteresowali się debiutem powieściowym wybitnego semiologa i niedźwiedzi Umberto Eco „Imię róży”. Poza nazwiskiem autora magnesem było miejsce akcji — zagubiony w górach średnio-wiekowy klasztor, niemal kryminalna konwencja w jakiej przedstawiane są wydarzenia, a także fakt, że „Imię róży” wiele tygodni utrzymywało się na pierwszym miejscu listy bestsellerów na rynkach księgarskich wielu krajów, w tym — najbardziej miarodajnym — Stanów Zjednoczonych. Swoją drogą był to zresztą spory ewenement światowy, że książka, licząca prawie 600 stron (Saul Bellow zaprzęta dla niego pisze coraz krótsze powieści, odpowiadał, że długich nikt dziś już nie chce czytać) i rol się od dywagacji w gruncie rzeczy ściśle filozoficznych i na dodatek obracających się w kręgu zagadnień aktualnych, wydawałoby się tylko w średnio-wiecu.

Adaptacja filmowa przygotowana bardzo starannie. Przede wszystkim długo szukano odpowiedniego obiektu, zadano również o stosowne rekwizyty, z ogromną pieczołowitością dobrane aktorów odgrywających role drugo- i trzecioplanowe, do roli głównej zaś zaproszono eks-agenta 007 Seana Connery, a w ekipie realizacyjnej aż rola się od fachowców o ustalonej renomie. Wszystko to w filmie widać, a jednak nie stał się on wydarzeniem faktycznie sensacyjnym, a nie

strony sporej grupy miłośników książki posypały się nawet w jego kierunku ostre krytyki (polski widz ma szansę obejrzeć film przed lekturą powieści, książka Eco bowiem dopiero niedawno ukazała się w polskim przekładzie i jest nie do dostania; może więc uniknąć zgubnych dla filmu porównań). Co się jednak stało?

Część winy należy zrzucić na rzeczy niezależne od realizatorów, a w każdym razie zależne w stosunkowo małym stopniu. W książce można na przykład bez obawy o konsekwencje napisać: „Dziwaczyna, która zobaczył w tłumie oczekujących na windę, była najpiękniejsza na świecie”. Filmowiec zaś musi tę dziewczynę po prostu pokazać i sprawy natychmiast się komplikują, choćby dlatego, że część widzów za znacznie ładniejszą od głównej bohaterki z bliżej nieznanych przyczyn może uznać statystkę zrucającą spłoszone spojrzenia na kamerę trzy metry w prawo. Coś podobnego przydarzyło się realizatorom „Imienia róży” z labiryntem; u Eco jest to labirynt, na ekranie zaś trochę krzyżujących się korytarzy wspomnianych schodami i kolumnami. Ale błąd zasadniczy popełniono — jak się wydaje — gdzie in-

dział i to świadomie. Mając widocznie na względzie tzw. „specyfikę kina” oraz „masowego widza” wyprzedzono miłośników z powieści jedynie to, co bezpośrednio wiąże się z zasadniczą siłą sensacyjną. Inaczej mówiąc wyszczególniono niemal cały średnio-wiekowy świat z takim snawstwem i uczuciem rywanym przez Umberto Eco. Skutek okazał się fatalny: wydobytą na plan pierwszy sensacyjna intryga stała się podobna do szeregu innych, doskonale już znanych z ekranu, natomiast jej otoczenie — choć konstruowane z taką starannością — zaczęło robić wrażenie trącejącej tektury dekoracji. Niby trudno przyjąć się do czegoś konkretnego, tym niemniej wrażenie ogólne jest wyraźnie średnie.

Warto jednak być świadkiem tej kolejnej, potwierdzającej ogólną regułę, porażki, aby przekonać się namacalnie, że mimo zalewu kontekstowej sensacji, w kinie ciągle liczy się kreacja pełnego świata, składającego się nie tylko z błysków, pogoni i seksu, ale i uczuć często nie nadających się do wyrażenia słowami, a także drobnych, niby do niczego niepotrzebnych, rzeczy potwierdzających jego wiarygodność i kompletność.

Dopiero wtedy nawet najbardziej dziecinna może na ekranie rzeczywiście stać się najpiękniejszą na świecie — i to nie tylko dla twórców, ale i dla widzów.

RYSZARD NAKONIECZNY

„IMIE RÓŻY”, reż. Jean Jacques Annaud, wój. Tonino Delli Colli, muz. James Horner, aktorzy: Sean Connery, F. Murray Abraham, Elya Bakula, Feodor Chaliapin, William Bisset, Michael Lonsdale.

TV

Czy to Danielak bydlę?

Dwa filmy, które niedawno obejrzałem — „Bohater roku” i „Szczęśliwy człowiek” — może nie poruszyły mnie do głębi, za to dostarczyły pożywki na ni-niejszy tekst.

W przypadku „Szczęśliwego człowieka” refleksja będzie co-kolwiek egzotyczna, natomiast „Bohater roku” sprawił, iż postanowiłem się zbulwersować i stworzyć konstrukcję intelektualną.

Obydwa twórcy kontestują, to znaczy Feliks Falk nie chce być popiecznikiem reżimu, zaś reżyser angielski — mimo szczerzej chęci nazwiska nie udało mi się zapamiętać — udowodnił, iż nie jest kapitalistycznym pacholkiem i przedstawia smutny los dostawcy kakao, a także ukazuje bezmiar nędzy swojego ludu.

Już starożytni Grecy — konkretnie Arystoteles ze Stagiry — odkryli, że człowiek jest zwierzęciem społecznym, a więc instytucjonalizacja życia wiek-szej szkody mu nie przynosi. Problem zaś jego kondycji psychofizycznej leży we właściwej dawce oddziaływań zewnętrznych, czyli społecznych, na jego wnętrze, które stale się osobowości funkcjonalizującą w społeczeństwie albo alienuje się i zatracza.

O Me „Szczęśliwy człowiek” to szamotanie się w precyzyjnych i ścisłych formułach, które odmierzały rytmy życia, o tyle „Bohater roku” to wołanie o formułę.

I jeśli nawet współczułem angielskiemu odpowiednikowi naszego Danielaka, to moje spojrzenie na problem miało w sobie coś z szeroko otwartych, a raczej inaczej ustawionych oczu pana Dundee z filmu pt. „Kro-kodyl Dundee”, który przeżył dła z australijskiego buszu do Nowego Jorku i trochę mu tu znacie.

I u nas określone formuły, które zwie się dobrodziejstwem cywilizacji, są, ale jeśli w filmie angielskim eliminują one bohatera swoją precyzją, o tyle Danielak w „Bohaterze roku” niszczone jest ich brakiem.

To nie jest paradoks, ponieważ formuły te służą wyłącznie sobie, są jakby sztuką dla sztuki i zamiast przyczyniać się i kontrolować postęp, hamują go.

Danielak, przynajmniej na początku „Wodzieja” to pasjonat i talent w branży rozrywkowej, a także w miarę poczytywy obywatel, ale tkwi w nim jeden błąd — jest dobry!; więc najprawdopodobniej nie wpłynąłby najlepiej na samopoczucie zakrzepłych lub dopiero krzepnących w nomenklaturze urzędników, gdyby rozwinął skrzydła.

Zresztą talent to kwestia drugorzędna, skoro zysk nie jest kryterium przydatności.

Tak więc Danielak traci pozytywne pierwiastki duszy — w „Bohaterze roku” jest już nalezycie ukształtowaną mendą — ale tkwi w nim jeden błąd — nie jest ustawiony.

Być może sposób rozumowania Danielaka jest taki: teraz, dopóki jestem małutką, trzeba będzie pójść z sumieniem na kompromis, a gdy już będę wielką, to wynagrodzę małuczkim i rachunek się wyrówna.

Ale zwykle ta droga do kariery się nie kończy i jeśli już raz zrezygnowało się z siebie, to trudno się potem odzyskać.

TOMASZ KUBIK

du ciebie i 50 dla Wasyli. Proszę, napisz, jeśli masz ochotę na inne jeszcze owoce. Czuje."

"Otrzymałem twój list i kartę pocztową. Cieszę się, że o mnie pamiętasz. Przesyłam ci trochę czerwonych jabłek. Za parę dni prześlę jeszcze mandarynki. Wasyliowi nie przesyłam niczego, bo rad słoń nie pracuje. Smutno mi, że nie jesteś ze mną. Serdecznie cię czuję."

Witaj Swietłko, odebrałem twój list, dziękuję. Bardzo jestem zadowolony, że nie zapomniałaś o ojcu. Nic mi nie olega i zdrowie dopisuje. Przesyłam ci mały podarunek. To mandarynki. Czuje."

Twój J. Stalin"

Swietłana Allilujewa o stosunku Józefa Stalina do Rosji i rosyjskiego narodu:

"Cała nasza rodzina wywodziła się z Gruzji. To Gruzja była naszą ojczyzną. Cudowny kraj, skąpany słońcem, owiany legendami, kraj dumnych księży i chłopów zaurzeczonych niekiedy przemyślnymi, opiewany również przez poetów rosyjskich. Ojciec kochał Rosję. Odnosił do niej na zawsze surową krasa Syberii. Był zakochany w prostocie spokoju i godności Rosjan. Nie cierpiał natomiast „feudalnej uniozności” Gruziniów."

W życiu mamy płynęła krew wielu narodów. Ciemna, o śniadej twarzy, wyglądała na Cygankę bądź Hinduskę. Uważała się jednak za prawdziwą Rosjankę. Ojciec przez całe życie kochał Rosję. I to miłością głęboką i namiętną. Nigdy nie spotkałem drugiego Gruzina, który do tego stopnia utopiłby w niepamięci swe pochodzenie i zapisał taką miłością do rosyjskiego ludu. Ojciec często wracał do lat zesłania na Syberii. Łowił tam ryby, od-

Trumny ze zwłokami mamy dotknął raz jedną ręką, odpchnął i odwrócił się plecami. Potem, na uroczystościach pogrzebowych wcale się nie pokazał."

Kiedy już dorosłam opowiadał mi, jak bardzo ojciec był rozstrząsany śmiercią mamy. Dlaczego odebrała sobie życie? Co ją do tego popchnęło? W końcu uznał, że był to cios sztyltemi jemu właśnie wymierzony w plecy. Był zbyt inteligentny, żeby nie wiedzieć, że jeśli ktoś pozabawia się życia, winą za samobójstwo obarcza się zawsze kogoś drugiego. „To cię czegoś nauczył” „Dobrze ci tak”. „Jeszcze zobaczysz”."

O śmierci mamy ojciec zaczął ze mną rozmawiać dopiero po latach. Wciąż poszukiwał przyczyn jej desperackiego kroku i nie potrafił znaleźć. Uznał wreszcie, że targnęła się na życie pod wpływem książki Arlena „Zielony kapelusz”. Zaczętywała się nią przecież tuż przed śmiercią. Wyklinał też Paulinę, żonę Miotłowa i przyjaciółkę mamy. To ona dostarczyła mamie pistolet rzekomo jako zabawkę."

Przyszedł i ten dzień, kiedy młodzieńca Swietłana Allilujewa zaczęła interesować się mężczyznami."

W czasie zimy 1942—43 poznałam człowieka, z powodu którego me stosunki z ojcem zdecydowanie się popsuły. Był nim Jyd, Aleksander Jakowlewicz Kapler, zwany Lusją. To pisarz i reżyser filmowy. Pożyłszy mi książkę Hemingwaya i Oldingtona, także powieści o miłości, przeznaczone wyłącznie dla dorosłych. Oglądaliśmy razem filmy, amerykańskie, których publicznie nie wyświetlano."

Ojciec oczywiście dowiedział się o wszystkim. Zaczął okazywać mi coraz większe niezadowolenie. 2 marca 1943 r. do mieszkania Lusji załomotała nocą dwóch cywili. Wywieziono go do Łubianki. Zarzucono mu utrzymywanie kontaktów z cudzoziemcami i handel walutą. Rzeczywiście, często wyjeżdżał na Zachód i znał wszystkich zagranicznych korespondentów w Moskwie. Nie mógł temu zaprzeczyć. O mnie nie wspomniano nawet słowem. Lusja spędził 10 lat w więzieniach i łagrach."

Nazajutrz po aresztowaniu Lusji do mego pokoju wkroczył ojciec. Z trudem panując nad wściekłością wyduł, gdzieś, u diabła są te wszystkie listy, które pisał do ciebie ten cały literat. Nie potrafię oddać całej pogardy, jaką ojciec okazał, wymawiając słowo „literat”. Posłuchaj, krzyknął, twój Kapler jest za krótki, to angielski szpion. Ale, ja go kocham, wykrzyknęłam. Ach tak, no proszę, kochasz go, wymierzył mi po raz pierwszy w życie dwa silne policzki na odlew, chcesz mu się podobać. Nie wiesz, że jest otoczony całym wianuszkami takich idiotek jak ty."

Nieco później ojciec zaczął przysyłać moje listy od Lusji. Co to za literat, drwił, przecież on nie umie nawet poprawnie wyśłowić się po rosyjsku. Nie mogłaś sobie znaleźć Rosjanina? Otóż fakt, że Kapler był Jydem wyprawdzającym ojca z równowagi. Od tamtego dnia ja i mój ojciec staliśmy się sobie obcy na długo."

Czyby Stalin pogardził literaturą?

Swietłana Allilujewa:

"Jesienią 1943 r. skończyłam szkołę średnią. Od 3 marca z ojcem się nie widziałam i tylko dwukrotnie rozmawialiśmy ze sobą telefonicznie. Teraz polecił, żebym natychmiast zjechała do niego. Pokazałam mu świadectwo, dodając, że zamierzam studiować na wydziale nauk humanistycznych. Ach tak, ścisnął brwi, jednak i ty chcesz zostać literatką, cyganeria bardzo cię widocznie pociąga. Przecież oni wszyscy na nie umie nawet poprawnie wyśłowić się po rosyjsku. Nie mogłaś sobie znaleźć Rosjanina? Otóż fakt, że Kapler był Jydem wyprawdzającym ojca z równowagi. Od tamtego dnia ja i mój ojciec staliśmy się sobie obcy na długo."

W 1944 r. poślubiłam kolegę ze studiów. Mój pierwszy mąż był Jydem, ojciec jednak razem nie oponował, nie chciał niczego wymuszać siłą. Zasnaczył jednak, że nigdy nie zamierzam oglądać mego męża w swoim domu. Mam się trzymać z tym mężem z daleka. Do rozwodu doszło ze względu na czysto osobiste, po trzech latach. To nieprawda, że poddałam się naleganiom ojca, jak to wtedy rozpowszechniano. Tym niemniej ojciec bardzo się ucieszył z mego decyzyjnego i nasze stosunki znów się na jakiś czas poprawiły."

Pod koniec 1948 r. przez kraj przewalała się nowa fala aresztowań. Wrzucono do więzienia moje ciotki, wdowę po Redensie i wszystkich ich przyjaciół. Aresztowano Paulinę, żonę Miotłowa, Abrahama Łozowskiego, także Morozowa, ojca mego pierwszego męża. To były wszystkie syjonisci, tłumaczył mi ojciec, to oni podsunęli ci męża."

Czy Swietłana Allilujewa zdawała sobie sprawę z ogromu zbrodni, popełnianych w imię „dobrej rewolucji”? Owszem, wspomina o tym wielokrotnie w swych listach. Winą obarcza wszelako Józefa i Ławrientia Berię przede wszystkim. To Ławrientij Biera przedkładał Stalinowi dokumenty z przesłuchaniami zatrzymanych. Wprost roili się od aktów zdrady, sabotażu, spisków i sprzyświeżeń, wymierzonych przeciw niemu, Stalinowi."

Józef Stalin iza i słowem nie ufał. Dla niego każdy podpisany i opieczętowany dokument stanowił niepodważalną świętość. Tak musiało być, skoro są pieczęcie i podpisy. W oparciu o przygotowane przez Berię dokumenty, Stalin stanowiąc o życiu i śmierci swych dawnych przyjaciół i towarzyszy walki. Zamykał też i kiwał przyzwalając głową. Ławrientij Biera już wiedział, co ma teraz robić."

Swietłana Allilujewa wspomina jak nagle, 3 marca 1955 r. wezwano ją telefonicznie do dacy w Kuncewie. Umierał tam jej ojciec. Na miejscu znaleźli się już wszyscy najbliżsi współpracownicy Józefa Stalina. Mieli twarze ściągnięte, nacechowane godnością i skupieniem. Jeden tylko Ławrientij Biera zachowywał się dzwacznie, żeby nie powiedzieć w sposób nie licujący z powagą chwili."

Swietłana Allilujewa:

"Biera był podniecony ponad wszelkie wyobrażenia. Kręcił się niespokojnie. Na jego obliczu odmalowała się burza szarpających nim namiętności. Ambicja, okrucieństwo, spętowane zło i żądz władzy i jeszcze raz władzy. Czynniki wysiłki, żeby się opanować. Bez skutku. Zbliżył się do łóża i wprost upił wzrokiem w twarz ojca z trudem łapiącego powietrze. Biera chciał jakby udowodnić, że to on właśnie do ostatniej chwili pozostał „najwierniejszym z wiernych” i najbardziej oddanym."

Kiedy zbliżał się moment agonii, Biera raptem zauterzył swoją obecność i krzyknął swym tubalnym głosem, zabierzcie mój Swietłanę. Spoglądano nań w milczeniu i nikt się nie poruszył. Gdy ojciec wydał ostatnie już tchnienie, Biera na nie nie zważając, rzucił się pierwszy do wyjścia i wrzasnął, Chryste, dawaj samochód. W jego głosie zabrzmiały akcenty triumfu."

Biera był typowym dla owych czasów dworzaninem w świetle swego pana. Uosabiał orientalistę perfidję, składowe pochlebstwo i hipokryzję. Wabił ojca, wodził, oszukiwał, choć wcale to nie było łatwe. Miał na swym sumieniu wiele postępków i czynów, którymi dziś obciąża się mego ojca i kładą jego pamięć. Jestem przekonana, że to Biera naciskał te guziki i w duchu kpił sobie z ojca. Jego, podła natura ujawniała się wtedy, gdy ojciec odchodził. Wszyscy to wtenczas wyucyli. Jednak nadal straszenie się bano. Wiedzieli, że po śmierci ojca cała władza skupi się w rękach tego strasznego człowieka."

Jeszcze końcowe uwagi Swietłany Allilujewej, noszące znamiona filozoficznego zażurnia.

"Silił mi się oni, paladani rewolucji, postaci okrutne i nieokrzesane, barbowie i wodzowie, którzy padli w końcu ofiarą własnej rewolucji i zabrali ze sobą do grobu cały idealizm epoki. Usiłowali wnieść się ponad, przyspieszyć bieg wydarzeń, zdobyć już dziś, co było możliwe dopiero jutro. Pragnęli stworzyć dobro, uciekając się do zła i środków amoralnych. Dążyli do celów niebotycznych. Czy je osiągnęli?"

Te miliony absurdalnych ofiar, miliony przedwcześnie zmarłych talentów. Są historii też zawsze surowy. Niech więc historia rozstrzygnie, kto był bohaterem, goniąc za dobrem, a kto nim nie był, zasłепiony pychą i próżnością. Nie nam o tym wyrokować. Ja też prawa do tego nie mam. Wątpię jednak, czy potomni uznają, że była to epoka rozwoju, postępu i wielkiej dobroczynności dla „Wielkiej Rosji”. Młodzi mówią już innym językiem, odwołującą kartki historii z uczuciem palącego bólu, ale też przekonaniu, że można być inaczej."

Wybrał i przełożył:

JAN BABIŃSKI

Zmarł 4 marca 1953 roku o godzinie 21,00 w swojej willi w Kuncewie pod Moskwą.

To był Iwan Groźny i Piotr I jednocześnie

Mija już właśnie 35 lat od śmierci Stalina.

Jego odejście oznaczało punkt zwrotny w historycznej doniosłości. Zamykało całą epokę. Ktoś szalał w tamtych dniach z radością. Ktoś rozpaczal w nieutulonym żalu. Usiłuje się nadal, w kręgach nie tylko uczonych, przeprowadzić zimną kalkulację za i przeciw. Zgody jednak w ocenie „generalissimusa” nie ma. I długo nie będzie. Dla jednych był „ojcem narodów i koryfeuszem nauki”. Dla drugich tyranem, dążącym do wcielenia całego życia w ciasny gorset schematycznych dogmatów. Cokolwiek jeszcze o Józefie Stalinie się powie i napisze, wymazać z pamięci się go nie zdoła.

Lekarze przestrzegali go od lat, by nieco ciężaru ze swych barków porzucił. Nalegał by trzymał się diety. Miał nadwagę. Naciśnięto by nie łamał przyswojonych biologicznych rytymów. A zamiast wssak uparczywie noc w dzień, a dzień w noc do ostatnich tygodni. Kładł się czasem gdy światło, śniadanie spożywał nie wcześniej jak o 11 przed południem. Nie potrafił zaryzykować palenia. Rozstał się z ukochaną fajką dopiero na rok przed śmiercią. Sceptyczny, skryty i podejrzliwy, nigdy lekarzy nie darzył zaufaniem. Czy aby nie dybał na jego życie?

Leczył się sam, stosując ludowe środki znane mu jeszcze z młodości. Gdy odczuwał silne bóle głowy, gdy brały go wymioty lub wzmagaly się ostre gawcze szumy w uszach, rozcieńczył w wodzie kilka kropel jodu i popijał. Wychylał też codziennie spore ilości gruzińskiego wina. Twierdził, że to lek dobry na wszystko. Oczyszczając organizm, wzmacnia i pobudza serce.

Józef Stalin niedomagał od wielu lat i zalecano mu spokój. Tracił na energii i żywotność. Coraz częściej zauważano, że jest ospały i przemęczony. Na XIX Zjeździe partii w 1952 r. pojawił się tylko dwukrotnie. I to na krótko. Po raz pierwszy to nie on wygłosił referat sprawozdawczy. Zastąpił go Georgij Malenkow. Końcowe wystąpienie Stalina trwało zaledwie 10 minut. Obserwatorzy spostrzegli, że głos mu drżał i wysławał się z trudem.

Po raz ostatni Józef Stalin ukazał się publicznie 28 kwietnia 1953 r. W swej dacy w Kuncewie pod Moskwą podjął wtenczas obiadem najbliższych współpracowników — Georgija Malenkowa, Ławrientia Berię, Nikołaja Bulganina i Nikitę Chruszczowa. W tym gronie rozstrząsano przy stole kwestie o kluczowym znaczeniu i to dojrzały decyzyjnie ostateczne i nieodwołalne. Bywało, że te posilki przedłużały się ponad miarę.

Tamtego dnia Józef Stalin poczuł się źle. Udał się na spoczynek wcześniej niż zwykle. Nad ranem pokojówka zauważyła z przerażeniem, że Józef Stalin leży bez ruchu na dywanie obok swej kanapy. Czyżby wypadł z łóżka? Zalarmowała jego ochronę osobistą. Pełniący dyżur oficer powiadomił telefonicznie Georgija Malenkowa, że Józef Stalin jest dotknięty jakąś nagłą chorobą i nie może mówić. Zaraz potem przybył do Kuncewa profesor Miasnikow, jeden z najwybitniejszych w świecie kardiologów i profesor Konowalow, czołowy neurolog. Postawili obaj diagnozę dość szybko i bez większych wahań. Wylew krwi do mózgu. Józef Stalin stracił mowę, nie mógł poruszać połową ciała.

Robiono oczywiście wszystko, na co stać było medycynie, żeby życie Józefa Stalina przedłużyć, cierpień mu zaościć. Przy częściowo sparaliżowanym czuł bez przerwy szat cały najświetlejszych akademików. Zastrzyki, elektrokardiogramy, wciąż nowe prześwietlenia, sztuczne oddychanie, piwki nawet przykładał do karku i skroni. O życie Stalina walczone przez trzy dni. Tworze profesorów pozostawały

mroczne i pępne. Oni wiedzieli, tylko cud mógłby Józefa Stalina uratować.

Córka Józefa Stalina Swietłana Allilujewa tak opisuje te ostatnie chwile w „Vingt letres a mon ami”, książce wydanej w Paryżu w 1967 r.

„Ojciec leżał nieprzytomny. Nie mógł mówić, patrzył niekiedy na mnie, ale chyba nie poznawał. Oddychał z coraz większym trudem. Jego twarz szarzała, rysy zmieniły się nie do poznania, wargi stały się czarne. Umierał śmiercią przekropną w strasznej, przedłużającej się agonii. Brak mu było powietrza, łapał je z największym wysiłkiem, z wolna się dusił. Cóż, lekka śmierć, Bóg daje sprawiedliwym...”

Łoże z umierającym Józefem Stalinem przeniesiono niezwłocznie do dużej sali, gdyż było w niej najwięcej świeżego powietrza. Pośrodku stał długi stół, przy którym toczyły się przy posilkach obrady. W kącie przysnił się stylowy kominek. Tu Stalin przesadywał w mroźne zimowe wieczory. Obok stał adapter z wielką kolekcją płyt. Były to wyłącznie nagrania ludowych pieśni rosyjskich, ukraińskich i gruzińskich. Innej muzyki Józef Stalin nie słuchał.

„W ostatnich sekundach — wspomina Swietłana Allilujewa — ojciec nadludzkim wysiłkiem rozwarł szeroko oczy i potoczył wokóło dziwnie przenikliwym spojrzeniem. W jego oczach stał się jednak lek jakby przed śmiercią i strach przed pochylonymi nad nim lekarzami. Był mu nie znany. Naraz uniósł lewą rękę w geście mojego upomnienia, a jeszcze bardziej nie ukrywanego groźby. Wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz i zamarł bez ruchu. Dusza opuściła jego ciało. Twarz momentalnie nabrała koloru, stała się gładką, spokojną, na swój sposób piękną...”

Ojca już nie było, ale nikt z obecnych przez kilka długich jeszcze minut nie przemówił choćby szepem. Trwaliśmy wszyscy w uroczystym i bolesnym milczeniu. Nikt nie miał odwagi poruszyć się pierwszy. Twarze Kaganowicza, Malenkowa i Chruszczowa zalane były szczerymi bez wątpienia łzami. Łączyła ich z ojcem wspólna przecież sprawa. Ulegali zresztą niezwykle bogatej naturze ojca i jego osobistemu urokowi. Nigdy nie zdołali się mu przeciwstawić...”

Józef Stalin umarł 4 marca 1953 r. o 21.

Nazajutrz, 5 marca o 6 rano popłynął na falach eteru pełen namaszczenia spławowy głos Lewitana. Powiadał o śmierci Józefa Stalina.

Józef Stalin całe życie pracował na potęgę Kraju Rad. Zostawił po sobie piramidę. Dość wspomnieć Dnieprogrzes czy Magnitkę. Ale jakim kosztem. Unieścił miliony ludzkich istnień. Lata jego władzy znacząco bezprawie, pokazowe procesy, represje i niekończące się czystki. Gdy jednak odchodził, Kraj Rad stał się drugą po Stanach Zjednoczonych potęgą przemysłową i militarną świata.

Głoszone przezeń dogmaty wykazywały zadziwiającą moc przetrwania. I nadal dają znać o sobie. Choćby jego teza, że w socjalizmie „popyt winien wyprzedzać podaż”. Istotnie, wyprzedza po dziś dzień.

Wielu i dziś jeszcze wdycha do dobrych starych czasów, kiedy od Łaby po Władystok każdy znał swoje miejsce, wszędzie ład panował, porządek i żelazna dyscyplina.

Jaki był Stalin? Być może, najtrafniej i najkrócej scharakteryzował Stalin na nie kto inny tylko Charles de Gaulle. Powiedział: że to Iwan Groźny i Piotr Wielki w jednej osobie.

JAN BABIŃSKI

Swietłana Allilujewa przedstawia swego ojca

Józefa Stalina

dawał się rozmyślanom w głębi syberyjskiej tajgi. Z tamtych lat wyniosł dogmaty uwielbienia przyrody i prostego ludu."

Józef Stalin pozował na ascetę i tyfowego abnegata. Czy istotnie wykresilił te mocniejsze trunki ze swego menu?

Swietłana Allilujewa wspomina:

"Ojciec był wybitnym znawcą tein, prawdziwym ich konsekwentem. Na jego stole zawsze puszkiła się cała galeria najrozmaitszych win, choć wyłącznie gruzińskich. Pił wolno, z umiarem, małymi łyżkami. Jadał niewiele, choć z każdego dania lubił coś uszczęknąć dla siebie. Raczej obserwował, lekko się krzątał, jak inni opychają się jadłem..."

Józef Stalin okazywał ostentacyjną pogardę dla dóbr materialnych. Ofiarowywane mu z różnych stron, niezmiernie cenne niekiedy upominki, przekazywał niezwłocznie do muzeum. Żadnego majątku nie posiadał. Dacze stanowiły własność państwa. Córka nie odziedziczyła po nim złamanego rubla. Nie bardzo w ogóle orientował się w realiach codziennego życia.

Swietłana Allilujewa:

"Od 1947 r. ojciec nieustannie dopytywał się, czy aby nie brak mi pieniędzy na utrzymanie. Odpowiadałam, że nie. Nie wierzył, kłamiesz, powiedz wreszcie, ile ci trzeba. Żył w iluzji, stał po ścieżce z czasów przed rewolucją, kiedy sto rubli było sumą kolosalną. Kiedy czasem torował mi drogę lub trzy tysiące rubli, wydawało mu się, że oburza mnie milionami..."

Z różnych stron naciskano Swietłanę Allilujewą, by utrzymywała z ojcem żywsze nieco kontakty. Tym bardziej, że Józef Stalin coraz bardziej separował się od otoczenia i wiódł życie, nie ufając już nikomu samotnika.

Swietłana Allilujewa:

"Wielu zastępowało mnie pytaniami, czemu nie usiłuję dotrzeć do ojca i tak rzadko się z nim widuję. Zadawał, żądając, żeby cię z nim pojechało. Może oni wszyscy mieli rację? No cóż, byłam zbyt urażoną i niesmiałą, by torować sobie drogę łokciami. A jeszcze te różne, nadzwyczajne przykre doświadczenia. Dzwoniłam, a wtedy słyszałam w słuchawce głos zły i zrytowany, zostawiając mnie w spokoju. I rozlegał się brutalny dźwięk odkładanej słuchawki. Upływało potem wiele czasu, nim zdzielałam się jako tako pozbierać. Dzwoniłam ponownie dopiero po miesiącach..."

Józef Stalin miał oczywistą obsesję na punkcie Zachodu i zachodniego stylu życia.

Swietłana Allilujewa:

"Mama wyjeżdżała dosyć często do Karłowych Warów i do Berlina, gdzie przebywał jej brat. Przywoziła stamtąd różne ubranka i trątki. Były to rzeczy śliczne, jak na tamte czasy luksusu u nas niebywałe. Mama przestrzegała, nie mów nic otcu, powiedz, że kupiłam to w Leningradzie..."

Ojciec przyglądał mi się potem podejrzliwie, skąd masz ten nowy sweter, pewnie z zagranicy. Kiedy mu odpowiadałam, że nie, że to nasze, krajowe, rozpogadzał się natychmiast, zadowolony widocznie, że i u nas potrafią ładnie produkować. Ogromnie się bał, byśmy nie poddali się destrukcyjnemu wpływowi Zachodu to znaczy burżuazyjnej Europie..."

Jesli choć z daleka zlatywało ode mnie wodą kolońską, ojciec zaraz dogadywał, więc i ty skroplasz się tymi pachnidłami..."

Peunego dnia, w Soczi, ojciec zaczął mi się przyglądać z nieukrywaną złością. Wreszcie wybuchnął, co to ma znaczyć, może od razu się rozbierziesz i pójdziesz naga na spacer? W pierwszej chwili nie zrozumiałem co miał na myśli. Spójrz tylko na twoją sukienkę, podniósł głos. Spojrzałam, była to zwykła sukienka dla dziewcząt, odświeżająca kolana. Zdaje się, że szatan cię opętał, ojciec był wściekły, może chcesz być jedną z tych gimnazystek, co pokazują się już prawie nago. Kobieta nie powinna świecić gołymi kolanami..."

Ojciec nierzad doprowadzał mnie do rozpacz. Ilek razy spłakałam się, kiedy w sposób despotyczny żądał, bym się ubierała jak on sobie tego życzy. Niekiedy na mój widok wpadał w niepołamowaną wściekłość. Dlaczego noszę krótkie skarpetki, a nie długie pończochy? Przecież to pełnia lata, odpowiadałam. Masz nosić pończochy, rozumiesz, nie będziesz pokazywać gołych nóg, do czego to podobne..."

Józef Stalin — nie jest to tajemnica — miał na punkcie nagości i swoistej pojętej „socialistycznej moralności” niezłego „kota”. Jego poglądy w tych kwestiach zdominowały na długie lata radziecką sztukę. Śmieszne sceny w filmie, czy lekkie jedynie potrącenie o seks w literaturze, szufladkowane jako „zgniały i perfidny pornograf”, podkopująca zdrowie moralne i fizyczną teżyżnę radzieckiego społeczeństwa. W gołej kobiecie byde dopatrywał się tajnej broni przeciwników socjalizmu i jego osobistych wrogów.

Swietłana Allilujewa parokrotnie wraca w swych listach do tragicznego zgonu matki w 1932 r. Odbierał się akurat bankiet na cześć kolejnej rocznicy Rewolucji Październikowej. Przy stole obł Stalina siedzi jego żona Nadia. W pewnej chwili Stalin zwrócił się do żony z pewną złością w głosie: — Ej ty, może byś się czegoś napiła.

Nadia pobiadała — „Co ty sobie wyobrażasz, do kogo zwracasz się przez „ty””.

Powstała nagle od stołu i opuściła salę. W nocy strzeliła sobie z pistoletu w skroni.

Swietłana Allilujewa:

"Z początku ojciec był tak przybity, że stracił jakby wszelką ochotę do życia. Jednak już wówczas wpadał w wściekłość, kiedy przychodził mu na myśl list, jaki mama zostawiła. Tego pożądanego pisma nigdy nie widziałam na oczy. Pewnie zostało zniszczone. Ale istniało, wiem na pewno. Opowiadali mi o tym ci, co list oglądali. Był przerażający. Miał charakter wybitnie polityczny i pełen był oskarżeń. Po jego przeczytaniu ojciec nadbrał bez wątpienia przesądzenia, że mama wcale nie stała przy jego boku, lecz skłaniała się w stronę opozycji. To nie dawało mu spokoju. Doprowadzało go niemal do szału..."

Filantropi i mecenasi

W drugiej połowie XIX wieku spośród rzeszy przemysłowców łódzkich wyłoniła się grupa ludzi, którzy dorobili się milionowych fortun i z tej racji w społeczeństwie ówczesnej Łodzi zajęli wyśniete stanowiska. Wymienić by tu można takich potentatów przemysłu jak Karol Scheibler, Ludwik Geyer, Izrael K. Poznanski, Juliusz Heinzel, Ludwik Grohman i kilku innych.

Magnaci przemysłowi, pretendujący do miana najwybitniejszych obywateli Łodzi, nie mogli być obojętni na niekiedy, szczególnie dotkliwe problemy występujące w życiu miasta i nie uczestniczyli w ich rozwiązywaniu. A miała Łódź takich problemów sporo. Bodaj największą bolączką jej mieszkańców była panosząca się niedźza. Przed wzbogacanymi fabrykantami owierzało się więc szerokie pole działania w dziedzinie filantropii.

Początkowo najczęstszą chybą i największą budzącą zainteresowanie formą działalności filantropijnej były bale i maskarady dobroczynne. Zabawom tym patronowały najznaczniejsze rodziny fabrykanckie w mieście. Tańczo-

no na wspomnienie ubogich, na rzecz miejscowego szpitala itp. Różne były rangi tego rodzaju imprez, różne też ich skutki filantropijne. Zdarzały się bale, z których dochód zaledwie pokrywał koszty. Na ogół jednak były to imprezy opłacalne, przynoszące spore dochody na cele dobroczynne.

Znaczącą rolę w niesieniu pomocy najuboższym mieszkańcom Łodzi spełniało założone w 1885 roku Chrześcijańskie Towarzystwo Dobroczynności. W składzie jego zarządu znalazła się elita przemysłowa miasta. Prezesem został Juliusz Heinzel, a po jego śmierci — Juliusz Kunitzer. Oni też szczególnie wspomniali finansowo wymienioną instytucję. Dzięki ich staraniom i głównie ich kosztem w 1895 roku wzniesiony został przy ulicy Dzielnej 60 (Narutowicza) okazały przytułek dla starców Chrześcijańskiego Towarzystwa Dobroczynności.

Poważne źródło wpływów na cele dobroczynne stanowiły jednocześnie, niekiedy znaczne, dotacje samotnych przemysłowców. Początkowo zdarzały się rzadko, mniejsze też przynosiły kwoty. Pod koniec XIX wieku, wraz ze wzrostem fortuny fabrykanckiej,

zwiększyły się świadczenia ludzi przemysłu na cele dobroczynne. Znamienne, że świadczenia tego rodzaju nie były wśród przemysłowców łódzkich powszechne, na liście ofiarodawców powtarzały się bowiem stale te same nazwiska.

Niezależnie od sporych sum przekazywanych przez przemysłowców łódzkich na wspomnienie ubogich mieszkańców, znaczne kwoty wpłacali oni na takie cele społeczne, jak budowa szkół szpitali, kościołów. Np. Izrael Kalmanowicz Poznański przyczynił się w dużej mierze do budowy gmachu Szkoły Rekodzielniczno-Przemysłowej przy ulicy Pańskiej 115 (Zeromskiego), wpłacając na ten cel 150000 rubli. Podobnie też, dzięki wsparciu finansowemu Edwarda Herbsta, współwłaściciela i dyrektora naczelnego zakładów scheiblerowskich, powstał gmach Szkoły Zgromadzenia Kupców m. Łodzi przy ulicy Dzielnej 68 (Narutowicza).

Również dzięki hojnym dotacjom kilku miejscowych przemysłowców Łódź otrzymała w 1905 roku pierwszy szpital dziecięcy, nazwany imieniem Anny Marti (obecnie szpital im. J. Korczaka). Na fundusz budowy pawilonów szpitalnych przemysłowiec Emil Geyer wpłacił 45000 rubli, zaś małżonkowie Matylda i Edward Herbstowie przekazali na tenże cel 200000 rubli. Podobnie ze składek przemysłowców łódzkich powstał szpital psychiatryczny w Kochanówce, otwarty w 1902 roku.

Powszechne sumy wpłacili miejscowi fabrykanckie na budowę nowych świątyń w Łodzi. Karol Scheibler na wykończenie kościoła św. Krzyża przekazał gotówką 50000 rubli, a ponadto ufundował w wymienionej świątyni główny ołtarz, jeden z bocznych i tamtych oraz organy i dzwony. Identyfikując 50000 rubli wpłacił na rzecz budowy kościo-

ła ewangelickiego św. Jana.

Inny przemysłowiec, Juliusz Heinzel, łożył na budowę wieży kościoła św. Krzyża i zegara wieżowego. Podobnie też koszty budowy kościoła NMP na Starym Mieście pokryli w znacznej części miejscowi fabrykanckie, zwłaszcza rodziny Scheiblerów i Poznanskich. Z dotacji przemysłowców wzniesiona została cerkiew św. Aleksandra przy ulicy Wileńskiej (Kilińskiego).

Niski na ogół poziom intelektualny pionierów przemysłu łódzkiego, zapewne powodował, że nie interesowali się oni sprawami kultury w Łodzi. Poza nielicznymi wyjątkami nie udzielali też wsparcia instytucjom działającym w mieście na rzecz upowszechnienia kultury. Zmiana na lepsze w tym przypadku nastąpiła dopiero po przejęciu steru rządów w zakładach przemysłowych przez nowe pokolenie przemysłowców, legitymujące się przeważnie wyższym wykształceniem i wykazujące pewne aspiracje kulturalne.

Bosnące zainteresowanie problemami kultury ze strony przemysłowców łódzkich przejawiało się m.in. w znaczącym ich udziale w życiu teatralnym Łodzi. Działające od 1903 roku Polskie Towarzystwo Teatralne miało w swym zarządzie trzech znanych przemysłowców: Emila Geyera, Maurycego Poznanskiego i Stanisława Silbersteina. Towarzystwo Teatralne wspierało materialnie scenę polską w Łodzi. Dotowała ją również kilkakrotnie Anna Scheiblerowa, wdowa po założycielu zakładów scheiblerowskich. Był Teatr Polski opierał się też w dużej mierze na wdzach wywodzących się z kręgów burżuazji.

Z nazwiskiem Edwarda Herbsta, naczelnego dyrektora zakładów K. Scheiblera, związane jest powstanie „Dziennika Łódzkiego”, pierwszego pisma polskiego w Łodzi. Założyciel „Dziennika”, główny technologiczny wspomnianych zakładów Stefan Kosmowski, uzyskał od Herbsta dotację 40000 rubli z przeznaczeniem na zakup drukarni i bieżące potrzeby wydawnictwa. Herbst dotował także miejscową gazetę niemiecką „Łódzener Zeitung”.

W miarę narastania fortuny przemysłowców łódzkich, coraz częściej oddawali oni wnętrza swych siedzib zbiorami dzieł sztuki. Bogatą kolekcję arcydzieł malarstwa i rzeźby, a także broń średniowiecznej zbrojarni Heinzelowie w swoim pałacu Julianowskim. Przez pewien czas wśród łódzkich fabrykantów panowała moda uwieczniania się na portretach. Wtedy to nieźle wiodło się miejscowym artystom-malarzom, zwłaszcza zaś Leopoldowi Pilichowskiemu i Samuelowi Hirszbergerowi. Wspierani przez członków wzbogaconej rodziny fabrykanckiej Silbersteinów, malowali dla nich portrety rodzinne i obrazy dekoracyjne.

Mecenat wielkiego przemysłu zaznaczył się szczególnie w architekturze. Dzięki zamówieniom przemysłowców na budowę zdobnych pałaców i kamienic, miejscowi architekci mogli w pełni rozwijać swe talenty. Wyróżniali się w tym: Hilary Małowski, Franciszek Chelmiński, Adolf Zeligson, Dawid Lande, Gustaw Landau. Oni głównie kształtowali wizerunek architektoniczny Łodzi.

Łódzcy filantropi i mecenasi, wspierając materialnie miejscowe instytucje dobroczynne i kulturalne, kierowali się różnymi pobudkami. Niekiedy czynili to z poczucia obywatelskiego obowiązku, częściej zaś przez snobizm, przez chęć zaznaczenia swej wysokiej pozycji społecznej. Jak by nie było, filantropia i mecenat wielkich przemysłowców miały dla Łodzi i jej mieszkańców niemałe znaczenie. Do dzisiaj zachowały się w mieście ich trwałe ślady.



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

25 lutego — TERESA JERZYKOWSKA — godz. 10—16
3 MARCA — RYSZARD BINKOWSKI — godz. 10—16

Pan A.J. z ulicy Karolewskiej poinformował, że razem z rekom-pensatą zarabiał zaledwie 21 tys. zł, mimo iż jest pracownikiem wykwalifikowanym i sumiennym. Czytelnik nie skarży się na swój zakład pracy, jego koledzy zarabiają podobnie. Mówi natomiast, że jest jakiś błąd w systemie wynagradzania, bowiem wstydzi się on oddać pensję żonie, zarabiającej bez mała dwa razy tyle.

Jak wspominałem, nasz Czytelnik nie prosi o jakąś jednostkową interwencję. Coż mogą Panu odpowiedzieć? Wadliwy, niezborny system płac jest jednym ze zjawisk, które ma zlikwidować drugi etap reformy. A na dziś, doraźnie? Może samorząd zakładu przeprowadzi analizę ekonomiczną gospodarki zakładu i znajdzie rezerwy? A może w Pana zakładzie jest zawyżone zatrudnienie? W każdym razie nie należy liczyć na interwencję „góry” czy „centrum” i zadziałać na najniższym szczeblu, nawet szczeblu brygady. Takie są realia reformy.

W kategoriach II etapu reformy rozumie także pan O., który po przeczytaniu naszej publikacji „Dlaczego hotel „Centrum” straszy” Andrzeja Gębarowskiego (nr 7) protestuje przeciwko inwestowaniu pieniędzy z kasy miejskiej — a więc naszych pieniędzy — w dokonanie remontu elewacji hotelu. Przecież ktoś tę elewację kiedyś skłonił — mówi pan O. — niechże teraz dyrekcja hotelu pociągnie partycję do odpowiedzialności sądowej, niech to przedsiębiorstwo naprawi to, co sfluszerowało, na własny koszt. Trudno się nie zgodzić z rozumowaniem naszego Czytelnika.

Ludzie liczą pieniądze. Między innymi te, które wydają na telefon. Oto mieszkanka Retkini (z ul. Maratońskiej), nauczycielka, wychowująca samotnie dziecko niepełnosprawne, stara się od kilku lat o telefon. Otrzymuje powszechnie znane, standardowe zawiadomienie, że „brak kabla itp. podanie zostanie rozpatrzone w roku...”. Tymczasem sąsiedzi naszej Czytelniczki właśnie niedawno telefon dostali, choć nie nie wskazuje, aby mieli uprawnienia większe niż Czytelniczka. Drugi kłopot naszej Czytelniczki to fakt, że założenie telefonu jest coraz droższe i może się kiedyś okazać, że nie będzie jej stać na taki koszt.

ANDRZEJ KAROLCZAK



UWAGA!

POSIADACZE POJAZDÓW
ODDZIAŁ WOJEWÓDZKI W ŁODZI

INFORMUJE:

że w marcu przypada płatność składki za ustawowe ubezpieczenia komunikacyjne.

Posiadacze pojazdów ubezpieczonych w pełnym zakresie (NW, OC, AC) mogą opłacić składkę w dwóch równych ratach tj. w marcu i wrześniu br.

W celu dokonania wpłaty posiadacze pojazdów otrzymają za pośrednictwem poczty specjalne blankiety z wyliczoną składką i tak:

- * posiadacze pojazdów zarejestrowanych na terenie m. Łodzi wydruk komputerowy;
- * posiadacze pojazdów zarejestrowanych na terenie miasta i gminy Pabianice — blankiet przekazowy z niebieskim paskiem po przekątnej;
- * posiadacze pojazdów zarejestrowanych na pozostałym terenie województwa — blankiet przekazowy z zielonym paskiem po przekątnej.

Osoby, które do dnia 10 marca br. nie otrzymają blankietu winny się zgłosić w celu jego otrzymania we właściwych terenowo jednostkach PZU:

- mieszkańcy Łodzi — w lokalu przy al. Kościuszki 57, pok. nr 4 w godzinach od 8 do 15.15, natomiast po 15 marca od 8 do 18, w soboty od 8 do 12;
- mieszkańcy miasta i gminy Pabianice — w lokalu Inspektoratu PZU w Pabianicach przy ul. Brackiej 57 w godzinach od 8 do 15.15, we wtorki do 18, w soboty od 8 do 12;
- mieszkańcy miasta i gminy Zgierz, Ozorków, Parzęczew — w Wydziale Zamiejscowym IV Inspektoratu PZU w Zgierzu, pl. Kilińskiego 7, w godzinach od 8 do 15.15, we wtorki do 18, w soboty od 8 do 12;
- mieszkańcy miast i gmin: Aleksandrów, Konstantynów, Stryków, Głowno oraz gmin: Brójce, Andrespol, Nowosolna, Rzgów — w IV Inspektoracie PZU w Łodzi, ul. Próchnika 23 w godzinach od 8 do 15.15, we wtorki do 18, w soboty od 8 do 12.

W punktach tych można wyjaśnić również wszelkie niezgodności w zakresie ewidencji (zmiana pojazdu, zmiana numeru, zmiana adresu) oraz niezgodności w wyliczaniu składki (nie uwzględnione ewent. rabaty itp.).

Zaznacza się, że blankiety przekazów zostały wycofane z urzędów pocztowych i są dostępne wyłącznie w podanych wyżej punktach.

Urzędy pocztowe nie będą przyjmowały żadnych innych blankietów, jak również blankietów z poprawkami dokonanymi samodzielnymi.

W celu otrzymania blankietu posiadacz pojazdu obowiązany jest przedstawić ważny dowód rejestracyjny.

Przypominamy, że w przypadku nie opłacenia składki w podanych wyżej terminach pobierane będą odsetki za zwłokę według zasad i w wysokościach określonych w przepisach o zobowiązaniach podatkowych.

558/k

WACŁAW
PAWLAK

ŁÓDZKI KOMBINAT BUDOWLANY „PÓŁNOC”

w Łodzi, ul. Sienkiewicza 85/87

ZATRUDNI

- * głównego księgowego
- * kierownika działu księgowości ogólnej i kosztów
- * technologa produkcji wielkowymiarowych elementów prefabrykowanych (system Wk-75)
- * kierownika laboratorium produkcji betonów
- * z-cę kierownika Zakładu Prefabrykacji (system OWT)
- * majstra ds. elektr. w Zakładzie Prefabrykacji
- * malarzy
- * tynkarzy
- * murarzy
- * szklarzy
- * elektryków konserwatorów
- * montażystów — spawaczy
- * betoniarzy
- * cieśli
- * stolarzy
- * blacharzy — dekarzy
- * lastrykarzy
- * palaczy co.
- * robotników budowlanych

KOMBINAT ZAPEWNI

- * pobory wg systemu wynagradzania dla I kategorii zakładów,
 - * szereg uprawnień wynikających z Karty Pracownika Budownictwa.
- Nie zatrudniamy osób po porzuceniu pracy.
Bliższych informacji udziela Dział Spraw Pracowniczych.
— pok. 1520 oraz Dział Organizacji, Kadr i Szkolenia — pok. 1302.

1247/k

Przedsiębiorstwo Zagraniczne w Polsce

Karumex

90-451 Łódź
ul. Piotrkowska 217

tel. 36-42-91, 36-83-18
tlx. 884509

O F E R U J E

PAPIER CZERPANY

wyrobiany ręcznie z masy szmacianej
o formatach 42 x 58, 32 x 42, 44 x 62, 52 x 73 cm.

PROPONUJEMY PAPIER:

- * czerpany sitami welinowymi i żeberkowymi
 - * w różnych kolorach
 - * w zakresie gramatur od 70 do 300 g/m kw.
 - * o różnych rodzajach faktur powierzchni, rodzaju i stopniu zaklejenia.
- Istnieje możliwość dostosowania własności papieru i znaku wodnego do indywidualnych wymagań odbiorcy.

567/k

Dwie sceny wydają się być kluczowe dla tego filmu. Pierwsza: gdy główna bohaterka Karen, Dunka, mówi o swoim pobycie w Afryce: „ta farma jest moja, bo za nią zapłaciłam, ci ludzie są moi, bo ich wynajęłam za pieniądze, to wszystko jest moje”. Odpowiada jej na to Denys, jej kochanek: „nie, my tu wszyscy jesteśmy tylko przechodni. Wpadliśmy jedynie na chwilę”.

Druga scena rozegrana środkami czysto filmowymi, bez dialogu, ma znaczenie w pewnym stopniu symboliczne. To sytuacja, w której para głównych bohaterów Karen i Denys podglądają zza krzaków afrykańskie pawiany. Zienacka uruchomiono im stojący niedaleko patefon z koncertem „Mozarta. Wytwórny, salonowy artysta (a właściwie jego muzyka) w samym środku buszu? Właśnie!

Konkretyzuje się w tych dwóch obrazach to, co jest sensem „Pożegnania z Afryką”, a więc nie do końca określony status społeczny i kulturowo-cywilizacyjny bohaterów, białych ludzi, przebywających dłużej czy krócej na tym kontynencie w dziesiątych i dwudziestych latach naszego stulecia, czasie kolonializmu. Główna bohaterka uznaje za swoje posiadanie pomagając Czarnym pojmując je jako przeniesienie „wprost” form cywilizacyjnych białych ludzi, bez pytania o zdanie przedstawicieli plemion Kikujów czy innych. Ironiczna scena z małpami prezentuje osobisty stosunek do tego wszystkiego reżysera, a słowa o „przechodniach”, a więc tymczasowości, określają jednocześnie coś, co odnosi się także do sfery prywatnej życia bohaterki i co stanowi podstawową tkankę tego filmu. Bez właściwego odczytania, czy też choćby zauważenia tych dwóch scen, film „Pożegnania z Afryką” zubaża się o coś niezmiernie istotnego, stając się jedynie

Biali w czarnej Afryce

sprawnie zrealizowaną, ale pozbawioną większych ambicji opowieścią o tzw. trudnej miłości, wpisana w malowniczą scenografię pejzaży afrykańskich. Nie oznacza to, iż ten film jest arcydziełem. Nie. W żadnym przecież wypadku nie można od niego odczytać przymiotników: tradycyjny, w pewien sposób staroświecki, pozbawiony tak kochanych przez koneserów „odkryć” czy „niezspodziałek”, choć z pewnością oddziałujący zewnętrzną urodą wizualną i klimatem. Wydaje się jednak, iż przyczyna obłądanego wręcz powodzenia tego obrazu (o czym świadczy także aż siedem Oskarów) bierze się nie tylko z tego, co w nim jest, ale i także z tego, czego w nim nie ma. A więc „lamigłówek umysłowych”, ale też bohaterów typu „elektryczny morderca”, pojazdów kosmicznych itd.

Reżyser Sydney Pollack (znany choćby jako twórca ambitnego filmu: „Czy nie dobiła się koni?”) przyjął w „Pożegnaniu...” tzw. babką optykę, w sensie dosłownym i przenośnym, co pociąga za sobą określone skutki stylistyczne i merytoryczne. Nie dość bowiem, że o perypetiach miłosnych i przeżyciach bohaterki opowiada się tu w I osobie, co już zakłada skrajny subiektywizm, ale jeszcze, iż Pollack posłużył się zabiegami retrospekcji, a więc przywołania zamkniętej, silnie nasyconej emocjami przeszłości. Zabieg typu: „dwa grzyby w barze” (bo przy posługiwaniu się logiką pamięci także wszystko staje się nieobiektywne, powoduje, iż na ekran widać się banal, jakby nie wystarczało już samo to, iż przy ewokowaniu zdarzeń dotyczących uniesień miłosnych wszystko się zwykle upiększa, zabarwia sentymentalizmem, w komentarzu do opowiadanej historii sformułowanym przez bohaterkę „sposób ekranu”, pojawiając się raz po raz sformułowania typu „różne barwy Afryki”, przy czym pokazuje się folderowy obraz pustkowi z jednym rosnącym centralnie „rozdartym” i skąpym w słońcu drzewem, albo inne „pejzażyki” najchętniej z niebem zlewającym się z linią horyzontu. Czyżby reżyser nie ufał sile nośnej dramatycznej — w założeniu przynajmniej teoretycznej — historii miłosnej?

A przecież jest ona naprawdę niezwykle, gdyż rozgrywana w oryginalnej scenografii afrykańskiej przyrody prezentuje zupełną nieprzystawalność do siebie dwóch charakterów, do tego kończy się tragicznym wypadkiem. Powiedzmy jednak szczerze: jeśli w bogatej motywacji psychologicznej, w tzw. głębokie wnętrze wyposażona tu została Karen (wspominała ona nie tylko drugoplanową, ale przecież wyrazistą postać jej męża barona Blikenę) o tyle Denys jest nieco pozbawiony wyrazu. A materiał literacki dla skonstruowania ciekawej postaci był. W tej historii wszystko przecież jest przepuszczone przez filtr miłości, która najpierw przynosiła niemożność spełnienia się do końca przez swą filozofię partnera, nie umiającego się przystosować do życia we dwójkę, a później przez tragiczny spłot okoliczności. Wyrazić to, co czują kobieta i mężczyzna, przeżywać największą namietność swego życia i nie wiedząc, w jakim kierunku się ona potoczy, cierpiąc i wznosząc się do raju — jakiego to intrygującej! I to zostało pokazane w Karen, ale nie do końca w Denysie. Bo Karen to nie tylko zakochana kobieta. To także postać aktywnie działająca na kilku różnych frontach. To osobowość kobiety nieprzeciętnej, humanistki mającej swoje ideały i przekonania, dążącej konsekwentnie do wyznaczonego celu. Nie przypadkiem przecież bierze się do „interesów”, zmuszona przez swojego męża-lekkoducha i utraciła (choć nie pozbawionego wdzięku), do prowadzenia plantacji kawy, i stara się doprowadzić do jakichkolwiek pozytywnych rezultatów. Jako kobieta nowoczesna próbuje także działalności filantropijnej — zakładając szkołę dla dzieci plemienia Kikujów.

Dyskusyjny jest zresztą obraz Afryki w tym mimo wszystko nadto kładącym nacisk na estetykę obrazu filmie. Perypetie Karen zdają się być jakby wypreparowane z szerszego „obrysu” życia kraju, który rozrywany był w tym czasie niezwykle silnymi konfliktami, w którym ze zderzenia dwóch różnych cywilizacji — tej miejscowej, tubylczej i napływowej przynieszonej przez białych kolonizatorów, brały się dramaty całych społeczności. Czyż „Pożegnania z Afryką” świadomie tych ostrych sprzeczności nie wygładza? Czyż rdzenni mieszkańcy tej ziemi, a więc członkowie miejscowych plemion nie są pokazywani jak marionetki zawierające bezkonfliktowe układy z białymi kolonizatorami? Wszyscy oni — wykonujący posługi dla „białej lady” lub też wchodzący z nią w najróżniejsze układy — przypominają bardziej Czarnych z filmu „Przemień z wiatrem” niż sasi „Korzenie” wyświetlanej właśnie w telewizji. W „Pożegnaniu z Afryką” jest to obraz już w samej intencji wygładzony, pozbawiony ostrych barw, pocztówkowy. Można się zgodzić oczywiście z tym, że takie widzenie świata, wynika z nostalgicznego charakteru filmu i jest zgodne z naturą bohaterki-narratorki, ale trzeba to zauważyć. I zgłosić uwagę krytyczną.

Co się jeszcze udało w tym filmie? Przede wszystkim nastrój, klimat romansu zrealizowany wg klasycznych reguł gatunku: melodramatu. Ona jest wielką damą, która potrafi z równym powodzeniem polować na safari, prowadzić plantację i nosić z wdziękiem niezwykle piękne suknie, co jest spełnieniem jednego z wymogów filmu tego typu. Również i on musi być „skrojony” jako postać bohatera wg określonych zasad — męski i silny, stanowczy i delikatny, a przede wszystkim emanujący specyficznym urokiem człowieka spędzającego życie na łonie przyrody. Taki właśnie jak z ilustrowanych zdjęciami pism dla pań, „obrysowany” tylko zwnętrznie. Dzieje ich miłości wpisane są w niezwykle starannie przedstawione tło, obyczajowe, z pietysmem pokazane są tu wnętrza i ich wspaniałe wyposażenie, drobiazgi i bibeloty, co podobnie jak kostiumy pani Streep jest tu wartością samą w sobie. Przedmioty pełnią przy tym dodatkową funkcję, pokazując wpływ czasu (z koni bohaterowie przesiadają się do samochodu, a potem samolotu).

Namietność Karen i Denysa pokazywana jest na tle wspaniałej przyrody afrykańskiej.

I pytanie końcowe. Film „Pożegnania z Afryką” zdobył Oscary 1986 dla najlepszego filmu, reżysera, scenarzysty, operatora, kompozytora, scenografa i za dźwięk — czy to się sprawdzi na ekranie? Odpowiedź tak: „Pożegnania z Afryką” potwierdza całkowicie, iż jest prawdziwym szlagierem, filmem komercyjnym w najszlachetniejszym wydaniu. I w tym kryje się zarówno pochwała, jak i przygana pod jego adresem i adresem reżysera: Sydney Pollacka.

MAŁGORZATA KARBOWIAK

NR 9 (1561), 27 LUTEGO 1988 R.



Psy szczekają...

Przez całe życie byłem zwoleńnikiem dziennikarstwa krytycznego — zarówno jako czytelnik, jak i autor licznych artykułów. Wychowany na starych wzorach uważałem bowiem, iż obok dostarczania pełnej i aktualnej informacji o wydarzeniach, co jest pierwszym i podstawowym zadaniem gazet, tudzież innych mediów, prasa powinna przede wszystkim piętnować zło, wytykać błędy i nieprawidłowości, czyli właśnie krytykować. Oczywiście czasem powinna też chwalić, bezsprzecznie, ale tylko wówczas, gdy rzeczywistość jest ku temu powód, gdy ktoś zrobił coś nadzwyczajnego, niezwykłego. Chwalenie tego, co normalne, zawsze mnie dźwilo, a nawet denerwowało i w końcu nudziło. Po prostu, normalność nie jest moim zdaniem interesująca. I nie byłem w tym mniemaniu osobiście. Jako że setki razy mogłem przekonać się jako dziennikarz, iż ludzie naprawdę interesują tylko rzeczy niemożliwe. Upraszczając: albo jeśli ktoś kogoś zabił, albo jeśli polecił na Księżyc.

Tak uważałem do niedawna. Ostatnio zmieniłem jednak trochę zdanie. Nie dlatego jednak, że życie przekonało mnie, iż teści budowlani wykonali plan budowy mieszkan, to należy im się za to złoty medal. Podobnie — jeśli lekarz uratował chorego człowieka — ponieważ za to właśnie dostaje on pieniądze i na tym polega jego trudna, nie przeczę, praca. W dalszym ciągu — głęboko przekonany, że medal można przyznać na przykład na pierś żołnierza, który z narażeniem własnego życia uratował tonące pod lodem dziecko, czy też — osobie bezinteresownie chroniącej przez długie lata zabytki kultury narodowej.

Zmieniłem zdanie, najogólniej mówiąc, z tego względu, iż krytyczny stosunek dziennikarstwa (szkoda, że nie wszystkich!) do polskiej rzeczywistości była zły, a nie dozwolony, coraz częściej stając się jedynie sztuką dla sztuki, na którą przynajmniej mnie szkoda czasu.

Krytyczny artykuł w słusznej sprawie wzbudza, co prawda, mniejsze lub większe uznanie czytelników, nie powoduje jednak — zaryzykuję — poprawy sytuacji. Nierzadko przechodzi zupełnie bez echa, jak gdyby nie się nie stało, a tekst dotyczył świata fikcji. Pies szczekał, karawana poszła dalej. I nieważne, że zła droga, że próżny wysiłek ludzi i wielbłądów, że niesiony ładunek czeka zniszczenia. Przewodnik udaje, że niczego nie słyszał, że — zaniepokojony — nie ma nic do powiedzenia. A jeśli już raczy nawet otworzyć usta, mówi z wyjątkowo wielobłędem grzbiotu: to tylko pies. Niektórzy dodają jeszcze: trzeba by go uciąć, bo znów nas kiedyś obeszczeka.

Rzecz jasna, przesadzam trochę, rysuję grubą kreskę, ale szlag mnie już trafił, gdy po raz setny czytając o potrzebnym naszej chorobie gospodarce wynalazku, który nie może jakoś trafić do seryjnej produkcji, o dyktatorze, który rozłożył na obie łopatki powierzchnię jego kierownictwu przedsiębiorstwa, za co został... awansowany, czy o wyrzuceniu z posady wybitnego fachowca tylko za to, że mając rację, śmiał się przeciwstawić swojemu szefowi.

Tak, jak kiedyś, jeszcze w latach siedemdziesiątych bano się słowa pisanego, tłumiono prawie każdy krytyczny akcent — zwłaszcza gdy odnosił się do ludzi na wysokich stanowiskach w aparacie państwowym, administracji państwowej, przemysłu, tak teraz lekceważy się słowo, „bierze na przekazanie”, udziela się tak wykrętnych i zagmatwanych wyjaśnień, że w końcu skołowany czytelnik zupełnie nie wie już, o co naprawdę chodzi.

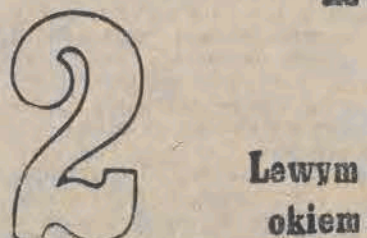
Oczywiście ta zmiana taktyki jest czynną podtekstowa. Czym

— niestety zgadnąć. Z jednej strony — ograniczeniem działalności cenzury (zarówno tej oficjalnej, jak i nieoficjalnej), z drugiej zaś tym, że nie potrafiliśmy dotąd przypomnieć sobie w pełni, co to jest odpowiedzialność i konsekwencja.

Być może powodem jest również to, że krytycznych publikacji jest dziś tak dużo, iż kompetentne osoby, gdyby chciały na każdą z nich reagować, nie miałyby już czasu na nic innego, a niezależnie od tego wkrótce zabrakłoby chętnych do brania na siebie jakiegokolwiek, choćby iluzorycznej odpowiedzialności. No, to przynajmniej byłoby jakieś w miarę sensowne usprawiedliwienie. I jeżeli jest w tym choć trochę racji, pora skończyć z krytycyzmem, więcej natomiast pisać o tym, co normalne, bo to u nas niemożliwe. Więc ciekawe i godne uwagi.

A poza tym — groza, drożdzy czytelnika, groza!

JÓZEF RETMAN



Smutna krowa na Mount Evereście

Alfred Wysocki, wieloletni ambasador Polski przedwojennej w Szwecji, w Niemczech i w Rosji, wydał w roku 1979 swoje wspomnienia pt. „Jajecznicę wspomnień” (wyd. „Jajecznicę wspomnień”). Na str. 307, mówiąc o rokowaniach w sprawie pozostawienia dla Polski, taką oto wnoszą uwagę:

„Wierzę, że kiedyś napiszecie historię naszych państwowych pożyczek zaciąganych z granicą przez dyktatorów naciąganych przez międzynarodową finansję, która za ich brak doświadczenia nie miała nam płacić niemiłosiernie frycowe”.

Szkoda, że historia taka nie została napisana, choć obawiam się, że po prostu nie ma kto tego uczynić. Mielimy już geniuszy w wielu dziedzinach i specjalnościach, nie mieliśmy geniusza finansowego. Może Oskar Lange? Ale Lange nie żyje, a kiedy żył — był zmuszony przezwyciężać część swych zdolności oddać na usługę obcym. Więc może byli też i inni, których z takich czy innych powodów nie dopuszczono do głosu, posługując się w zamian „dyktantami”? Frycowa płacimy dalej.

W tej samej książce Wysockiego jest ciekawostka, którą mam ochotę przytoczyć. Oto rząd włoski zwrócił się w roku 1937 do dyrektora Polskiego Radia w Warszawie z dyskretną prośbą o przedłużenie nadawania programu z rozgłośni lwowskiej do godziny drugiej w nocy. Wszystko jedno, jakiego programu. Dlaczego załatwił Wołchom na tym, aby Lwów gadał i śpiewał tak długo? Dlaczego zwracali nawet koszty tych dodatkowych godzin?

W tym czasie toczyła się wojna domowa w Hiszpanii. Rozgłośnia w Barcelonie, znajdującą się w rękach rządu komunistycznego, nadawała ostrą antyfaszystowską propagandę, a była to silna stacja, łatwo słyszalna w faszystowskiej Italii. Lwów nadawał na tej samej fali co Barcelona. Włosz posuwał się więc naszą rozgłośnią jako stacją, zagluszającą Barcelonę. Widocznie im się to opłaciło. Oczywiście artyści i dziennikarze skupieni wokół rozgłośni lwowskiej nie mieli pojęcia o całej tej pikantnej sprawie, a Maciej Kwiatkowski w swej obzernej historii Polskiego Radia wcale o niej nie wspomina. Ot — „tajemnica dyplomatycznego sejfu”.

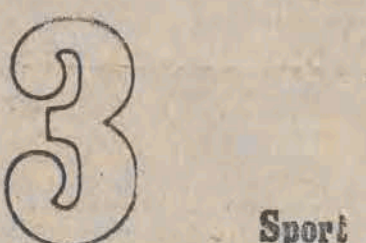
Metody zagluszania mogłyby również stać się przedmiotem osobnej rozprawki naukowej. Wystarczyło gwizdnąć na palcach, żeby nie dopuścić do głosu nie śpiewającej aktorki.

W parlamentach całego świata był i nadal bywa stosowany system walenia brilantami i zesztyłami o pulpity, aby zagłuszyć przemawiającego posła. Niewiele to pomaga, jako że mówca ma do dyspozycji i mikrofon i głośnik, dzięki czemu argumenty zyskują nie tyle na sile przekonywania, ile na donośności. Ale istnieją także i skomplikowane urządzenia elektroniczne, bardzo kosztowne, działające nieraz przez całą dobę na okragło, a nie dopuszczające do głosu całych potężnych rozgłośni radiowych.

Ponieważ w wielkiej rodzinie narodów świata szerzy się i wzrasta ochota do wzajemnego płaćcia sobie figlów, do prawienia złościwości i siania zamętu, równolegle wzrastać będzie także chęć zagluszania złośliwych kuzynów. Można się obawiać, że wreszcie cały świat stanie się ogromnym źródłem hałasu, że zamiast jakiegokolwiek programów radiowych będzie eterem wstrząsał nieustanny ryk elektronicznych zagluszarek. Może huk ten rozzerwie jeszcze jedną jakąś tam osłonę ozonową wokół naszego globu, może dosięgną nas mieszkańcy innych planet i zechcą uspokoić roznamietniony tłum naszej małej Ziemi. Można się tylko lękać, że uspokojenie zacznie od perswazji, wygłaszanych przez jeszcze potężniejsze rozgłośnie, takie, które zagluszają wszelkie wyobrażalne zagluszanie.

Efektoteka Polskiego Radia zawiera — między innymi — nagrany na taśmie szum wiatru na Mount Evereście, gwar gieldy londyńskiej, ryk wesołej krowy, ryk smutnej krowy i trzepotanie skrzydeł pawia. Jak się dwie taśmy puści jednocześnie i nagra na trzecią — będziemy mieli ryk smutnej krowy na Mount Evereście i trzepotanie skrzydeł pawia na gieldzie londyńskiej. A gdyby tak uwiecznić na taśmie subtelną grę ewangelistów konferencyjnych, gre przemleżeń i zagluszek, czy to by pasowało do efektoteki?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI



W Calgary działa niewidzialna ręka

Wiem, wiem, było tak pięknie i nagle się porobiło... Wszystkich nas diabli biorą! Ale zachowajmy zimną krew i rozpatrzmy wszystko po rozsądku. Bo wbrew temu, co sobie zakładaliśmy, siedzimy przed telewizorami i oglądamy walki, które rozgrywają się w Calgary.

Najpierw trzeba oddać sprawiedliwość Redakcji Sportowej TVP, która wystąpiła z wnioskiem o uhonorowanie olimpijskim medalami Jerzego Kukuczki i Reinholda Messnera. I stało się. Dostali srebrne olimpijskie medale. Gratulacje należą się więc nagrodzonym i inicjatorom.

O pracy telewizji w ogóle można powiedzieć kilka ciepłych słów. Stara się ona dostarczyć nam dużo informacji, pokazać, co ciekawego dzieje się w Calgary, opowiedzieć o sporowych dramatach, a przy tym nie szczędzi nam fachowych informacji. Tak przynajmniej robi Janusz Zielenicki. Podobają mi się również mądre i kulturalne komentarze Andrzeja Ziemińskiego. Do Jerzego Mrzygłoda mogę natomiast mieć pretensję o stwierdzenie, że ktoś „lubi walczyć w bezpośredniej walce”. To tak, jak się czasem mówi, że ktoś jest aktywnym działaczem. Ale w sprawach sportowych, w ferworze toczącej się walki!

tego, co się wokół niej dzieje, można pałać coś smiesznego. Lepiej — naturalnie — wystrzegać się tego.

Mamy — niestety — skłonność do przesady. I tak już piejemy hymny pochwalne na cześć Grzegorza Filipowskiego i jego piątego miejsca. Jest to w sportowej karierze tego łowacza niewątpliwie sukces, ale — na litość — nie „zagluszający kota”. Sukcesu gratulować trzeba, ale też i wskazywać na braki. Filipowski jeszcze je ma.

Jestem głęboko wdzięczna Andrzeja Ziemińskiemu, że powiedział — to co powiedział przed kamerami telewizji w niedzielę — o rękach Grzegorza Filipowskiego. Gdybym napisała, że ma je sztywne, nie potrafiłby nim poruszać, że przez to jego jazda nie ma wdzięku, to pewnie by mi tego nie wybaczone. Co innego specjalista. Nawet Jerzy Mrzygłód nie protestował. I chyba trzeba skoryzować, póki czas, a już go mało, z rąk Andrzeja Ziemińskiego, aby Grzegorz Filipowski trochę pocwiczył w balecie. Aż dziw bierze, że do tej pory nikt nie wpadł na tak prosty pomysł. Im wcześniej by o tym pomyślano, tym lepsze byłoby skutki. Czas mija i koszty twardnieją. Pewnych nawyków już nie da się przełamać.

Nadchodzi wreszcie moment, aby zająć się tą smutną i bardzo przykłą sprawą polskich hokeistów, a Jarosława Morawieckiego w szczególności. Chciałabym oddać jednak sprawiedliwość naszym hokeistom i napisać to wszystko, co bym napisała, gdyby nie ten incydent z testosteronem. Tak więc trzeba ich pochwalić, że sprawili nam wszystkim tyle wspaniałych emocji. Nagle zobaczyliśmy polskich sportowców, którzy chcą i mogą. Remis z mistrzami świata, wygrana z Francją — to już było coś. Jasnemu nam się zrobiło w domach nie tyle od poświaty telewizyjnych ekranów, co od nadziei, że coś — nie medale raczej — na tych Igrzyskach nasi hokeiści osiągną, że światowe agencje i prasa będą o nich pisały, mówili, chwalili, dziwili się. To było miłe, przyjemne...

W turniejach tak się dzieje, że po wspaniałym początku przychodzi załamanie. Doznają tego również najlepsze zespoły. Na przykład dobrzy hokeiści z CSRS „grali z radziecką drużyną fatalnie i zastrzeżenie przegrali. Trudno więc mieć pretensje do naszych, że przegrali ze Szwajcarami. Załamanie musi nastąpić, co nie znaczy, że przed załamaniem nie trzeba się bronić. Ale jak?

No i wreszcie ten fatalny komunikat o wykryciu u Jarosława Morawieckiego testosteronu. Jest to hormon męski, przegajający w organizmie przemiany białkowe. Usłysawszy ten komunikat poczułam się nagle, jakby ktoś wyłwał mi na głowę coś bardzo śmierdzącego. I chyba nie tylko ja. Kilka osób mówiło mi, że poczuł się oszukani. Poprzednie sukcesy Polaków stały pod znakiem zapytania. Fakt użycia niedozwolonego środka dopingu stał się znany w całym sportowym świecie. I nie wymaga się tego żadnym zaprzeczeniem.

Wysłuchałam różnych oświadczeń i brał mnie pusty śmiech. Należne to i... megalomanię. Oto w kanadyjskim Calgary zawiązała się tajemnicza mafia, która czyni na polskich hokeistów. Wkłada im testosteron do krokielów, barzyczki i napojów orzeźwiających. Polacy okazali się niepokonanymi pretendentami do olimpijskiego złota, wszystkie dotychczasowe sławy hokejowe poczuły się zagrożone i skorzystały z usług tajemniczej niewidzialnej ręki. A już najbardziej niebezpiecznym był Jarosław Morawiecki. Jemu coś specjalnie podłożono, a później wylosowano właśnie jego do antydopingowej kontroli. Kupa to się nie trzyma i logiki w tym za grosz nie ma.

A może... wszyscy byli na dopingu? No, bo skoro był w napojach orzeźwiających, to obojętne kogo by nie wylosowano, stwierdzono by u niego testosteron. A winę za to ponosi niewidzialna ręka. He byśmy nie ogłosili, że byśmy tu w kraju hipotez nie przedyskutowali, sporów nie stoczyli, że fakt wykrycia testosteronu u Jarosława Morawieckiego pozostaje faktem. Również jego dyskwalifikacja. I nie już tego nie zmienię.

Smutno mi!

BOGDA MADEJ

ODGŁOSY 13

Numery telefonów Teda Cullinana i Alexa Zagory były głuche jak pień. Kpiły sobie z niego. To było podobne do tej dwójki: kpina, bezcelna kpina z całego świata!

Telefonował do nich z Londynu. Zamawiał na pocztę dwa razy dziennie — rano i wieczorem — łączenie go osobiście lub na sekretarkę automatyczną. Bez skutku. Od ostatniego pobytu w Rotterdamie Rona, który ich już nie zastał, zniknęli bez śladu. Ta dwójka syjamskich braci, charakterami, temperamentem, kowbojską zadziornością gotowa była stanąć w szranki z samym diablem, gdyby ten niebacznie wszedł im w parade. Cullinan — awanturnik z dziesiątą prądziadą, traper, łowca jadujących żmij, poszukiwacz szlachetnych kamieni (!), kawalerzysta podniebny, czyli pilot śmigłowców w Indochinach; do niego, niczym kropla do kropli podobny był pasażer rwący się do ogarniętej płomieniami awionetki. Do niego i — prawem tożsamy natury chyba — do Alexandra Zagory, pilota bombowca strategicznego B-52, prawnuka polskiego zamachowca na cara Wszechrosji, po którym dano mu imię. Ta para. Nie stroniąca od hazardu, kieliszka, muzyki, od kobiet — tych zmór świata nie mogących obyć się bez pieniędzy — naraz nie podejmuje z pocztą przekazu, znika z opłaconego z góry mieszkania, nie daje o sobie znaku życia...

Po odprawieniu Dustina postanowił udać się pod ich adresy i zasięgnąć o nich języka. Zostawić listowną wiadomość o sobie nie mógł, gdyż może zainteresowała się już nimi policja.

Tak ma się sprawa z tą parą jeźdźców apokalipsy. Gdyby zmartwienia jego ograniczały się tylko do nich, nie byłoby najgorzej; w końcu to kłopot Johanna van Boothy. Ale nigdy nie jest dosyć źle, aby nie mogło być gorzej. Patrząc na jego życie od strony konta bankowego, można mu pozazdrościć. Mając tyle pieniędzy, mógłby rzucić ten karkołomny taniec na linie i pod zmienionym nazwiskiem zaszyć się na jakiejś wyspie Oceanii. Żył tam i nie umierał. Były chwile, kiedy wizja pary nagusów wylegujących się pod palmą kokosową nie dawała mu spać. Ale człowiek ma ogony. Korzenie ma, które, dokąd by się nie ruszył, trzymają go za dupsko. Ma także problemy. Zawsze nowe, niczym odradzające się by hydry lernejskiej. Jednym z najwściebniejszych stał się dla niego Andrew. Nie jako nowy łeb hydry do ścięcia, ale jako zagadka.

Dziedziczna choroba, niezależność, która w pewnych stronach świata nazywana była nobilitacją, odezwała się akurat nie w porę. Ale mimo to Attentown miał dla Andy'ego zrozumienie. Dla niego jedynego z całej paczki podopiecznych, jak ich nazywał. Stąd obrona ta była: nie dawał mu zwyczajnie w garść jak innym, ale wypłacał zaliczki na konto przyszłego honorarium. Zabawa mogła ciągnąć się w nieskończoność. Ale oto jednego dnia przestała się losowi podobać i neseser Andy'ego wraz z oryginalnym manuskrytem oraz książeczką czekową odbył gratisową wycieczkę za ocean. Zdarzenie można by zaklajstrować i dalej ciągnąć tę zabawę w obiegującą autora i hojnego sponsora, gdyby rzecz ograniczała się wyłącznie do nich dwóch.

Nad kawą z grzanką, nie spuszczać z pola widzenia wejścia do baru. Attentown po raz setny doszukiwał się przyczyn, dla których Andy, mając noż na gardle, zamknął i w ogóle znikł mu z oczu. Bank Barcleya się nie myli. „Z konta otwartego przez Szanownego Pana na nazwisko Andrew C. Skala podjęto w Sztokholmie (data, godzina, nazwa banku) równowartość tysiąca pięciuset dolarów w gotówce oraz tysiąca dolarów w czekach podróżnych. Stan konta po tej operacji nie uległ zmianie”. Jasne, że nie uległ! Jeżeli Andrew zgrał się z gotówką w tej Kalastajatorpie, to w najlepszym wypadku pozostał mu tysiąc dolarów w czekach, których nie puścił w grę, gdyż komputer Barcleya byłby to już wypunktował. Tysiąc dolarów w turystycznie odwiedzanej Finlandii to maksymalnie dziesięć dni hotelowego życia. Dziesięć, najwyżej czternaście. Czyli inaczej mówiąc, koniec Wielkiego Milczenia Andrew C. Skali bilski.

Bo jego obecność na przyjęciu tej kupieckiej halastry jest na pewno przypadkiem, a zdjęcie w towarzystwie tego Rosjanina zwykłym chwyttem prawniczej prasy. Andrew swemu krajowi świństwa nie zrobił! Tego Attentown był pewny, jeżeli w tej chwili był w ogóle czegoś pewny.

Dużo spraw do załatwienia czekało na niego przed powrotem do Londynu, musiał się spieszyć. Bar nie był zatłoczony. Napływ gości do MacDonalda ma ustaloną cykliczność: śniadania — przeważnie samotnie żyjący ludzie, młodzież lub mężowie leniwych żon — pora przerwy o biadowej w biurach, później, aż do zamknięcia wieczorem — w kratkę. We wszystkich krajach jednakowo. Głodne żołądki z chudymi kieszonkami mają dzień pod względem czasu uregulowany.

Przy sąsiednim stoliku siedziała kobieta. Ubrana od stóp po kapelusza na głowie na czarno. W tym samym kolorze miała ażurową bluzkę rozpiętą pod szyją, pończochy — kabaretówki... i dobrze skrojoną. Jak na gościa MacDonalda, skórzana torebka Czerwony goździk nad pierś i połyskujący w sztucznym oświetleniu rubin na palcu ożywiały tę smutną całość. Nie spuszczała Attentowna z oka. Na prostytutkę nie wyglądała. Na wytkę policji też nie. Choć nie było jej wiadomo. Miała ładne nogi i cokolwiek jeszcze miała i czy nie miała, mogła się podobać. Przypominała mu Nancy.

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony.

Matnia

12

LEONARD

Nancy siadała tak jak ona, tak samo układała nogi: chowała je pod siebie, nie widać ich linii, a jednak wiadomo, że muszą być zgrabne, bo kobieta z twarzą Nancy nie może mieć innych. Ale zastanawiające, Nancy przy swojej urodzie większość wolnego czasu spędza u siebie w domu. Ciepłarniany kwiat? Zabija mu tym kółka w głowie. Tłuczenie się taksówką na drugi koniec Londynu dla zjedzenia kolacji z obcym facetem miało swoją wymowę. Jaką? Bo ten pocałunek w samochodzie był bez znaczenia!

Bez znaczenia? Czy wy robicie coś bez znaczenia? — rzucił Attentown w duchu pod adresem wszystkich kobiet świata.

Na jego twarzy pojawił się sarkastyczny grymas. Nie będzie pary nagusów opalających się pod kokosową palmą na wyspie Oceanii! Pień! O to na co, chytne suk, polujecie!

Od skrzyżowania się z zaczepnym spojrzaniem kobiety w czerni uwolnił go Dustin.

Rozmowa była krótka.

— Nie wiem, co wasza paczka porabia, ale sądzę po tobie, nie przynosi to chwały żadnemu z was. Okazywałem wam pomoc. Nie wypominam tego, uważam jednak, że gubicie grunt pod nogami. Sam widzisz, że wystarczyło twoje słowo, abym sięgnął do kieszeni. I nadal możecie liczyć na mnie. Ale mnie chodzi o postawienie was mocno na własnych nogach. Na własnych, rozumiesz?

Dustin był inny niż przed godziną. Oczy miał przytomne, był umyty i ogolony. Attentown położył przed nim kopertę z banknotami studolaryowymi.

— Jest tego tysiąc — powstrzymał wyciągniętą po kopertę rękę Dustina. — Dla ciebie. Na ogarnięcie się i tak dalej. Będzie tego więcej. Dla każdego z was będzie, ale ty dostaniesz najwięcej, pod warunkiem, że będę mógł liczyć na ciebie. Znalazłem się w delikatnej, że tak powiem, sytuacji. Kierując się waszym dobrem, podjąłem się, bez uprzedniego uzgodnienia tego z wami, pewnej roboty w Afryce. Cholernie dobrze płatnej. Jakiej? — szczegółów w odpowiednim czasie. Do ciebie należy przekazanie tego chłopakom i powiedzenie im, że — adres skrytki dostaniecie za chwilę — o ich zgodzie. Liczę na ciebie. Ale stawiam warunek — zastrzegł surowo. — Nikomu z moich pracowników, nawet Ronowi, ani słowa o tym.

W celu sprowokowania Cullinana i Alexa do odezwania się zostawił jeszcze po pięćset dolarów dla nich.

Narkotyki działały, reakcje Dustina były normalne. Tylko jak długo? Dustin znajdował się w stadium silnego uzależnienia od heroiny. Wychowany przez ojca, anglikańskiego pastora, w ortodoksyjnej wierze śledzenia poczynił człowieka przez Boga, nie przymuszony przez okoliczności silniejsze od jego woli nie zdobyłby się na czyn nieetyczny. Był w gruncie rzeczy dzieckiem przedwcześnie rzuconym na głęboką wodę. Naciagać tej cienkiej linki za bardzo nie można.

Przed rozstaniem Attentown zobowiązał go do informowania go o każdym kroku jego przysięgi. Dustin skwapliwie obiecał.

Podczas półtoragodzinnej jazdy ekspresem do ostatniego etapu swojej podróży, Brukseli, Attentown przemyslał swój plan jeszcze raz. W przedziale był sam, nikt mu nie przeszkadzał. Jedyną osobą, którą widział, był konduktor sprawiający wrażenie bardziej ducha niż żywej istoty w mknącym przez równinę Holandii i Belgii, prawie pustym, ekspresie. Wygląd pasażera wystarczył mu za bilet. Zasalutował przez szybę i poszedł dalej. Nasunęło to Attentownowi refleksję: w tej krótkiej jeździe przekroczy granicę dwóch państw skupiających szlifery prawie wszystkich diamentów świata. Rotterdam i Antwerpia oddzielone są tylko miedzą. Przekraczać ją można jak i kiedy się chce, żadnej kontroli celnej, nawet konduktorowi nie chce się wziąć biletu do ręki. Dopiero teraz umysłowił sobie istotę pomysłu Bellami. Jakże to proste! A Johannes fatygował się z dna Afryki, aby szukać wiatru w tym nie strzeżo-

nym na granicach polu. Albo dostał cynk wart tego zachodu, albo kieruje się własnym, obecnym w tym interesie nosem.

Ze swego miejsca w wagonie Attentown posłał mu życzenia powodzenia w jego dziele i myślami powrócił do swego planu. Misternego jak pajęczyna i, jeżeli nic nie zawiedzie, skutecznego. W hotelu Palace w centrum Brukseli czeka na niego człowiek, który w tym planie odegra rolę pajaka: Peter Krueger.

Przyjaciele nazywali go Petem, wrogowie — „Zajęca Wargę”. Jemu osobiście było obojętne, jak go nazywają, jak długo nie wchodził mu w drogę.

Świat skurczył się potwornie. Wczoraj Peter był w Johannesburgu, dzisiaj jest w Brukseli, za kilka dni towarzyszyć będzie do Namibii partii najemników zwerbowanych spośród byłych belgijskich „doradców wojskowych” byłego premiera Katangi. Europa nie ma dla nich zatrudnienia. Przynajmniej chwilowo, a życie kosztuje. Przy okazji Attentown omówi z nim pewien problem.

Peter Krueger miał około pięćdziesiątki, cieszył się wśród właścicieli kopalń i wielkich plantatorów opinią niezawodnego, ale zadowalał się rolą człowieka tyłków. Znający go bliżej, twierdzą, że skromność ta pomogła mu osiągnąć swój wiek w dobrej kondycji i zaliczać się wciąż do żywych.

Holender z urodzenia, Krueger znalazł się w Afryce krótko po drugiej wojnie światowej. Dostał się tam jako członek załogi statku taniej bandery, pudła przedziewałego od stępki po komin, z którego, gdy tylko rzucono kotwicę w Valvisbaai, zrejterował do stolicy Afryki Południowo-Zachodniej, Windhocku. Miał wtedy niespełna dwadzieścia lat, był miłokosem, lecz nie żółtodziobem. W ślad za nim ktoś z Europy przysłał tamtejszej policji jego zdjęcie w mundurze flamandzkiej dywizji SS, zrobione w Rosji, na typowym dla tego kraju — walające się ciała, dużo ciał wśród zburzonych domów — tle. Nadawca zdjęcia był na pewno człowiekiem nie wiedzącym, że główne ulice tej byłej kolonii cesarstwa niemieckiego noszą wciąż niemieckie nazwy, że wysoki urzędnik policji, który sprawę rozpatrywał, miał niemieckie imię i nazwisko, zaś gmach jego urzędu mieścił się przy Bismarck Platz. Stare dzieje niewarte dziś złamanego centa.

Peter Krueger jest — obrazowo mówiąc — filarem Attentowna w Afryce, poprzez jego powłazania z wpływowymi ludźmi Africa-Aid zaopieścił tam mocno korzenie. Ze pracuje na kilka frontów naraz, to jego sprawa. Ważne jest, że pracuje ku zadowoleniu stron.

Jutro rano Attentown zjawi się na Cliff Street. Powie Nancy „hallo” i zabierze się do swojej zwykłej pracy. O rundzie po krajach Beneluxu, która w sumie zajmie mu kilkanaście godzin zaledwie, nikomu chwilowo nie wspomni.

ROZDZIAŁ 8

Zdjęcie Andrew C. Skali ukazało się w „Seattle's Monitor”. Relacja, podkreślająca jego zażyłą komitwę z przedstawicielem Moskwy na wy-

stawie przemysłowej w Helsinkach, nie wymaga komentarzy.

Redakcja zadawała sobie trud zasięgnięcia języka o Rosjaninie. Nie podała źródła, z którego jego dane personalne miała. Kapitan NKWD czasu wojny, radca handlowy w Pekinie, Tokio, Paryżu i Bonn, przez pewien czas był członkiem delegacji radzieckiej przy Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku. Jak większość pracowników radzieckiego handlu zagranicznego, konkludowała charakterystyka, jest on wytrawnym agentem wywiadu wojskowego i gospodarczego.

Stan umysłów sąsiadów państwa Skalów, i nie tylko sąsiadów — po ukazaniu się gazety — oddają najlepiej namalowane dzisiejszej nocy na ogrodzeniu ich posesji słowa: „The Traitor's House” — Dom Zdrajcy!

Casimir Skala zauważył przez okno przechodniów przyglądających się jego ogrodzeniu. W pierwszym momencie pomyślał o jakimś wypadku — przejechanym nocą i rzuconym pod płot psie czy czymś podobnym. Przerwał gołenie, na nagą pierś narzucił bonzurkę i wyszedł przed dom. Na jego widok przechodnie ruszyli, każdy w swoją stronę. Skala rozpoznał wśród nich znajomego z tej samej ulicy, z którym, spotykając się, wymieniali pozdrowienia. Nie znał tego człowieka, nie wiedział gdzie pracuje, cała ich znajomość polegała na zdejmowaniu przy mijaniu się kapelusza. Schodząc tarasem ku furcie skłonił głowę, ale tym razem gest ten nie został odwzajemniony.

Napis na ogrodzeniu tłumaczył tego człowieka. Tłumaczył też gapów, przeważnie kolorową służbę domową śpieszącą z rannymi zakupami, nie tłumaczył motywów, jakimi jego autorzy się kierowali. Ale w tej chwili liczyła się strona techniczna sprawy: czerwona minia wsiąka w drewno jak w bibułę, nie daje się wodzie. Zachłapanie grubym pędzlem sztachety trzeba wprawdzie zlebić, a dopiero potem pomalować na biało. Heble i farba olejna były w domu. Minia da się usunąć z ogrodzenia. Ale z ludzkich umysłów?

Z ulgą w sercu Casimir Skala przeniósł wzrok na wielkie jak ekrany panoramiczne okna domu Jacksonów po drugiej stronie ulicy. Od wyjazdu Glendy do Europy jakby oślepył. Rolety były zaciągnięte, nie dawały wglądu do wnętrza pokoi z ulicy. Glenda już na miesiąc przed wyjazdem zatrudniła sztab ludzi, których jedynym zadaniem bojowym było zabezpieczenie dywanów i orientalnych obić mebli przed inwazją kurzu i moli. Dom, zawsze głośny, zamilkł. Maynarda też nie było. Przebywał w zakładach Martina Marietta Aerospace na Florydzie, na jakimś ważnym spedzie specjalistów rakietowych, domem opiekowała się służba. Ale jutro będzie już na miejscu.

Malarz sztachetowy nie musiał się wstydzić swojej znajomości gramatyki. Kaligraficzna dyscyplina liter świadczyła, że naukę pobierał od dziecka w szkole anglosaskiej. Spostrzeżenie to w Seattle, zamieszkanym w większości przez Amerykanów brytyjskiego pochodzenia, nie na wiele zdało się Skali.

Ktoś musiał już zaalarmować dzielnicowy posterunek policji. Samochód wtoczył się przed dom na wyjącej syrenie. Predkość, branie zakrętów na gazie, operowanie hamulcem — nikt w tym policyjny amerykańskiej nie pojbie, nie mówiąc o finezyjnej robocie z syreną.

Zwir spod opon opadł, w oknach sąsiadów ukazały się zalekawe twarze.

Sierżant policji wygramolił się z wozu. Do czego to znowu zrywano go z samego rana?

Gwizdnął przez zęby.

— Coś podobnego! — Okulary przeciwsłoneczne podniósł na czoło, jeszcze raz przeczytał napis. — Widziałeś, Bill? — zwrócił się do kolegi siedzącego przy kierownicy wozu. — A jeszcze wczoraj zachwycałem się porządkiem w tej dzielnicy... — Spojrzał społe łba na właściciela posesji. — To państwo?

Jego obecność nie podobała się Skali.

— Niby co? — burknął zaczepnie. W bonzurce narzuconej na gołą górę i w pantoflach domowych czuł się na chodniku jak nagi.

— Ta posesja, jeśli pan już taki dokładny. Mam przyjemność z panem... — sierżant zatopił wzrok w swoim notesie — Skala, jeśli dobrze zapisałem. Mister Casimir Skala, S-k-a-l-a — przegłosował nazwisko, które zyskało sobie w mieście tak niechlubną sławę. — Zgadza się?

Poranek był słoneczny, ale atmosfera na chodniku stawała się coraz chłodniejsza.

— Tak, sierżancie.

— Ach — współczuł ten sobie — jak mało niektórzy obywatele są życzliwi dla policji dbającej w końcu o ich własne bezpieczeństwo. Strasznie mało, mówię panu, mister Skala. Czy byłby pan uprzejmy powiedzieć mi, kto to zrobił?

C.D.N.

Rys. Janusz Szymański-Głana